

70

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Politt. - Wych.

2508

O STYLU.

BIBLIOTEKA
Wyższe Szkoły Politechniczne - Wych.

TEORYJA
STYLU POLSKIEGO

NAPISANA

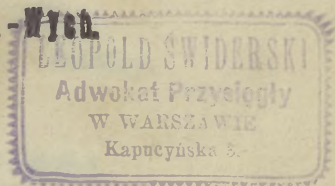
przez

Józefę Kamocką

b. Nauczycielkę Gimnazjum Żeńskiego i Wyższych
Zakładów Naukowych w Warszawie.

BIBLIOTEKA

Wyższe; Szkoły Polit. - Wych.



WARSZAWA.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

1875.

6150/2

Дозволено Цензурою
Варшава 25 Февраля 1875 г.

w Drukarni Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych.

Czcigodnemu

D-r F. K. SKOBLÓWI

Professorowi w uniwersytecie Jagiellońskim

Wielkiemu Miłośnikowi i gorliwemu Stróźwi czystości polskiego języka

z uczuciem najwyższego szacunku i poważania

małą swą pracę

poświęca

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

AUTORKA.

884-0

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Politycznej i Wychowawczej

l. inw. ~~2507~~ 8176

PRZEDMOWA.

Przed kilkoma laty, gdy zapragnęłam stanąć przed młodém pokoleniem jako nauczycielka nietylko żywém lecz i pisaném słowem, powzięłam zamiar w *Listach* do „Przyjaciela Dzieci“ przeznaczonych, sposobem lekkim i łatwym całe piękno języka naszego wykazać, a wytknąć główne błędy przeciwko niemu w potocznej popełniane mowie.

Chwila przykrego wrażenia postawiła mię na téj drodze wprzód, nim sobie zadać mogłam pytanie, czy dojdę do celu takim niesystematycznie prowadzonym wykładem, który jeszcze ścieśniał się i urywał niezależnemi odemnie względami; ale też mimo życzliwej zachęty—prędko uczułam sama, że nie jest to, co ja od siebie polskim dzieciom dać chciałam i cofnęłam się zaraz dlatego jedynie, aby cos, choć bardzo skromnego, ale gruntowniej obmyślanego—złożyć im później w ofierze.

Przyjęcie doznane przez pierwszą część Nauki języka—ureczywistniło najdroższe moje marzenia, i zaszczycona przyznaném mi prawem nauczania umiłowanego przedmiotu, ośmieliłam się w dalszym ciągu, coś więcej o nim powiedzieć.

Z wycofanych *Listów* wybrałam to, co było w teorii stylu do powiedzenia konieczném; uzupełniłam, uporządkowałam i znowu nie jako literacką rozprawę,—ale jako prosty kurs szkolny, ułożony według własnych swoich pojęć, a oparty na zasadach za najgruntowniejsze uznanych, dla użytku młodzieży oddaję.

Jakkolwiek bądź sądzić kto o tém może, nie moja to rzecz przecież wysuwać się naprzód z jakąś nową teorią nauki, a nawet iść zbyt pochopnie za prądem w tyłu odmiennych kierunkach za nowościami dążącym; choć z piórem w rękę—przedewszystkiem jestem tylko kobietą i nauczycielką, i sądzę: że i jako kobiecie, i jako nauczycielce przystało mi zarówno na poparcie słów własnych—mieć po za sobą słowa, powagę nauki w całym już kraju mające.

Nietylko więc nie myślałam i *teraz* o wystąpieniu z czémś nowém, ale nadto: opuszczam rozmyślnie wszystko co uważam za mniej potrzebne dla młodzieży żeńskiej, a co w obszerniejszych ramach i w więcej naukowym charakterze postawiłoby pracę przeznaczoną dla kilkunastoletnich dziewczynek, jakie zwykle w zakresie czteroklasowym się uczą.

Chciałam ją mieć, powtarzam—tylko szkolnym kursem, i pragnęłam tak do znanych mi i potrzeb i pojęć uczących się zastosować, aby w krótkim, ale zupełnym zarysie dać w nim wszystko,—cotyłko do poznania ducha języka i sztuki pięknego nim władania potrzebne, resztę już więcej pobieżnie i *dotatkowo* tylko traktując. Dlatego też rzecz o prozie i jej rodzajach—dotknięta o tyle jedynie, o ile to było niezbędném dla dania pierwszych o niej pojęć w punktach najprzystępniejszych i koniecznych wiadomości o *celu* i *warunkach* pism, będących w rękach młodzieży.

Jak ze względu na przeznaczenie méj pracy nie chciałam téj części rozwijać szerzej obok teorii stylu, tak znów skrepowana obowiązkami powołania mego, nie miałam dotąd czasu opracowania jej w ten sposób, by z niej osobny, wyczerpujący dział naukowy utworzyć. Może Bóg pozwoli, choć później,—obszerniej, grunto-

III

wniej tego dokonać, a co dziś mogłam zrobić w chwilach na mój spoczynek skąpo mi zostawionych, to i dziś z dobrą wolą a ochotném sercem oddaję na usługi młodzieży w imię tych pocieszających mię słów, iż wiele ten zrobił—kto zrobił tyle co mógł.

W pierwszej za to części nie poprzestałam na samej teorii pięknego wypowiedania swych myśli; wiem z doświadczenia, że jak w życiu całym—tak i w nauce też samo—dobry przykład więcej podobno od głoszonej zasady przekona; a że o książki odpowiednie nie wszędzie i nie każdemu jest łatwo, chciałam więc zaradzić trudności, jaka się nieraz samym uczącym nasuwa w wyszukaniu wyjątków stosownych i do uczenia się ich na pamięć i do ćwiczenia stylu jak najwierniejszém naśladowaniem ich w piśmie, i każdą zasadę odpowiednim przykładem poparłam. Na tychto przykładach z dzieł najpierwszych naszych pisarzy zebranych buduję moje nadzieje, że pod ich osłoną rzucone drobniuchne ziarenko własnej pracy mojej wyda choć jeden kwiateczek, choć jeden plenny kłosek na ukochanej mi niwie, i że młodzi *prawdę* słów moich ukochają w *pięknie*, jakim ją odziewają mistrze naszego języka, a przez *nie* rzetelne *dobro* swe znajdą.

Józefa Kamocka

Pisałam w Warszawie dnia 5 Lutego 1875 r.

Wstęp.

O Sztuce pisania.

Człowiek kocha piękno,—bo w piersi jego żyje dusza nieśmiertelna, która z samego źródła piękności istnie- nie swe wzięła, więc je zna, tęskni za niém—i ku niemu kieruje wszystkie skłonności swoje. Ztądto pochodzi, że wszystko co piękne, ma dla nas niepojęty urok, że tego piękna szukamy naokoło siebie,—że się niém radzi otaczać jesteśmy,—że jego wpływowi ulegamy często- kroć bezwiednie, i że w niém rozkoszy dla swego serca i dla swych zmysłów szukamy. Ztąd także wynika, że nie wystarcza człowiekowi proste zadośćuczynienie po- trzebom codziennego życia, i że jeżeli każdą z nich pra- gnął ować wyższego uroku powabem, tém więcej dbał o ten urok, gdy mu szło o wyrażenie swych własnych myśli i uczuć. I niedość mu było powiedzieć do drugich: kocham cię;—słuchaj mię; zawierz mi; choć te wyrazy myśl jego jasno już wyrażały, bo własne uczucie pory- wało go i skłaniało do chęci przelania w nich tegoż u- czucia. Więc kiedy kochał,—kiedy był uniesiony ja- kiémbądź uczuciem, kiedy pragnął zapewnić sobie nad innymi przewagę, to starał się, aby wyrazy jego nietyl- ko były zrozumiałe i jasne,—ale aby pieszcząc ucho słodkimi i łagodnymi dźwięki wdzierały się przez nie do duszy i budziły w niój rzewne uczucie; by ciskając gromy wzburzonych namiętności i myśli, piorunem u-

uderzały w serce, i niém do gruntu wstrząsały; by błyskawicą prawdy przenikały do rozumu innych i dla jego przekonań zjednać ich potrafiły. Stosownie więc do własnego uczucia, człowiek tworzył sobie ową mowę tak wdzięczną a rzewną, co jest językiem matki do dziecięcia, modlitwą słabiej istoty do Boga, wylaniem przywiązania jednego do drugiego serca; i ową mowę, co się stawała bronią podbijającą całe massy ludu pod władzę jednego człowieka, — i ową — która ciemnym — była światłem prawdy i do źródła wiedzy, — do cnoty i do Boga ich wiodła.

Nie wszyscy jednak ludzie są obdarzeni ową piękną zdolnością tworzenia takiej mowy: bo nie licząc już tych, co nie umiejąc swych własnych myśli powiązać logicznie, nie umieją także zdać z nich sprawy nikomu, jest bardzo dużo takich, co z sercem pełnym uczucia, z głową bogatą w gruntowną nawet naukę, tak są — albo niezasobni w słowa, albo w ich układaniu niezręczni, gdy o ustne wypowiedzenie ich idzie, że urywają i niegładką mową, ani połowy moralnych swych zasobów na korzyść swoją ni drugich wykazać nie umieją, i zająć, a témbardziej przekonać nie mogą w niczym nikogo.

Są inni znowu, co z głębokim uczuciem i żywą wyobraźnią łączą jeszcze takie bogactwo myśli i wyrazów, że lada drobnostka, która ich zajmuje chwilowo, i dla innych także staje się przedmiotem silnego nieraz zajęcia; bo gdy są prądem własnych myśli porwani, to wtedy słowa płyną im lekko, swobodnie i bez namysłu żadnego, i życia nabierają w ich ustach, i owładają całą istotą słuchaczy i stają się chwilowo panami ich uczuć i uwagi.

Więc własnym doświadczeniem przekonani ludzie,

jak nieopowiedziany wpływ na umysł i na serca piękna mowa wywiera, dążyć także poczęli do wydoskonalenia swojej i utworzyli nawet w tym celu osobną naukę, *retorykę* (od wyrazu *retor* mówca) nazwaną, ażeby *sztuką* zdobyć ową tajemnicę podbijania serc i umysłów bliźnich, którato tajemnica była przyrodzoną własnością ludzi wyższego umysłu, — wielkiego serca, lub namiętności głębokich. I poczynili różne nad mową uwagi; ułożyli przepisy i zasady, które stosowali do owych naturalnych wzorów, a lubo sztuka przyrodzonemu darowi nie wyrówna nigdy, lubo nawet w dawniejszych czasach zbytecznie polot myśli krępowała, narzucając jej swoje prawidła, to przecież nawet dziś, gdy stanowczo za główny warunek dobrego pisma i mowy położono gruntowność myśli i jasność w ich wyrażeniach, znać nam tę sztukę wypada dlatego: abyśmy przy wielkich od natury zdolnościach idąc za własnego serca natchnieniem, nie przekroczyli granic swobodzie tej wytkniętych, lub przy ich braku — w nauce tej nietylko kierownika dla siebie, ale i takie wzory znaleźli, do którychbyśmy przy dobrej woli i usilności nagiąć i podług nich urobić własne swoje wyrażenia mogli.

Dzisiaj — nauka ta nie ścieśnia bynajmniej uczuć naszych ni myśli; nie każe im się koniecznie w takiej lub owakiej formie przedstawiać; nie wymaga wyszukanych wyrażen do ich określenia, i nie *przepisy* swoje, ale *wykształcenie naukowe* i *estetyczne* daje im za podstawę jedynie.

Pierwsze — przynosząc zasoby z różnych umiejętności zebrane, przygotowuje umysłowi bogaty do obrobienia materiał, bez którego i najwyższy talent nic dokonać nie może; — drugie da nam środki ku temu, byśmy ten materiał w tak ponętne urabiali formy, żeby one pociągając czy to oko, czy to ucho bliźnich, działa-

ły na ich duszę i zapewniały nam wpływ przeważny nad niemi.

Małeńkie dziecię chętniej ręczyny wyciąga do choćby cierpkiego—lecz rumianego jabłuszka, niż do soczystej—ale szarawej barwy gruszki; a dowodząc tém najlepiej, że *piękno* jest najpierwszym przewodnikiem instynktów i usposobień jego, tłumaczy zarazem, dla czego rozum chętniej poddaje się ciepłemu duszy wpływowi aniżeli zimnym pewnikom nauki i dla czego tylko jój tchnieniem owiany, rozwinąć się może ku prawdziwej korzyści i chwale społeczeństwa całego.

Otóż nauka estetyki uczy nas właśnie czuć i poznawać to *piękno* i otwiera przed duszą naszą całe jego skarby; a nie dlatego tylko, aby ona niemi własne swe unilała życie, ale aby się w nie dla dobra bliźnich stroiła, wabiąc ich swym urokiem i wiodąc tém łatwiej do Boga, z którego wszystko co tylko piękne wypływa. Więc kształcić i rozwijać pojęcie tego piękna, jestto kształcić duszę a uszlachetniać serce, ku wyższym celom dążenia jego kierować i trafiać na źródło najwyższych umysłowych rozkoszy.

I w obec wielkich korzyści naukowego wykształcenia, stokroć jeszcze wyższe estetycznemu przyznać należy; bo jeżeli pierwsze otwiera człowiekowi wszystkie skarby wydoskonalonej wiedzy, to drugie uczy w nich szukać i znajdować Boga; jeżeli nauka nasz własny rozum bogaci, to estetyka daje środki do jój zużytkowania na chwałę Bożą i pożytek bliźnich. Ludziom, którzy przy gruntownej nauce i dar słowa posiadają jeszcze, dostaje się zwykle najpiękniejsze stanowisko w kraju—najpiękniejszy udział w pracy ogólnej na świecie. Tacyto jako znakomici mówcy—najwyższą, bo moralną potęgą wpływają na czyny i przekonania współbraci;

jako utalentowani pisarze—przyczyniają się do rozposzechnienia oświaty i umoralnienia obyczajów; jako zdolni profesorowie, budzą życie ducha i myśli w młodych pokoleniach,—a w zwykłym nawet towarzyskim życiu łatwiej od innych pozyskują ludzi dla siebie pięknym wyśłowieniem, które jest zawsze starannego wychowania dowodem.

Na takiej podstawie rozwijający się umysł nie troszczy się wiele o formy i przepisy stylu; w sobie ma naukowych materyjałów zapasy, a poczucie piękna uporządkować i należycie wydać je nauczy.

Że dwie drogi do tego celu prowadzą: jedna objaśniająca nam po szczególe główne zasady i główne cechy piękna,—a druga praktycznego z niemi osvajania się przez przestawanie z ludźmi w ten sposób wykształconymi i czytanie dzieł napisanych przez tychże, obie więc te drogi zestawimy razem, abyśmy na żywych przykładach najpierwszych naszych pisarzy lepiej pojęli to, co sztuka—właściwie ich naśladownictwem będąca, za piękne i stosowne w mowie i piśmie uznała.

O STYLU.

Wypowiadać myśli swoje według zasad logiki jest koniecznością dla każdego, kto chce być zrozumianym przez drugich, a takiej logiki w porządkowaniu wyrazów i zdań uczymy się z pierwszej części nauki języka, to jest: z gramatyki i składni.

Że jednak nie wystarcza to człowiekowi, aby był tylko *zrozumianym*, że swoją mową pragnie on zniewolić, przekonać i wzruszyć, więc mając już wyrobioną logiczną jej stronę, to jest: układ wyrazów i zdań odpowiadających wymaganiom rozumu, zajmuje się żywo i formą w jakiej wypowiada swe myśli, stara się o jej piękno działające na wyobraźnię i na serce drugich, a wskazówkę do schwycenia tego piękna znajduje w drugiej części nauki języka, — nauką stylu nazwaną.

Styl — (nazwa pochodząca od łacińskiego *stylus*) oznaczał niegdyś narzędzie na jednym końcu zaostrome dla rycia niemi liter na korze drzewnej lub tabliczkach napuszczonych woskiem, a na drugim spłaszczone dla zacierania ich w razie potrzeby; dziś oznacza on *sposób* jakim wydajemy swe myśli i inaczej *wysłowieniem* go zwiemy.

Rodzaj tego wysłowienia jest przeróżnaity i zależy: od stopnia wykształcenia, od siły i kierunku uczucia,

od wrodzonych zresztą zdolności piszącego i z tych względów starożytni dzielili styl na *prosty* czyli *naturalny*, *średni* czyli *ozdobny*, i *górnny* czyli właściwiej mówiąc *wzniosły*.

Stylem naturalnym zwali owo wysłowienie, co mało wało myśli i uczucia dokładnie, ale nie podnosząc znaczenia tychże bynajmniej;—co oddawało je jasno, ale tak po prostu i bez żadnych upiększeń, że wcale innych nie wymagało warunków, prócz znajomości przedmiotu i gramatycznych zasad języka.

Stylem średnim czyli ozdobnym wyrażali się tacy, co obok znajomości obranego przedmiotu i języka w jakim opowiedzieć go chcieli, posiadali jeszcze i piękny, przyrodzony dar słowa, co umieli za pomocą porównań i przenośni ubarwić i ożywić rzecz każdą, jednem słowem ci,—co nietylko umysłowo ale i estetycznie wykształconymi byli.

Styl zaś wzniosły, właściwym był ludziom wielkiego ducha i serca, którzy z tego źródła czerpiąc myśli głębokiego znaczenia, własnem uczuciem porwani mimowolnie prawie stosowali do niego i wysłowienia swoje; bo to co piękne, szczytne i święte było w pojęciu, nie mogło się w prostéj, pospolitéj formie przedstawiać, i wymagało zarówno wyrazów jak i wyrażeń takich, kóreby odpowiadając *rzeczy*, w niezwyčajnej postaci przedstawiały to,—co przechodziło po-za zwyczajności granicę. Co tylko więc najwspanialszego w ozdobach i porównaniach wynaleźć można było, co tylko najsilniej mogło uderzyć umysł a poruszyć serce, co najwyżej ducha podnieść było w stanie, wszystko to składało się na odmalowanie tego, co z wyższego świata czerpane, było nieskończoności pojęciem.

Oprócz takich podziałów stylu, różrózniamy dziś

i inne jeszcze rodzaje ze względu na indywidualność pisarza, na charakter narodów, na przedmiot mający się opisać, a także i na epokę, która właściwą sobie cechą każdy ten rodzaj znaczyła.

Codo pierwszego względu indywidualności pisarza wiemy dobrze wszyscy, że jak mimo ogólnego podobieństwa zewnętrznej postaci, człowiek jeden od drugiego różni się szczegółowymi rysami, tak i moralnie uważani, nawet mimo jednych i takich samych darów umysłu i serca, różnią się między sobą małemi odcieniami, lub innemi tychże przymiotów barwami.

Różnicę rysów dostrzegamy własném swoim okiem; różnicę usposobień, uczuć i myśli człowieka, on sam odsłania nam w swój mowie.

Im kto był wyższych zdolności i głębszego uczucia, tém więcej styl jego różnił się od innych,—i wtedy odmiennym—sobie tylko właściwym *sposobem* czyli *stylem* myśli swe w pismach swoich malował, kładąc na nich wybitną cechę usposobienia swego; a od takiej cechy osobistości czyli indywidualności styl i język takiego pisarza—jego nazwisko przybierał, jako to: styl Reja Skargi, Górnickiego, Naruszewicza, Krasickiego, Kraszewskiego, Kremera, i innych.

Każdy z nich był człowiekiem podniosłego ducha, ale każdy z nich był w innych warunkach życia postawiony, więc też i myśli jego inną barwę i kierunek obierać musiały i inną drogą go wiodły do wspólnego im celu—służenia Bogu i ludziom.

Codo drugiego względu na charakter narodów, to najprzód zrozumieć potrzeba: że naród cały—to ni by człowiek zbiorowy,—tychże samych warunków do

życia swego wymaga co i pojedynczy, a więc: geograficzne położenie kraju, klimat, roślinność miejscowa jaka za pokarm mu służy, rząd jakiemu ulega, instytucyje polityczne i naukowe z jakich korzysta, składają się na wyrobienie charakteru jemu właściwego szczególnie. I jak pojedynczy człowiek, i tak cały naród ma swoje osobiste przymioty i wady, swoje własne uczucia i myśli, swoje zapatrywanie się na rzeczy i swoje o nich pojęcia i sądy, i tak samo jak pojedynczy człowiek w odpowiedni swemu charakterowi sposób wypowiada swoje uczucia i myśli, a sposób ten czyli styl znowu swą nazwę od nazwy narodu przybiera.

I tak styl francuzki odpowiednio do charakteru narodu będzie żywy, lekki, żartobliwy, pełen igraszki dwojakiego znaczenia wyrazów.

Angielski, *Szwedzki* poważniejszy w treści, oględniejszy w malowaniu i uczuć i myśli.

Niemiecki sentymentalny. Styl *l a k o n i c z n y* związły, treściwy, właściwy ludom rycerskim jak: Rzymianom i Grekom, w krótkich zdaniach a nieraz pojedynczych wyrazach wydawał myśli wielkie jakimi sławne jest owo Horacyjuszowskie, „*umrzeć*“, „i owo: „*przyjdź i weź*“ — i jak to upomnienie: „*z nią albo na nią*“ — jakiem matka Spartanka zegnała syna, dając mu tarczę na boje. Styl *w s c h o d n i*, ¹⁾ w którym odbija się całe bogactwo

1) Przykłady takiego stylu znajdują się w powieści Zyg. Krasińskiego *Agan-Han*, w której on sam, jako syn Wschodu — tak opowiada o swych rodzicach i kraju: „Na rozańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało; tyle diamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewic ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa — blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust rożanych — matka moja . . . Namioty ojca, jak fale wielkiego morza bieleją na stepach kiedy Azarela wezwie do boku. Stada koni hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby simimum wiry. Złote ostrza spis, tleją przy jego na-

przyrody kolebkę świata otaczającą i tryska poezya, jaka wykarmiła i rozkołysała człowieka w krainie cudów i piękna. Pełno tam jaskrawych porównań, przenośni, fantazy; u nas w prozie używany jest tylko jako tłumaczenie lub naśladowanie mowy wschodnich ludów, którym jest ona właściwą. W naszych ustach byłaby przesadą rażącą i śmieszną, bo odpowiednio do usposobienia naszego, do tego co nas otacza, i co wewnątrz nas żyje, styl polski jest w wyrażeniach dobitny i jędrny; w określaniu myśli treściwy i zwięzły, uczuciem i pojęciami wzniosły,—a w porównania i w poetyczne obrazy w właściwych miejscach—bogaty.

Wreszcie ze względu na przedmiot styl najliczniejszym przemianom podlega; bo jakkolwiek niema przedmiotu tak obojętnego, którego by własnym uczuciem ożywić się nie dało, i niema tak prozaicznej nauki, przez którąby promyk piękna przedostać się i ubarwić jej nie mógł, to jednakże uważając na cel, w jakim przedmiot ten podnosimy, stosować doń wypada wyśłowienie swoje bacząc na to,—czy on do serca, czyli też tylko się do umysłu odnosi. Inaczej się więc pisze rzeczy naukowe, płynące z rozumu, — a inaczej—chwytane z życia ludzkiego i czerpane z serca; inaczej się obrabia przedmioty przeznaczone dla osób wyższego

miocie w nocy jak zbiór gwiazd na straży przy świętej jego głowie; a mnie dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła Hanów i Paszów; powietrze chłodzą wachlarze dziewic i brzmia u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur z kadzidel w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczami, gdzie motyle—drogiemi kamieniami, a kwiaty—motylów kochanki, piasek złotem polska i każde źdźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.“

W listach Józefa Kremera przytoczone są wyjątki z pieśni perskich, w których poeta tak maluje noc:

„Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściorodna jak młodości

już wykształcenia,—a inaczej —gdy chcemy nieumiejętnych nauczyć;—inaczej jeszcze nareszcie, gdy albo sam przedmiot, albo własne usposobienie nasze pobudza nas do wesołych lub smutnych,—do spokojnych i słodkich,—lub gwałtownych i pełnych goryczy wyrażen. Stosując więc styl do tych potrzeb myśli i pobudek serca, rozróżniamy w nim następnie: styl urzędowy,—naukowy,—w rzeczach odnoszących się do umysłu przeważnie; historyczny,—obrazowy,—poetyczny,—w pismach malujących świat zewnętrzny i życie nas otaczające;—liryczny,—patetyczny,—sarkastyczny,—kрасomowczy, w którym się świat czysto duchowy względnie do naszego uczucia odbija, a każdy z nich odpowiednich sobie warunków i przedmiotów wymaga.

Itak: styl, sądowy, administracyjny, i urzędowy w ogóle, w raz na zawsze stanowczo przyjętej formie wypowiada rzecz główną dobitnie, zwięźle, bez żadnego względu na piękno i harmoniją. Idzie w nim głównie o gruntowność zasady i jasność twierdzenia, a więc żadne styłu ozdoby miejsca tu mieć nie mogą, jako odrywające uwagę od tego, co ją głównie i jedynie zajmować tylko powinno.

Styl naukowy czyli dydaktyczny ma na celu

blógi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem, a umilkły nawet spracowane wieści dzienne. W świecie całym, w tej przedziwnej altance Bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartem chodziły po niebie. Noc ukradkiem uniosła baczność czujną i milczały dzwonów zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałych miecze, a maki zasypały grodowej straży oczy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosy na modlitwę Panu!

W tej nocy wdzięcznej spoczywała na łożu Sulejka, miódousta, snu słodycze pokryły jęj oczu narcyzy. Dziewica użyczała wezłowi włósów wonnych fale, a łoże ustroiła postacia, jakby zwojem wdzięcznym róż.“

również przekonanie rozumu, więc nim przeważnie zajęty, ogranicza się także na jasnym wypowiedzeniu swych zasad i logicznym ich uporządkowaniu, ale jest staranniejszy pod względem dobrania i szykowania wyrazów, przez co o wiele gładszym i harmonijniejszym się staje. Np:

—.,, Woronicz i Niemcewicz doczekali się najświetniejszego rozwoju literatury narodowej, kiedy poezycja polska zajaśniała całym gronem jenijuszów poetycznych.

Zwrócono myśli i uczucie do ojezystych progów: zrozumiano, że tylko rozwój narodowej literatury może być głównym w położeniu naszym pytaniem, a jego rozwiązanie okazało potrzebę wielkich sił i żelaznej pracy, głównie w gałęzi polskich dziejów. I nagle, w krótkim lat przeciągu, ogromne skarby przeszłości pojawiły się tak dla historii jak literatury, nieznane dotąd, z pleśni niepamięci dobyte.

Historycy i badacze objęli nietylko dzieje królów panujących ale dzieje swego narodu, żywot domowy, stan umysłowości. Uczczono gruzy wielkich grodów i zamków, jak ruiny *Odrzykońskiego* zamku uwieńczone najpiękniejszymi wspomnieniami. W silnych zarysach wystąpiła stara *przeszłość*; po raz pierwszy może ukazała poważne swoje oblicze dotąd tajemnicze i obce.

Ci co zbierali nieznane dotąd pieśni ludu, podania i pamiątki ludowe, szli za natchnieniem Bożem: przeczuwali, że gdy postawią na jaśni umysłowej skarbnice ludu, obudzą dłoń większe współczucie. Od kiedyż-to głos większości rozległ się w kraju za ludem? Wtedy nabrał siły i rozgłosu, gdy zbieracze zaniedbanęj literatury kmiećej, przechowanej *żywym słowem* jedynie, pokazali ją narodowi, a ten poznał i zajrzał bliżej w to serce ludu, pełne rzewnego uczucia, szlachetności i prostoty szczeręj a ukochanęj. Oni-to, za wykradzione skarby z pod wiejskiej strzechy, zjednali dla nięj cześć i obudzili myśl praw obywatelskich dla ludu.

Nie zgłębiliśmy należycie tęg niepismienęj literatury naszego plemienia, bo tak tu, jak w każdęj gałęzi, tylko pojedyncze poświęcenia przyciśnione chudobą, a częścicęj ubóstwem działały. Wiele jeszcze pracy i trudów zostało do przełama-

nia, zanim zdobędziemy cały skarbiec literatury ludowej: tych pieśni licznych jak ptaki naszej ziemi,—tych powieści i podań które każde gruzy, zwaliska, kopce, kamienie, rzeki i jeziora, urokiem swoim osnuły, cudownością lub przestraczem ubarwiły.“

Literatura Wójcickiego tom 4. st. V.

Styl historyczny oprócz powyższych przymiotów już i innych także wymaga, bo daje obraz życia, bo sprężynami opisywanego działania są ludzie obdarzeni uczuciem, a działanie to miało źródło w ich bohaterских cnotach lub namiętnościach nagannych. Stosownie więc do faktów opowiadanych musi być obok powagi stylu i żywość obrazowania; obok prostoty i naturalności—dobitność i zwięzłość; obok zwięzłości wyrażen, —rozmaitość uczucia i myśli. Np:

—„Już czterdzieści i pięć dni oblegali Muzułmanie Wiedeń, z którego cesarz Leopold oddalił się do Linzu, i już oparowało Niemców zwątpienie, gdy król Jan Sobieski przybył w 20,000 rycerstwa. Objąwszy zaraz naczelnictwo sił połączonych, sprawił Sobieski wojsko do bitwy poruczając prawo skrzydło hetmanowi Jabłonowskiemu, a lewe księciu Lotaryńskiemu. Sam dowodził środkiem. Nazajutrz dnia 22 Września 1683 o świcie słuchał Sobieski mszy świętej i modlił się z podniesionemi rękoma ku niebu. Poczém pełen ufności w pomoc Bożą siadł na swego bułanego konia i przejrzał szeregi. Widząc że w obec nieprzyjaciela niemal sześć razy liczniejszego Niemcy chwiejają się, Sobieski przywołał ze swoich wiarusów rotmistrza chorągwi pancernej i pokazując mu z daleka świecącą gałkę na namiocie Wezyra, rzekł: „Tam waszmość z towarzyszami swoimi dotrzesz i uderzysz kopijami w ten namiot.“ Dzielny rotmistrz wysunął się z garstką walecznych, kazał im kopije nastawić do kłócia i z okrzykiem: „Jezus! Maryja!“ rzucił się na Turków, którzy jak rój pszczoł otoczyli chorągiew. Tuman kurzu wzbił się nad rycerzami i raz po raz tylko chorągiew z białym orłem zabłysła, a Sobieski żęgnął walczących relikwią krzyża świętego i wzywał Boskiej pomocy. W pół godziny wrócił rotmistrz do króla, straci-

wszy zaledwie kilkunastu rycerzy, lecz narobiwszy wielkiego zamieszania wśród Turków. Niemcy wydali okrzyk podziwienia i w serca wszystkich wstąpiła otucha zwycięstwa.

Wtém—Sobieski dał znak do bitwy i rozpoczął się wszędzie zacięty, śrogi bój. Sobieski był wszędzie pomiędzy pierwszymi, za przykładem niegdyś Machabeuszów modląc się i walcząc. O godzinie piątej z południa już Turcy na głowę pobici poszli w rozsypkę, zostawiwszy na pobojowisku ogromne mnóstwo trupów: cały obóz a z nim niezmierne bogactwo dostały się w ręce króla. Nazajutrz po bitwie Sobieski wjechał uroczystie do Wiednia na czele wojsk sprzymierzonych. Lud cisnął się, aby widzieć Obrońcę i płakał z radości. Matki unosiły dzieci swe do góry pokazując im Sobieskiego. Król Jan prosto zmierzał do kościoła i tam zaśpiewano: *Te Deum laudamus.*“ Poczém wszedł ksiądz na ambonę i zaczął mówić od tych słów Ewangelii „Był człowiek posłany od Boga, któremu imię było Jan.“ Oczy wszystkich zwróciły się na Sobieskiego; wszyscy uważali w nim zbawcę zesłanego przez Pana Boga. Chorągwie zdobyte na Turkach przesłał król Jan Papieżowi Jnnocentemu XI z temi słowy: „Przybyłem, widziałem, a Bóg zwyciężył.“

z Hist. oblężenia Wiednia.

Styl obrazowy jest mniej więcej: w wierném lub piękném malowaniem postrzeganych przedmiotów i uwag poczynionych nad niemi. W wierném obrazowaniu—piszący nie ubiega się wcale a to, aby rzecz przedstawić ze strony samego tylko piękna, lecz pokazując nam ją taką, jaką jest w istocie, choćby nawet niepowabną wcale, już przez to samo zajmującą ją czyni, iż ją tak żywo naszój wyobraźni przedstawia, jako byśmy na nią własnymi oczyma patrzyli.

Np.—„Nad drogi poleskie nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ah! wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek, cierpiałyby męczarnią najwyrafinowańszą w tych jaskiniach swędu i niechlujstwa.

Już widzę, jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą, że będzie wkrótce karczma. Wygląda on, niepokoi

się, i widzi nareszcie światło błyszczące z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stój!—Dach się chyli, komin wali, wjazd zawalony błotem, stajnia bydłem, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słychać gwar głuchy pijackiej rozmowy. Pytasz o osobną izbę; żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nie rad, ciemno, błoto, późno, słota, wchodzisz do jedynej! Ah! pod nogami twojami płaczą się bachury, gęsi, kury, błoto; głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny wiszący u pułapu, a kapiący łojem; w nos twój wpada zapach gorzalki, dymu fajek, swędu właściwego żydom, kwasu, czadu łaju, dziegciu i błota; uderza o uszy twoje gwar pomieszany beku dzieci, krzyku kur, kaczek, gęsi, żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich. Na dobitkę w jednym kącie żydzi rzną kożę wśród izby; w drugim szpektor uczy dziecko, ponuro powtarzając: geher! Uciekasz do alkierza! W alkierzu na betach i piernatach żydzi mieszą bułki i łokszyn, wisi kołyska, stoi stół kulawy, włóczy się kotka z kociętami, skaczą kozy po ławach, zawala drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugina leży kupa kartofli. Ani sposobu! Gdzież ja będę nocował!.. myśli biedny podróżny. Żyd—jako bardzo przebiegły, wybiega naprzód do stajni zobaczyć, czém podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie. Jeżeli parą końmi, niekrytym wózkiem, a żyd ma kilkaset rubli, traktuje podróżnego *de puissance en puissance, en égal*; kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę, (tu wszyscy żydzi fajki palą) i chodzi w czapce. Jeżeli konie zaprzężone w szwarz,—z trochę większą dystynkcyją;— jeżeli jedziesz ze dzwonkiem,—największy respekt; jeżeli masz kocz i brykę,—wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę. Daje ci świecę chorą, leżącą na bok w lichtarzu; gospodyni zamiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypują piaskiem. Ale któż cię wybawi od całej historii naturalnej wijącej się po ścianach jakby naumyślnie do obserwacyi; od smrodów, któremi już ściany przesiąkły; od krzyku z sąsiedniej wylatującego izby, bachurów, kotów, żydów, szpektora i t. d.“

Ig. Kr. Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy.

Nic tu niema pięknego; owszem—rzeczy opisywane mimowolną przejmują odrazą; a jednak tego ro-

dzaju obrazki, jako odbijające prawdę codziennego życia, nadzwyczaj zajmują w powieściach i w opisach podróży, bo urozmaicając i równoważąc wrażenia wyższem wywołane uczuciem, dają niejako wytchnąć naszej myśli, lot jój skierowawszy ku ziemi. Styl taki — wymaga niepospolitego dowcipu, żywości wyobraźni i wielkiej bystrości umysłu w chwyтaniu nasuwających mu się przedmiotów, i czynieniu trafnych nad nimi spostrzeżeń.

W piękném obrazowaniu już więcj w zględna, to jest odnośna do naszego usposobienia prawda się maluje; bo jeżeli nie podnosimy znaczenia jój wyżej nad rzetelną jój wartość, to przynajmniej zakrywamy lub pomijamy starannie odwrotną stronę jój piękna w ten sposób, że cały obraz nietylko już na wyobraźnię, ale i na serce oddziaływa mocno, miłem je przejmując wrażeniem.

Np.—, Była-to pustka po-za wsią; cztery tylko ściany w ruinach i gruzie; po jednej z nich wyższej i wznioslejszej poznałem rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszemi szkarpy nad wzgórzem ożynami i tarniną porosłem panował, a na nim chwiał się jeszcze stary krzyż żelazny, do którego przyparte było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia ruderach, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pozartą została.

Ludzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść i nie wskrzesili starj, pocziwěj Ojców modlitwy kamiennj; kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił podnoszących się nad grzbiet ziemi, kilka drzew starych współczesnych kościolkowi wiejskiemu ubierały to miejsce smutne, zdziczałe i ciche.

Z pagórka, na którym wznosił się kościółek nad urwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał w dal ogromną po-za drugi brzeg wody, na lasy, sioła, pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce zachodzące złociło szczyt upadłj

budowy, a bocian klekotał na gnieździe, wróble układały się do snu w krzakach bujnie zarosłych do koła; para krówek chudych powoli schodziła z paszy na grobach ku chatom w dolinie.

Ostatni promyk słońca złościł jeszcze przez chwilę krzyżyk żelazny, odbijał się w wodzie rzeczulki, potem zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi. Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy wśród powiększających się ciemności, zadzwoniono w dolinie na *Anioł Pański* i echo poniosło daleko po rosie odgłos dzwonka wiejskiego. Anioły lecące w powietrzu się zatrzymały i modliły za poległych...

Mogily Kraszewskiego.

Styl poetyczny jest także pięknem obrazowaniem, ale już podniesionem do najwyższego stopnia tego piękna, co już nietylko z opisywanych przedmiotów, ale wprost z duszy piszącego wypływa. Polega on na umiejętnem użyciu przenośni, porównań, na idealizowaniu rzeczy podpadających pod zmysły, na chwytności związku, jaki może zachodzić pomiędzy światem ducha a światem materji i wymaga wysokięj poetyckięj zdolności jaką się odznaczają w swych pismach Ig. Kraszewski, Zyg. Kaczkowski, Gabryela, Józef Kremer—i ten ostatni tak maluje nam noc.

— „Znasz te ciche, święte noce, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwo swoje, gdy księżyc poświęca drżącą marzę po dolinach i wzgórzach gwiazd i ziółem sztych i zagłada srebrnym spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych, gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską, drży w rosy kropelce na liściu zawieszonęj, Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazyją nocy zasnęły i marzą, stając się jakby własnem widmem swoim, a tłumy skoczne iskier srebrnych płasają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nich rusałkach cudnych i przez

sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiane obłoki, co niewiedzieć zkąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącej ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych—i spi.“

Listy J. Kremera.

Styl liryczny cechuje się głównie głębokiem a smutném uczuciem; nie poetyzuje, nie obrazuje nawet, nie szuka porównań ani ozdób, a jest tylko wyłaniem duszy, lub tęsknoty serca, któremu ulżyć potrzeba jest koniecznie. Do tego rodzaju stylu, już nie talentu, ale tylko zdolności wiernego oddania głęboko pojętej boleści potrzeba i taką odznaczyli się w swych pismach: Zyg. Krasiniński, — J. Ig. Kraszewski, — Ks. Antoniewicz, tak opisujący ostatnią noc w swym własnym domu spędzoną.

—, „Coraz bardziej ciemnieć zaczęło; światło w domu błyszczało przez szyby; wróciłem już późno i w tym domu przechodząc przez długi rząd pokojów widziałem jakby rozwiniętą uroczemi obrazami całą przeszłość, całą młodość moją. Pomodliłem się przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa w domowej kaplicy i lżej mi się zrobiło na duszy.

Tak wszystko pusto i głucho było w około . . . wszystkie głosy radości i żalu ucichły, — wszystkie drogie osoby, których posłyszane kroki radość niegdyś przynosiły sercu, już znikły; sam zostawałem ze wspomnieniem mojem, z boleścią moją, z przeszłością moją! . . . U nóg mich leżał brytan ulubiony Zosi, nie przeczuwając, że jak stracił panią, tak wkrótce pana swego straci; on w późny wieczór, gdym z sąsiedztwa powracał, radosném wyciem oznajmiał Zosi siedzącej przy robocie w późną noc, przybycie moje. Biedny brytan! nie miał już komu oznajmiać przybycia mego! . . . wkrótce nie będzie miał i powitać kogo . . . I mignął się przez szyby okna blask latarni; poznałem to światelko, wiernéj, poczciwéj klucznicy wracającej z krowiarni, jak niegdyś za czasów Zosi; i weszła do pokoju; — rzuciła się do nóg moich i łzami zalana nie mogła

nie przemówić . . . ścisnąłem jęj rękę na ostatnie dobranoc!—Przesiedziałem tę noc; chciałem usnąć, ale nie mogłem; . . . chciałem się modlić, ale nie znalazłem słów, tylko—łzy! . . . I ranek zaświtał. Nie mając dość siły, aby się żegnać ze wszystkimi domownikami, wsiadłem na wózek: jeszcze raz zwróciłem oczy na ten dom; pożegnałem tę wioskę i wszystko znikło z oczów moich: ale nie nie zginęło w sercu mojem. Żyje ta pamięć w głębi duszy, a jeżeli ją poruszę, to chwilka po chwili, uczucie po uczuciu tak żywo powraca, jakby ten przeciąg czasu był jednym tylko snem ciężkim.“

Liryzm taki—jako owoc uczucia, tak dalece nie od w y r a z ó w, ale od d u c h a, jaki z nich wieje zależy, że najprostszymi, powszedniemi, z ust ludu wziętymi, a nawet śmiejącemi się wyrazami skreślony obrazek, schwyłci przecieź za serce tym smutkiem, jaki płynie z głębi samego przedmiotu, mimo barwy wesolej jaką mu słowy dać chcemy. Za przykład tego może posłużyć ustęp z powieści Kraszewskiego, ¹⁾ w której pana umierającego z tęsknoty za ojczystą ziemią, chłopak jego, również za nią tęskniący,—tak mówiąc o powrocie, słodkiem marzeniem do snu na wieki kołysze.

—„To jakbym ja widział, proszę Jegomości, rzekł Maciek, Dalifur wyleci z łysą głową, bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się.. Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso,... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz!.. A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu, wszędy radość.. wesele. Nazajutrz—wójt ze starszymi idzie powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił.. drzewa szemrzą: pan... bociany krzyczą: pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha!—Tylko stary indyk napérzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc, a ja go po czerwonym nosie... masz trutniu!.

1) Pól—Dyable Weneckie

Maciek tak się zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazyja. Pan śmiejąc się zakaszał mocno, musiał na ławce przysiąść, pełną krwi chustkę odjął od ust... Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powłókł się do łóżka... Caritta siadła przy nim, zdawał się jęć nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek Najświętszej Panny i szablę powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy niekiedy łzy mu poszły z pod powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcał.

I dalej:—Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

—A która tam godzina? zapytał Konrad.

—O! już słońko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak; bydelko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy obory, idzie, Zdrowaśki mrużące, na folwark do wieczery... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebani kszężyna odmawia brewijarz....

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

—Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

—Auo, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek; żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały. Burek chodzi i burczy... cicho! cicho! tylko od młyna turkot, słyhać jak tam koła szumią i turkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na Anioł Pański dawno przedzwonili,

—A we dworze? spytał Konrad.

—Pustka Panie.

—Zegar idzie?

—O ten to się nie zająknie pewnie!

—Która godzina? począł Konrad...

—Ciemno dobrze... ino nie wiem, dodał chłopak czegoś przelekły, czemu oni nie wracają?

—Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

—Może świece zapalić?

—Tak, dobrze, słabym głosem zawołał Konrad, przed N. Panną zmówimy litaniją... Ale spojrzno, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie....

—Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu się blade wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie

dreszcze i trwogę w duszy. Nadstawił ucha, myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gondoli, ale—cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego; podniosły się ciężko powieki.

—Maćku, rzekł, co tam w domu?

—Spią, Panie.

Chłopak przysunął się do łóżka; chuda, koścista rękę dobył z pod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

—To dla ciebie, rzekł, abys miał o czém powracać do domu.

—A mój Panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

—Weź rzekł, i daj mi rękę; taki dziękuję ci... niech Bóg szezęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł; pokląkł przy nim.

—Co się ty tam trwożysz? począł Konrad, niema czego. Jam zdrów! mnie już dobrze,—tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie; zaśpiewaj co naszego, ... po ci-chu, ... ja się zdrzemnę ...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało: oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się,—spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem.—Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeżelibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej: jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ... ludzie inni,—serca dobre,—ale inne, o! nie nasze!.. Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli.

Tam lepij, —nawet z samotnością i nędzą ... porzuc swego starego, albo go weźmij z sobą ... wracaj ... mówię ci ... bo nie wyżyjesz ...

I znowu pochylił się na poduszki.

—Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

—Co tu lży pomoga, wyszeptał chory, nie masz jeszcze czego płakać.—to babska rzecz ... wstydź się.

A po chwili znowu spytał. Która godzina? co tam u nas robiają? czemu oni nie wracają?—wszak na dworze pogoda?

—Pogoda, panie.

—Swieci księżyc?

—Jeszcze nie wszedł.

—Tu nie taki księżyc jak u nas . . .

—Tak, u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potem milczenie . . . chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu sły-chać już nie było . . . Bo nie było już i duszy Konrada na świecie.“

Styl patetyczny równie jak i liryczny wpły-wa z smętnego zawsze uczucia, ale różni się od niego wyraźną chęcią poruszenia i wywołania tegoż uczucia w drugich, kiedy styl liryczny przeciwnie jest tylko własnego usposobienia odbiciem.

Stylu takiego używa się w mowach, kazaniach, o-sobliwie też pogrzebowych, dla rozrzewnienia słucha-czów jak np. w tym wyjątku z kazania księdza Skargi mianem na pogrzebie Anny Jagiellonki.

„Tak się królestwu wszystkiemu, stanom jego, domo-wnikom i poddanym wszystkim zachowała, iż słusznie nad śmiercią jej płakać i onęj żałować winni jesteśmy. Żałujcie kapłani Boży i wszystek stan duchowny, iżesmy obrońcę wi-ary i stanu naszego życzliwą dobrodziejkę stracili! Żałuj kró-lestwo wszystko! ostatniego potomka królów twoich pogrze-basz, którzy cię na rękę jako mamki i piastunki nosili i sławę twoją i pokój i pożytki rozmnożyli, i za dobre twoje umierać chcieli, w których krwi i następowaniu jednego po drugim, na-dzieja twoja dobra zostawała. Jagiellonów szczątek i ostatek już poległ! Ozdoba twoja i korona głowy twojej spadła! Królewska córą, królewska żoną, królewska w siostrzeńcu mat-ka tobie odeszła, która cię w przygodach i zachwianiu podźwi-gała i podejmowała! Żałuj miłościwy królu drugiej matki twojej! jedna cię urodziła człowiekiem, druga królem: jedna cię wychowała, druga ozdobiła i wyniosła i w prawęj macie-

rzyńskiej miłości z tą co urodziła, zrównała! Płaczcie też domownicy, nie pani, gospodyni, ale matki swojej, która was jako dzieci swe miłowała, o wasze krzywdy się zastawiała, was pilnie opatrowała i nikogoż na testamencie, aż do najmniejszego kucheika nie zapomniała! Córki polskie i białogłowy wszystkich stanów płaczcie! Utraciłyście matkę, która złote szaty strojom waszym dawała! Miałycie płci swojej wielką ozdobę i pociechę; córki wasze wychowywała i wyposażała; wszelkiej radości przyczyną wam była. O jakież łzami tę utratę swoją ugasicie! Płaczcie sieroty, wdowy i ukrzywdzone niewiasty! miałyście gotową ucieczkę i pomoc w trwogach i dolegliwościach waszych. Płaczcie klasztory i szpitale! odeszła wam dobrodziejka, do której oczy wasze obrócone były, która was odziewała, broniła, karmiła! Płaczmy wszyscy, iżemy utracili królową i matkę naszą, do którejśmy mówić one słowa mogli: „Tyś była chlubą narodu naszego; tyś uweselała poddane twoje, tyś była ozdobą ludu twego! Tyś była przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego; z ciebieśmy mieli nie tylko pomoc i uweselenie ale i zbudowanie. Tyś cnotami swemi zamknęła Jagiellońską krew i domowi twemu takiś piękny koniec i zamknięcie zejściem swoim dała, cnoty i miłość ku poddanym wyrażając“.

Stylu patetycznego używa się także czasami, dla wyrażenia politowania nad czémś, co bynajmniej nas samych nie martwi i wtedy ton mowy wyraźnie niezgodny z uczuciem, jest tylko dowcipu wynikiem, a styl taki nazwę: patetyczno-żartobliwego przybiera: np.

— „Każde bióro redakcyi, to skalpel doktorski, to gabinet anatomiczny, to rzeź niewinności! . . . Zwiedziłem je, poznałem i o bogi! . . . widziałem na własne oczy straszną tajemnicę ich życia! . . . widziałem, jak się zapełnia ich numer, jak się zrastają członki w jeden tułów, jak je płatają, wydymają i kształcą; patrzyłem jak klasyfikowały się artykuły, jak na skinienie redaktora jedne z nich sadowiły się w szpalnach, drugie czekały na miejsce, a wiele dlatego tylko wycią-

gnięto z koperty, ażeby natychmiast skazane zostały na śmierć! Wyznaję wam, nie chodziło mi o te artykuły, co wsparte powagą imienia jakiego literackiego arystokraty z dumą pierwsze zabierały miejsce, ale o te wzgardzone a ubogie, o tę działwę niegłośnych ojców, którą wyprawiono z domu z nadzieją, że je tam ocenią i pokochają sercem! . . . Nie bez rozrzewnienia patrzałem na taki niefortunny kajecik, jak leżał w rozpaczliwej postaci, na wznak, na redaktorskim stoliku i z tłumu otaczających go współbraci wszystkimi swojemi wykrzyknikami, jak żołnierz ranny wołało o pomstę do Pana Boga; wołał: „dobijcie, kto w Boga wierzył!“ I mimowalnie myślałem wtedy: biedny autorze! może myśl poczciwa, serce kochające podały ci pióro do ręki... Pisałeś, ciesząc się nadzieją, że cię pojmą i ocenią ludzie. Spaliłeś świec kilka;—nie dospałeś w nocy—wyskrobałeś żydki starannie; stawiałeś litery czytelnę i opatrzyłeś je we wszystkie znaki pisarskie, ażeby żadna drobnotka nie zepsuła efektu całości, przeczytałeś to wszystko wreszcie dwadzieścia razy i teraz liczysz dnie i godziny, ażali rychło ujrzysz to ukochane twe dziecko w płaszczyku drukarskim przemawiające do ludzi! . . . A tu je zimny wyrok spotkał i skazał na śmierć! . . . I rzekłem w duchu; O zaprawdę! . . . okrutni to muszą być ludzie ci: szanowni Redaktorowie! Teki ich,—to ementarze, zapewne nie mniejsze od Powązkowskiego!“

Listy z podróży. Padalicy. Tom 1 str. 114

Styl sarkastyczny pełen goryczy, ironii, wynika z uczucia zniechęcenia, rozczarowania i niewiary we wszystko co dobrém i zacném zowie się na świecie. Dowodzi on takiego bolesnego stanu duszy, w którym się tylko złe spostrzegać już umie, dlatego też jako dobry uważać go można wtedy jedynie, gdy chwilowo, jako postać mowy użyty, służy pisarzowi do zręcznego wypowiedzenia ludziom przykrój prawdy życiowej, lub wykazania im, jakim to wielkiem kalcetwem duszy jest owo usposobienie do takiego rodzaju mowy i pisma wiodące. Do jednego i drugiego celu,

użył Kraszewski stylu sarkastycznego w *Fragmencie Abracadabra*, z którego jest następujący wyjątek:

— „Trafilismy już na delirium i gorączkę, w której gadał z niesłychaną szybkością i wymową... professor i ja jak wkuci zatrzymaliśmy się na progu.

— Nie! wołał, nie zmożesz mię siłą niszcząca... jestem młody, mam wolę potężną, mam przyszłość... zwyciężę!... Czuję przed sobą życie... muszę je zdobyć. Zajrzę na dno tej wielkiej tajemnicy, której znam tylko zadanie a rozwiązania nie pojmuję.

— Wszystko głupstwo! dodał po chwili; na dnie wszędzie człowiek ze swoją małością i dzieciństwem... w każdym bohaterze siedzi w kątku kawałek błazna i trochę smarkacza... Ot, ot, zdaje ci się, żeś w nim schwytał wyższą istotę, a już się wyslizga i przedzierzga w małoletniego roztrzepańca. Zaczyna jak prorok, kończy jak szewc pijany;... doskonale śmieje się z głupstw cudzych, a swoje ma za całkowicie usprawiedliwione!... toż samo w życiu i nauce, a wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawki, a *on* wielkie X nieznane dlatego, by trójkę Platonowską dopełnić.

— Co mi pan mówisz, ofuknął się z cicha professor, on chyba udaje delirium, on nie deliriuje... .

— To być nie może, zbliż się pan, rzekłem.

Lekarz usiadł przy łóżku ostrożnie i z cicha, ja stanąłem za nim i tak dywagacyj jego, w których jeszcze był związek i przytomność, słuchaliśmy.

Drag się rozśmiał.

— Widzę, rzekł, nie, nie, nie jesteśmy tak źli, jak się zdajemy; ród ludzki składa się tylko po większej części z cieląt ze skrzydłami udających anioły, i cieląt z rogami, któreby rade za djabły uchodzić... przecież cielę cielęciem... .

Zamilkł podśmiewając po cichu.

— Nikogo, rzekł, żywej duszy... takie przeznaczenie moje, nigdy nie mieć nikogo, być wykarmionym z łaski, rzuconym na łaskę losu i sierotą zostać na zawsze... a pokazać, że wola wszystko zastąpić może, zwycięży i przemoże wszystko... Nie znałem ani ojca, ani matki, ani serca... i nie potrzebuję ich; miłość zmiękcza, rzecz babska, na nic się nie

zdało kochać . . . Pokraję świat w kawalki i zjem go po trosze . . . może też przy tej operacyi dobędę się do jego serca i zobaczę co bije na dnie.

—Biedny człowiek! . . . rzekł professor z litością . . . Kto wie co go czeka, to organizacyja potężna . . . ale w piersi pusto, zaschło serce, straszny człowiek.“—

Styl Krasomówczy używa się w mowach sejmowych, kaznodziejskich, sądowych, akademickich, których celem jest wygłaszać prawdy religijne i moralne; strzedz porządku i dobra publicznego, bronić niewinnych i uciśnionych, gromić występki i zbrodnie, oddawać sprawiedliwość zasłudze i cnocie, zachęcać do postępu we wszystkiem, co piękne i dobre na ziemi. Podstawą takiego rodzaju stylu jest: prawda, sprawiedliwość, miłość Boga i bliźnich. Wzniosłe i silne uczucie duszy, żywa wyobraźnia i wrodzona łatwość wysłowienia są jedynemi, prawdziwemi zaletami tego rodzaju stylu, jakim się odznaczyli kaznodzieje: Piotr Skarga, Birkowski, St. Orzechowski, T. Młodzianowski, P. Woronicz, Piramowicz, Antoniewicz, Prusinowski i inni—a jako mówcy: Hugo Kollątaj, Lud. Osiński, St. i Ig. Potoccy, Niemcewicz i t. d. Przykładem takiego stylu jest wyjątek z mowy St. Orzechowskiego na śmierć Zygmunta 1-go *)

„Umarł nasz Król. Przebóg! rycerze, cóżem to wyrzekł? mógłżeli umrzeć ten, którego świetna, którego prawdziwie królewska cnota, jeszcze niżeli doczesny zawód odprawił, już obdarzyła była nieśmiertelnością? Nie umarł zaiste, na lepszy świat z tego lichego, wyzuwszy znikomą postawę, przeniósł się. Tam domierzył, dokąd sobie całym życiem torował drogę, a wiekiem świętobliwie spędzonym otworzył wnijście. Oddalił się od nas,—w ciężkim nas po sobie żału zostawił, o-

*) Tłomaczenie Maks. Ossolińskiego z łacina

krył nas tą grubą żalobą, w której oto w obliczu jego martwych zwłok na tym tu uroczystym pogrzebie stawamy. Jemu samemu nie ubyło nic, okrom niekzemnej ciała osłony. Osiągnął nieskończoną wieczność; przemijające dni zamienił na jestestwo żadnym przygodom nie podległe. Nie nad jego losem, którego już wspanialszego, szlachetniejszego używa, rozrzewniać się należy. Myśmy ponieśli stratę okrutną; śmierć nie jemu, ale nam życie wydarła.... Wasze łzy, wasza to nie-uhamowana rozpacz świadkiem są, żeśmy wszystko z nim postradali. Nie jego niedola nas trapi, szlochamy nad własnem nieszczęściem. Utraciliśmy, rycerze, nie pana, albowiem—kiedyż nam jego berło ciążyło? ale najsprawiedliwszego króla i dobrotliwego ojca. Czterdzieści jeden lat temu królestwu panował, a w czémże nie zostawił po sobie przykładu skromnego i zawsze słusznością prowadzonego władzy używania? albo jakąż nas łaskawości, szczodrobliwości, ludzkości pamiętką nie obdarzył? Spójrzjmyż na kościoły: podźwignął, utrzymał, zachował wiarę świętą przodków naszych. Spójrzjmy na kraj: on go ojcowską miłością pielęgnował, wewnętrzną i zewnętrzną pomyślnością uszczęśliwiał, ozdobił w pokoju, wślawił, orężem rozszerzył, zaszczycił swoją mądrością i walęcnością. Był to król,— którego zaiste upłynione wieki nie widziały, potomne się nie doczekają.“

O wewnętrznych stylu przymiotach.

Najgłówniejszymi przymiotami naszego wyślowienia do jakiegobądź rodzaju stylu je zaliczamy są: jasność i stósowność zależne od myśli; i naturalność, zwięzłość, poprawność, i harmonija zależne od wyrażenia. Łączyć się one z sobą powinny koniecznie, jeżeli chcemy aby myśl wypowiedziana była zrozumiałą dla umysłu drugich i dźwięczną się dla ich ucha wydała.

J a s n o ś ć.

Z pomiędzy wyżej wymienionych przymiotów, jasność jest najpierwszym i tak dalece niezbędnym warunkiem stylu, że gdyby wszystkie inne oprócz niego znalazły się w mowie czy w piśmie, to jeszcze braku tego jednego tylko, zastąpićby wcale niemogły.

Człowiek mówi dlatego, aby drugim ludziom odślonił swe myśli i uczucia, więc mowa jego powinna być jasną jak przejrzysty kryształ, przez który promień słońca z całą łatwością przenika. Gdybyśmy szkło okien naszych w najpiękniejsze wzory pomalować kazali, a dali jój tło ciemne, nieprzepuszczające światła

zupełnie, to szkło owo celowi nie odpowie bynajmniej, bo nietylko, że zasłoni, zamiast odsłonić przedmioty na zewnątrz domu będące, ale nadto, kładąc tamę światłu, nie da nam wcale dojrzyć i owych wzorów kunsztownych. Mowa tak samo: jeżeli przez nią światło myśli nie przebije się jasno z powodu źle dobranych, i źle uszykowanych wyrażań i pomięszania pojęć, nie odpowie ona również swojemu celowi,—i żadne ozdoby wy, dać się w niej nie mogą; każdy więc piszący do tego najprzód usilnie dążyć powinien, aby go zrozumiano bez żadnej trudności, i dlatego potrzeba, aby zastanowiwszy się nad tém co chce wypowiedzieć, więcej o dokładne przedstawienie rzeczy—niż o jej upiększenie się starał.

Np. Praca największym wdziękiem jest życia, istotną miarą wartości, użyteczności człowieka; nietylko jest cnotą ale i szczęściem; bogate—wielu uciech z pracy wypływających nie znają. Znaż która z nich tę rozkosz nieocenioną utrzymania siebie, dostarczenia potrzebom życia swego własną, godziwą pracą? pojmujeż która, jakie miłe, jakie chlubne uczucie serce człowieka napełnia, kiedy, spojrzawszy na siebie, koło siebie, pomyślawszy o bycie, o szczęściu swoim, powiedzieć sobie może: „Panie! łaska to Twoja, ale praca moja.“

Praca jest źródłem wszystkich uciech; patrz tylko na uczciwego rękodzielnika, który wstawszy rano idzie do pracy; twarz jego wesoła, wejrzenie śmiałe, szanuje się sam, bo czuje swą wartość. Odejmiij pracę, spoczynek będzie męczarnią duszy i zniszczeniem ciała. A kiedy jeszcze z tej własnej pracy wypłyne sposób podania ręki rodzicom, krewnym, bliźniemu w potrzebie, wtedy ta rozkosz z niczém porównać się nie da. Zapewnić sobie własną pracą byt uczciwy i przyjemny, jest to dać dowód najoczywistszej wartości osobistej; i wyznają, że jeżeliby komu z dóbr ziemskich chęłpić się dozwoloném było, to nie tym, którzy majątek w spadku po rodzicach dostali i opływają w dostatkach bez żadnego naprzód ło-

żonego mozołu, ale tym, którzy własną, mozolną, a godziwą pracą do obfitości doszli.

O powinnościach kobiet. Hofman.

Jasność stylu dwóch tylko warunków wymaga: gruntownej znajomości przedmiotu, o którym mówić chcemy i znajomości języka w jakim opowiadać go mamy.

O znajomości przedmiotu.

Znać przedmiot,—jestto nietylko zbadać go do gruntu w najdrobniejszych jego szczegółach,—i własną myślą objąć całość jego, ale nadto—umiąć tę całość podzielić logicznie na części ułatwiające zrozumienie przedmiotu i wydać je w piśmie takim porządkiem, jakim one w pojęciu rzeczy następują po sobie. Zrozumiałwszy więc rzecz jakąś dokładnie, należy uchwycić jej wątek i od początku do końca, jakoby nic jedną snuć ją naturalną wypadków lub wrażeń kolejną, dzieląc znów mowę czy pismo na części, które zwiemy: *okresami*.

O okresach.

Podział mowy i pisma na części czyli okresy wynika ze względu na słaby umysł człowieka, który potrzebuje jakiegoś ułatwienia do pojęcia tego, co ogarnąć i zbadać dobrze pragnie, a zarazem--z potrzeby zaokrąglenia myśli w pełne życia, urozmaicone i harmonijne całości.

Każdy okres, czyli mały oddział mowy zawiera w sobie jedną myśl główną uzupełnioną przez zdania podrzędne, które oddzielną myślą nie stanowią wcale, ale obliczone na zdobycie czyjś przekonania lub serca następują po głównej i w ścisłym są z nią stosunku, jak w tym okresie naprzykład:

„*Pisma*, w których się pożytek łączy z przyjemną zabawą, w których są zatrudnione rozum, imaginacja i serce, *stają się rozkoszą życia* i zachęcając do czytania, *rozszerzają oświecenie* nawet między klasą tych ludzi, którzy nie mają ani dość ochoty, ani dość sposobności oddawania się naukom.

Słowacki.

Z czterech zdań składających ten okres — jedno tylko jest głównym; trzy inne choć nie są konieczne, łącząc się jednak z głównym — wykazują wartość *pism*, więc znaczenie myśli w niem zawartąj podnoszą i niezbędnie do zaokrąglenia jej są potrzebne.

Dwie główne myśli z osobnym rozwinięciem wtedy tylko w jednym okresie są dobre, kiedy ich zestawienie ze sobą wybitniej różnicę, podobieństwo lub skutki czegoś wykazuje, jak w następującym wyjątku to się pokaże:

„Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tém właśnie miejscu przechodzi graniczna linija między Galicyją a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyna tego grzbietu, dzielają dwa narody, dwa klimata.

Od północy dolina Kościeliska, uroczą różnaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości; od południa takż dolina do Węgier już należąca, téj saméj prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły.

Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna,—na Węgierskiej ślady dogorywającego lata: po pierwszej błękitnieją, żółcieją, rumienia się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty; na drugiej zaledwie gdzieniegdzie żółty jaskiers; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieją.“

Podróż do Tatrów. Goszczyńskiego.

Okresem, w ogóle — nazwać można każde zdanie zupełnie skończone jak np. to: „*Szczerosc i prawda najrzadsze z cnót ludzkich*“ (Kraszewski) ściślej się jednak tłumacząc: przez okres rozumiemy taki układ zdań, że one dzielą się na dwie połowy: w jednej wniosek, lub przyczyna, w drugiej twierdzenie lub skutek się mieszczą i tworzą *poprzednik* i *następnik*, które mogą stać w odwrotnym do siebie porządku. np: „*Trudniej zapomnieć niżeli darować, bo to pierwsze już nie od naszej woli zależy.*“¹⁾ (Feliks Ornis) „*Kto tylko tego szuka, co jest łatwem, nigdy tego, co jest wielkiem nie znajdzie.*“²⁾ (St. Potocki.)

Najzwyczajniejszym sposobem łączenia takich części w całość jest użycie spójników: bo, więc, że, ponieważ, gdy, dlatego i t. d. i zaimków względnych: który, jaki, co, kto, czyj, i tak dalej.

Np. „Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, *któ* im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: pieniąż, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia.“

Gabryela.

„W obecnym składzie społeczeńskim nieszczęśliwsi bywamy częściej przez dobre przymioty, niż wady; *albowiem* każdy nadużywa dobrej naszej strony, a zły nie rad zaczepia.“

Siemiński.

1) Skutek i przyczyna 2) Wniosek i twierdzenie.

Sposób takiego łączenia jest dobry—ale pewnym warunkom zadość uczynić musi, szczególnie — gdy za i m k a m i, zdania wiązać się mają bo jasność i dobitność mowy wymaga: aby zaimek względny, następował zaraz po rzeczowniku, który określić powinien a przynajmniej zaraz po wyrazie przymiotnym, całość z tym rzeczownikiem tworzącym np:

„Spojrzawszy na ten świat Boży, wśród którego miliony ludzi kręci się, spotyka, krzyżuje i wzajem o siebie ociera; na żywot nasz społeczny, na stosunki nasze z istotami otaczającymi, co chwila zdumiewać się musimy *prawicy Bożej, która* tak to wszystko urządziła, że każdy z nas przychodzi na naznaczone miejsce w danym czasie, każdy jest zarazem ofiarą i sędzią a to czego od swych współbraci doznaje i czém ich napawa, zawsze według najściślejszej sprawiedliwości, nie ludzkiej ale Bożej, obrachowaném zostało.“

Kraszewski.

Ilekcioć wbrew téj zasadzie zaimek względny odsunie daleko od należącego doń rzeczownika, po którym postawimy jeszcze kilka innych obojętnych mu całkiem, to myśl zupełnie niezrozumiałą się wyda, dla braku połączenia należących do siebie pojęć; a jeżeli jeszcze ostatni—obcy rzeczownik w innym jest jak zaimek rodzaju, wtedy zdanie i niezrozumiałém — i nieharmonijném się wyda: np.

„Potém Władzisław postanowił *im* kapłany, z Polski przywiodłszy, w swoich biskupstwach, z *któremi* przed się dosyć trudności mieli, niżeli z nich pierwsze bałwochwalstwo wybili.“

M. Bielski.

„Ogień zwali swoim językiem *Zync* za jedną *świętość*, na *który* kładli drwa kapłani ich.“

M. Bielski.

BIBLIOTEKA

Wyższe; Szkoły Politycz. - Wych.

W pierwszym okresie zaimek *któremi* oddzielony trzema rzeczownikami od zaimka *im*, nie zdaje się zupełnie należeć do niego, a w drugim zaimek *który* przy rzeczowniku *świętość*, nie tylko że myśl czyni niejasną, ale jeszcze razi ucho niezgodą rodzaju razem zestawionych wyrazów. Taka jednakże zgoda również byłaby tu niedobłą, bo zaimek—godząc się na pozór z rzeczownikiem najbliższym, myśl całą pozwałaby dwuznacznie sobie tłumaczyć: np.

„Ale powoli, gdy się z nim oswoją dzieci i rodzice jak wróble ze straszdyłem, zaczyna się męka... Zaczyna się od linijowania papieru na rejestra, od nudnych *deseników* dla *panienek*, które na zimno rysować trzeba.“

J. Kr.

Myśl tu dwojako obróconą być może, bo i *deseniki* i *panienki* jednako wyrysować można.

W okresach umiejętnie układanych, w miejsce spójnikó w lub zaimkó w,—takiem połączeniem zdań może być sama myśl czyli związek logiczny, jaki pomiędzy niemi zachodzi i wtedy zdanie główne nie podrzędne ale współrzędne rozwijać się i uzupełniać będzie, nie tracąc wcale na jasności ani dobitności swojej np.—

„W świecie Bożym nie kłamać nie umie krom jednego człowieka; wiele rzeczy ludzi, wiele istot uwodzi, jeden człowiek kłamie. Nic on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tém czém jest, sobą; człowiek sam przebiera siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to czém jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich co są jakimi ich Bóg stworzył.“

I. J. Kraszewski.

O warunkach okresu.

Niezbędnymi warunkami dobrze ułożonego okresu są jedność i całość.

W okresie dobrze ułożonym,—jedna jakaś myśl główna, powinna przewodniczyć wszystkim innym służącym tylko do jej rozwinięcia,—i pod względem doboru i układu podrzędnych,—musi koniecznie powyższym odpowiedzieć warunkom.

1) Jedność okresu wymaga, aby tylko koniecznie potrzebne do wyjaśnienia myśli głównej—znajdowały się w nim zdania, a nie było takich, które nietylko że łatwoby opuścić się dały bez uszczerbku myśli, ale jeszcze przeszkadzają do zrozumienia, najważniejszej—i obchodzącej najwięcej np.

„Młodości porannej wspomnienie, to zielnik stary, bo w nim wszystko przechowane z dawnych lat: co serce niegdys ukochało, co szczęśna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi, to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułamkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym.“

J. Kremer.

Okres ten ma jedność, bo z sześciu zdań, które go składają jedno tylko jest główne a pięć innych służy do wyjaśnienia—dlaczego wspomnienie *zielnikiem* jest w pierwszym zdaniu nazwane.

Jedność okresu rozrywa się wsunięciem myśli nawiasowych pomiędzy zdania uzupełniające czy określające myśl główną, bo wtedy uwaga zwraca się ku obcemu przedmiotowi, od tego jednego, który nas wyłącznie zajmować był powinien np.

„Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadło dowierzać, (cóż na świecie nie zdradza? nawet kołki!!) ściany obwiódł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza.“

Kraszewski.

Druga przyczyna rozerwania jedności okresu jest taki jego układ, iż koniec nie odpowiada początkowi, z powodu domieszania zdań—nie do głównej odnoszących się myśli np.

„Tą (muzyką) się cieszy podróżny człowiek,—tą więzien w ciężkich okowach, nakoniec przyrodzenie samo (aby to każdy znał, iż muzyka jaka taka niewczasem ludzkie odpędza) nauczyło mamki śpiewać, aby śpiewaniem dziecinnie płacz tulily; bo wnet dziecię uspokoi się, usnie i zapomni sobie przyzwoitego płaczu, który płacz natenczas dało nam przyrodzenie na znak, iż nędzny a mizerny żywot nasz ma być na świecie“

Łukasz Górnicki.

I w pierwszym i drugim przykładzie, okres nie ma jedności; w pierwszym—rozerwały ją dwa zdania nawiasowe, z których jedno nasuwa spostrzeżenie nad *ścianami* drugie nad *kołkami*; w następnym zaś znowu okresie, dwa zdania wsunięte pomiędzy dwa główne pojęcia: *przyrodzenie nauczyło*, rozłączają te pojęcia całkiem, a dwa ostatnie zamiast o muzyce, o znaczeniu płaczu nam mówią.

Całość okresu zależy na tém, aby myśl główna, tak była rozwiniętą i uzupełnioną, iżby już nie pozostawało do dodania nic, coby mogło wpłynąć na przekonanie drugich—np.

„To widzimy patrząc na drzewa, u których gałęzie zawsze są do pniaka podobne, a jeśli się kiedy odrodzą, to tam nie przyrodzenie winno, ale ogrodnik niedbały. Także też się

dzieje i w ludziach, którzy około wychowania mają dobre gospodarze, niemal zawsze są podobni tym, z których idą i częściej stokroć je przechodzą“

Górnicki.

Okres ten całości nie ma; bo niema w nim myśli odpowiadającej ostatniej—z okresu pierwszego. W tamtym były dwa zdania o *gałęziach*—podobnych i odradzających się od pnia,—więc w następnym okresie powinny były być także dwa—które za porównanie służyć miały, o dobrze i źle wychowanych ludziach mówiące.

Całości okresu nie będzie w takich jeszcze razach, gdy spójnik wtrącony jest pomiędzy pojęcie rzeczy a pojęcie jego przymiotu, lub zdanie główne—a skrócone przez imiesłów osobliwy, a po tym spójniku lub imiesłowie, nie będzie słowa odnoszącego się do głównego pojęcia lub zdania.

„Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszymi stopami rozosłanej, lecz wyobraźnia, *jakby* nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jej zagon falujący po niwie, każdą jej morgę odmienném zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą.“

Żmich:

Ten okres wzięty oddzielnie od poprzedzającego, który pozwala się domyślać, iż spójnik: *jakby*, z słowem nie wiedziała, daje tylko niepowszedni zwrot tej myśli, że: *wyobraźnia nie wie*,—nie będzie miał całości, bo wyobraźnia, jako pojęcie rzeczy, o której jest mowa nie ma wyraźnie o sobie wydanego sądu,—od jakiego ją spójnik oddzielił.

Nakoniec—okres odpowiadający dwom wyżej wyjaśnionym warunkom,—musi być jeszcze stósownie do

myśli i uczucia podzielony znakami przestankowymi na części.

W żywej mowie na oddanie wszystkich naszej duszy poruszeń, mamy różne głosu odmiany, a w samym jego dźwięku takie są wybitne naszego uczucia objawy, że nie słysząc nawet wyrazów, po tonie jakim są wymówione, znaczenie ich rozpoznać jest łatwo.

Te zmiany głosu dziwnie piękną i przenikającą mowę naszą czynią i robią ją prawdziwem naszych wrażeń odbiciem, a bez nich, byłaby ona monotonna i barwy uczucia pozbawioną zupełnie.

Jeżeli więc wyrazy nasze piśmiennie wydawać musimy, wtedy czytającemu, znakami pisarskimi, jak gdyby na migi dopełniamy tego obrazka myśli naszych, jaki w samych wyrazach byłby niedokładnym jeszcze; a od ich właściwego użycia nietylko ożywienie pisma, ale i jasność jego zależy.

O długości okresów.

Trudno jest stałą miarą oznaczyć długość okresów, bo dodanie większej ilości zdań podrzędnych, zależy od potrzeby szerszego rozwinięcia myśli głównej, dlatego ludziom uzdolnionym za najlepszą miarę długości, służy własne ich uznanie, i stósownie do przedmiotu pisma swojego i do wrażenia pod jakim zostają, używają stylu peryjodycznego lub ucinkowego.

Styl peryjodyczny tworzy się z powiązania okresów długich, złożonych z wielu zdań, podnoszących dosadność zdania głównego. Używa się zwykle w mowach i pismach poważnie, z godnością, z największym ducha spokojem traktujących rzeczy; w opisach rozbie-

rających i zgłębiających jeden tylko przedmiot—lub jedno tylko uczucie.—np.

„Sposobić ludzi, wypuszczać ich na świat do posług towarzyskich bez dzielnej pomocy religii, nie dać im hamulca przeciwko rozwiozłości, zgorzeniu, złym namowom i podnieciom, jest to wypchnąć ich bez steru i przewodnika na morze rozłukane nawalnością, pełne skał i zamieci.

Religija chrześcijańska, cała zajęta dobrem i niedolą człowieka, wystawia mu wielkie jego przeznaczenie, prowadzi do niego drogą cnoty, cierpliwości i zasługi; zasadza pobożność na usłudze nieszczęściu i na najtkliwszych obowiązkach ludzkości, urządza spokojność duszy, każe urazy darować, zapobiega srogiemu panowaniu zemsty i dumy, niesie radę w pomysłności a pociechę w dolegliwościach, krzepi upadających nadzieją i nie dopuszcza rozpaczki; na powściągnięciu ambicyi i chciwości ostrzeża o krótkości życia i radzi nie ludzić się znikomością rzeczy ziemskich.

W tej nauce prawdy, pokoju i pocieszenia zawarte jest prawdziwe zbawienie na ziemi rodu ludzkiego skojarzonego w związek towarzyski; obok miłości Boga nakazuje miłość bliźniego, wszędzie się w prostym języku tkliwości rozwodzi nad niedolą i cierpieniem współbraci, żeby zatrudnić czułość naszą, zmiękczyć ją widokiem nędzy i nieszczęścia i zaszczerpić słodkie poruszenia ludzkości.

W tej religii Bóg zawiera przymierze z człowiekiem dla ratunku, ulgi i pociechy nieszczęśliwych: jestto ludzkość nakazana imieniem nieba; a niedola potrzebnych i cierpliwych przytulona pod jej opiekę, dla zapewnienia spokojności cywilizowanemu towarzystwu.

Nie dziw więc, że Religija wytrzymawszy srogie przesładowanie w pierwszych zaraz wiekach zatamowała mordy, rozboje i pożogi walącego się państwa Rzymskiego; nie dziw, że zbawiła Europę, kiedy ją najechała i zalała dziec narodów północnych i wschodnich; nie dziw nakoniec, że zawierając w sobie najdzielniejsze pomocy i pierwiastki cywilizacji ludzkiej przyłożyła się najdzielniej do dobra nauki, a z niemi do ucywilizowania Europy i postawiła tę część ziemi w pierwszym rzędzie chwały, mocy i świetności,“

Jan Śniadecki.

Styl ucinkowy wprost temu przeciwny, jest wyśłowieniem się krótkimi, urywanymi zdaniami. Używamy go zwykle wtedy, gdy mówimy lub piszemy pod naciskiem gwałtownego wrażenia: boleści, gniewu, zdziwienia, albo przerażenia;—gdy z swobodą, dowcipem, opowiadamy jakieś niezwykłe przygody żywo nas obchodzące i spiesźnie następujące po sobie;—gdy czegoś w przedmiotach naukowych dowodzimy śmiało i energicznie, a w ogóle: gdy mowa nasza jest wynikiem uczucia. Jakiemkolwiek ono byłoby, człowiek niemi uniesiony nie myśli o zaokrągleniu swęj mowy, ale wybuchu prawie tém uczuciem, i wrażenia swoje maluje tak szybko, tak urywanie, jak one w jego sercu powstają i zastępują się wzajem.

Np. Debarkader Warszawski, mówiąc między nami, wygląda dość sobie pospolicie i w stosunku do wielu europejskich jest tém, czém stacyja pocztowa na partykularzu, której całym zasobem są dwie czwórki kalek i słupek malowane przed gankiem, w stosunku do stacyi pocztowej wielkiego miasta. Na pół godziny przed odejściem pociągu, zaczyna się ruch przy debarkaderze. Dążą z miasta karety, koczki, dorożki, przyspieszonym krokiem idą piesi podróżni, a wszyscy zaopatrzeni w rozmaite walizy, tłumoki, mantelzaki i węzélki. Wszelka indywidualność przestąpiwszy próg kantoru, zmienia się na numer; przyjmuje stempel, odbija się jak palant z jednej strony na drugą, wreszcie grupuje przy drzwiach głównych prowadzących do galeryi i jak strzałka magnesowa zaczyna oscylować w jednym kierunku. Indeks zegaru łowi się ciągle [okiem, a dzwonek uchem. Wtenczas warto jest przepatrzeć tę różnorodną grupę. Miasto zwykle przysyła tu wszystkiego po trosze, jakby próbkę każdej klasy, typu, wieku słowem wszystkiego, co posiada i prezentuje na ulicy. Tu jeszcze panuje ruch wzmożony. Każdy zajęty, spieszący się, chwytając bilet, przeciska się z paszportem, żegna się ze znajomym, siada, chodzi, przypomina, śmieje się, płacze, lub zamysla. Widzisz tu doświadczonych i niedoświadczonych po-

dróży. Jedni żegnają się łzami,—drudzy ze śmiechem, a inni z miną obojętną patrzą na zegarek i ludzi.

Wtém—zadzwoniono... otwały się drzwi na galerję i wszyscy posunęli się do wagonów zabierać miejsca. Wzmogło się stukanie drzwiczek;—okna unizały się w twarze rozmaitego wyrazu; jeszcze rozmowy,—jeszcze pożegnania,—jeszcze tu i owdzie dłoń spaja się z dłonią; wtém—ozwał się przeraźliwie świstek; silném, taktowém buchaniem natychmiast mu odpowiedział kocioł i cały szereg wagonów wysunął się z debarkaderu, pisząc w powietrzu jak fosforyczną zapalką ślad swęj drogi.“

Listy z podróży Padalicy.

Stylu ucinkowego używa się jeszcze przy wydaniu myśli głębokiego znaczenia, które tém mocniej na wyobraźnię działają, tém wyższém tryskają uczuciem, im więcej skrepowane urywanemi zdaniem, nie mogą się wypowiedzieć w całości. Takiego stylu przykłady łatwo znaleźć w dziełach *Zygm. Krasińskiego*, z którego: *Nieboskiej Komedy* jest następujący wyjątek:

„Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. Professor przystąpił i macał głowę twoją i wyrzekł, że masz zdolność do nauk ścisłych. Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, do czapki, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. Wojskowy przyskoczył, porwał i podrzucił, i krzyknął: „będziesz pułkownikiem.“ Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nie wyczytała nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wzięść nie chciała. Magnetyzer palcami ci wionął w twarz, długimi palcami twarz ci okrzył i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukląć przed tobą jak przed obrazkiem. Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętymi duchami“.

Tak jeden, jak i drugi rodzaj stylu, choćby odpowiedni do przedmiotu i uczucia, może być dobrym i pięknym tylko w pewnych ustępach; bo ucinkowy zrobiłby mowę niegładką i urywaną, pozbawiając ją zaokrąglenia i wykończenia myśli, a peryjodyczny znużyłby umysł, zbyt długo do jednej myśli go przykuwając. Zwykle też oba te rodzaje wzajem się przeciwnie gradują i wtedy dopiero tworzą styl pełen różnorodności, żywości, i harmonii.

Np. Wioska ta, byłato zwykła górską, uboga, nieintraćna posiadłość. Ogromne obszary ziemi,—lecz pustej; ogromne lasy, w których masztowe jodły, ale nikt nie kupował ich ani na klepki; dwór drewniany niewielki, zabudowania ładajackie, a lud w największym ubóstwie. Ale za to powietrze i woda jak samo zdrowie; lasy gęste i czarne jak puszcze amerykańskie; skały dzikie i straszne i oplecione zielenią tak cudnie, że wzroku od nich nie można oderwać; tu i owdzie widoki na Tatry—i Morskie Oko tuż blisko.—Morskie Oko ze wszystkimi swojemi czarami i tajemnicami, nie mrużące się nigdy i rozmawiające przez wnętrze ziemi z ojcem swym oceanem, który je kiedyś w boleści wypłakał i zawiesił w Tatrach. Natura tu wszędzie tak chrobra, jak pierwszy dech przedstworzenny; wschody słońca jak jutrznie zbawienia, a zachody jak pożary miast wielkich, które zostawiają po sobie mgłę szafirową na górach. Wszystko tu piękne i wzniosłe, wszystko tu poetyczne i tak głośno przemawiające do duszy i serca, że trzeba być chyba głazem nieżywym lub drzewem, ażeby w obec takiej natury nie rozkołysać swęj wyobraźni, nie rozbujać swych myśli, nie ożywić w swęj duszy ideałów poezyi i piękna. To też kto się nie może doczekać natchnienia w swoim własnym fotelu, tu niech ich szuka; a kto ich i tutaj jeszcze nie znajduje.... ten niechaj powie: Amen—swoim poetyckim zachęciom.“

O znajomości języka.

Znajomość języka nie na codzienném jego użyciu, ale na gruntowném zbadaniu go polega, bo mówić tém lub owém narzeczem, to nie jest znać je bynajmniej, tak samo jak widzieć człowieka, jeszcze znajomością jego, nie można wcale nazywać.

Człowiek ma duszę, która jego czynom wyłączny charakter i właściwe znaczenie nadaje; kto nie pojmuje pobudek jego działania, ten widzi i słyszy go tylko, ale go nie zna zupełnie. Naród — ten człowiek zbiorowy, ma także duszę zaczarowaną w języku; kto słyszy i wymawia dźwięki, a nie wie, co je wywołuje i co się w nich odbija, ten nie zna wcale języka.

Józef Kremer ów mistrz słowa polskiego, mówi tak w tym względzie do tego: „co pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich i chce duchom włądać i stać się ich panem“. „Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice, poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zakłète; umiej z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze i muzyki anielskie, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg i uczuć, co śpią nieznanne w topielach serc naszych! Tak jest! naucz się języka twojego; naucz się jego sumienia, ale pamiętaj, że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłóż serce do serca twojej mowy, bo tak jedynie uczujesz jej tętno tajemnicze; pokochaj ją z duszy, jeżeli chcesz być od niej kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz, nikt ci nie uwierzy.“¹⁾ Więc stósownie do

1) Listy Kremera tom. 2. str. 38.

tego zastrzeżenia, ażeby znać swój język, nie dość jeszcze jest wiedzieć, że on jest dziwnie bogaty i tajemniczy w swych skarbach, ale trzeba zbadać w czém się to bogactwo zawiera i jak tych skarbów ze względu na cechy i ducha języka, — na zasady gramatyki i składni, na czystość, właściwość i poprawność naszych wyrażen używać nam wypada.

Bogactwo języka.

Bogactwo języka oblicza się: 1-sze, ilością brzmień; 2-gie: zasobem w wyrazów malujących kilkorako, — jedno i toż samo pojęcie; 3-cie: łatwością tworzenia wyrazów pochodnych z pierwotnych; 4-te: obfitością ich form, a we wszystkiém tém, nasz język niewyczerpane skarby przedstawia.

I tak: 1-sze co do ilości brzmień, że żaden język nie wyrówna naszemu, dowodzi tego łatwość z jaką przyswajamy sobie mowę innych ludów, znajdując dla każdej odpowiednie dźwięki, od najmniejszych i najpięszcotelniejszych, aż do najtwardszych i ostrych, kiedy wiemy dobrze z jaką trudnością przychodzi cudzoziemcom mowy się naszej wyuczyć.

2) O zasobie wyrazów przekonamy się obliczywszy: że mamy ich nietylko po kilka na nazwanie jednego pojęcia, ale jeszcze po kilka, i kilkanaście nawet określeń, któremi prześlicznie to jedno pojęcie cieniować możemy. I tak toż samo znaczy: ciemny, ślepy, niewidomy; izba, stancyja, pokój, komnata; — prostactwo, nieokrzeseanie, gburowatość; — wianek, wieniec, równianka, plecianka; — posagi wiano; — stołek i krzesło;

twarz, oblicze, lice, policzki, jagody; pęta, więzy, okowy, kajdany; kościół, świątynia, przybytek Pański, dom Boży; suknia, szata, odzież, ubranie.

Cieniując swoje miłe dla oka wrażenia mówimy, że ktoś jest miły, ładny, przystojny, udatny, nadobny, powabny, wdzięczny, piękny, śliczny, przesliczny, uroczy, zachwycający, cudny.

Malując to uczucie jakim serce ludzkie obejmuje Boga, bliźnich, stworzenia i rzeczy, nazywamy je odnośnie do jego przedmiotu i stopnia: ulubieniem, upodobaniem, przywiązaniem, kochaniem, kochaniem się, umiłowaniem, uwielbieniem, a dalej: poważaniem, szacunkiem, uszanowaniem, czcią.

Sądząc o stanie rozwoju umysłowego drugich powiadamy, że są rozsądni, wykształceni, rozumni, naukowci, uczeni, mądrzy.

3) Jesteśmy bogaci w wyrazy bliskoznaczne, to jest w wyrazy: które do jednego pojęcia się odnoszą, nie stanowią przecież ani tożsamości, ani stopnia jego, ale różnicę jaką upatrujemy w nim pod rozmaitemi względami, a jaką widzimy nieraz i w rzeczach jednakich co do rodzaju, ale co do gatunku odmiennych. Np. Obowiązki swoje nazywamy: robotą, czynnością, działaniem, zajęciem, zatrudnieniem, pracą, i jesteśmy przy ich wypełnianiu: leniwi, niedbali, gnuśni, opieszali.

Miłe uczucie serca zwiemy: przyjemnością, zadowoleniem, ukontentowaniem, radością, weselem, wesołością, roskoszą, pomyslnością.

ścią, szczęściem. Inne wiodące do lekceważenia i narażenia życia mianujemy: junakieryją, zuchowactwem, śmiałością, odwagą, męztwem, walecznością, bohaterstwem;—a jeszcze inne: litością, dobroczynnością, miłosierdziem; żalem, smutkiem, rozpaczą;—złością, gniewem, nienawiścią;—roz wagą, roztropnością, rozsądkiem, rozumem; — żywością, roztar gnieniem, roztrzepaniem; użalamy się nad: brakiem, niedostatkiem, biedą, ubóstwem, nędzą; nad: jeńcem, więźniem, niewolnikiem it. p.

4) Co do łatwości tworzenia wyrazów, to jest ona tak wielką, iż trudno nawet wyliczyć wszystkie wyrazy, jakie powstać mogą z jednego, za pomocą dodania lub zmiany jego końcówki:

I. Dla oznaczenia jednejże rzeczy, ale uważanej odnośnie: do naszego uczucia z jakim zapatrujemy się na nią, i do jej gatunku, rodzaju, lub przymiotu.

II. Dla uformowania innej części mowy.

III. Dla urobienia przez dodanie różnych przyimków lub przyrostków z jednego słowa kilku i kilkunastu słów z największą dokładnością malujących nam stan, cel, wzgląd, i kierunek naszego działania.

Tak naprzykład wzięwszy taki rzeczownik jak: dziecko, urobimy z niego pieszcząc się lub gniewając: dzieciak, dzieciaczek, dziecina, dziecinka, dziecineczka, dzieciusio, dzieciuchno, dzieciątko, dzieciąteczko, dzieciątusio, dzieciątuchno, dzieciuch, dzieciuszek, dzieciaczysko, dzieciuszysko, dziecisko, dziecczysko, i t. d.

Z przymiotnika mały pieszczotliwie się wyrażają mamy: malutki, malutenki, maluteczki, maluchny, malenki, malenieczki, macieńki, macienieczki, malusi, malusieńki, a mówią jeszcze: madziudzi, maciupulki, maciupuchny i t. d. a jakkolwiek język nasz spieszczęń tego ostatniego rodzaju nie lubi, niemniej przecież, taka nieograniczona, i niewypowiedziana dowolność w ich użyciu, jego bogactwa i żywej ruchliwości dowodzi.

I z powyższego rzeczownika dziecko: urobimy przymiotnik: dziecinnie i dziecięcy; słowo dziecinnieć i zdziecinnieć; imiesłów: dziecinniejąc i zdziecinniejąwszy, zdziecinniejały, i dziecinniejący, przysłowki: dziecinnie, dziecięco, po dziecinnemu, po dziecięcemu, i jeszcze nie wyczerpiemy wszystkich zmian, jakie ze względu na rodzaj, liczbę, i przypadek ze zmianą końcówki otrzymać z niego możemy.

Malując cel i wzgląd naszego działania ze słowa nied. robić mamy inne jak: dok. zrobić cobądź, dorobić do końca, dorobić się majątku, wyrobić jakiś materyjał, wyrobić się z pracy; przyrobić mienia, przerobić na coś innego, urobić z czego, podrobić sfałszować, nadrobić czegoś lub czém, wrobić jedno w drugie, odrobić zadanie, obrobić pole, zarobić na chleb.

Ze słowa nied. kopać, dok: skopać grunt, dokopać zagona, dokopać się do węgla, srebra, zakopać w ziemię, podkopać dla zachwiania, ukopać ziemniaków, wkopać drzewo, wykopać z ziemi, odkopać wydobyć na wierzch, okopać do koła, rozkopać ziemię, podkopać się pod dom, zakopać się na wsi

i t. d. a z każdego z słów takich drugie tyle mieć będziemy, gdybyśmy z nich urabiać słowa częstotliwe chcieli.

5) Również niewyczerpane skarby odmian tych wyrazów mamy w formach ich przypadkowania, innych dla rzeczowników, innych dla przymiotników, innych dla liczebników, innych dla zaimków osobowych, a innych dla określających, tylko rzeczowniki, rozróżniając jeszcze w tych ostatnich rzeczowniki: osobowe, zwierzęce, nieżywotne, i rodzaj tychże, dla zastosowania do nich według różnych zasad wszystkich wyrazów przymiotnych. Ztąd też gruntowne poznanie tych odmian i zbadanie ducha każdego pojedynczego wyrazu jest rzeczą konieczną nie tylko już ze względu na piękno, ale i na właściwość wyrażen.

Właściwość ze względu na ducha wyrazów. •

Duch wyrazu—jestto myśl, którą się w jego nazwie pojmuje i która domaga się odpowiedniej temu pojęciu nazwy, pisowni, i właściwego w mowie naszej użycia.

I tak: biorąc pod rozbiór niektóre z powyżej przytoczonych synonimów (jednoznacznych wyrazów), możemy się z samej ich nazwy dowiedzieć, że podarek jest darem mniejszej od tegoż wartości; że upominkiem dopominamy się czyjś pamięci; gościnniec od miłych gości przyjmujemy; — Przechadzki używamy chodząc dla przyjemności i zdrowia; przejażdżki odbywamy wyjeżdżając za miasto; wycieczki robimy, z pewnego miejsca ucie-

kając w inne na chwilę. Obiad przypomina pogańskie objaty (ofiary, z których część bogom lub zmarłym udzieliwszy resztę przy wesołej spożywano biesiadzie) zadowoleni jesteśmy, gdy się stanie zadość woli naszej; tłumacząc bierzemy z cudzych myśli tło i motamy na niem własne swe wyrazy. Do dziwnie malowniczych doliczyć tu należy: nazwy miesięcy, dni w tygodniu i codziennego posiłku, którym o różnych dnia porach sił dodajemy ciała a także i nazwy kwiatów, z których słońce ku słońcu się zwraca; bławałek błękitny czyli bławatny wygląda w zbożu jakby modre oko i zowie się ztąd modrakiem; pierwiosnek, najpierwszy wiosnę; przylaszczki przy lasach a poziomki, zbierają się po ziemi i t. d.

Z pomiędzy blizkoznacznych wybierając właściwe naszemu pojęciu, pamiętać należy: że czyni się coś moralnie, działa się umysłowo, robi się fizycznie, pracuje się ciężko głową albo rękami. Szczęście można czuć w duszy w obec braku pomysłności w materialnych potrzebach, a na odwrót, choć komu idzie wszystko po myśli, przecież nie koniecznie będzie szczęśliwym, gdy mu brakuje tego, czego dusza nie myśla wygląda prosto od Boga. Głębokie wesele serca, bynajmniej zewnętrzną wesołością nie jest; rokosz duszy (np. przy modlitwie i dobrych uczynkach) może być bardzo nawet łzawą, i na smutku oparta, a z uciechą swobodną może nie mieć wspólnego. Uśmiercić znaczy rzucić pogłoskę fałszywą o czyjś śmierci; zabić można trafem czy umyślnie, — moralnie czy fizycznie; zamordować odebrać życie w sposób gwałtowny i okrutny; zamęczyć — można za

dając długie i bardzo powolne cierpienia. Dziedzictwo przechodzi z rodziców na dzieci; spadek jest pozostałością po krewnych; spuścizna—może być przekazem od obcych osób zupełnie. Litość jest rzewnym współczuciem dla niedoli drugich; dobroczynność, dobrymi czynami wspiera ich ubóstwo; miłosierdzie jest najpiękniejszym objawem miłości serdecznej odnoszącej się zarówno do duszy i ciała, do przyjaciół i nieprzyjaciół naszych. Trudno czyli z trudem przychodzi jakaś praca; ciężko jest iść z ciężarem. Biegać jestto iść bardzo prędko; skakać to podrzucać się w górę; lata się tylko na skrzydłach czyli lotkach i t. d. W potocznej i naturalnej mowie należy bardzo uważać na dobór takich wyrazów, bo każdy z nich jest jakoby farbą odpowiednią barwie tej rzeczy lub pojęciu, jakie odmalować chcemy i od dobrego zastosowania ich dokładność mowy zależy. Wprawdzie zamiana jednych na drugie służy nieraz za piękną mowy ozdobę; ale—że wszystko wtedy tylko jest piękne kiedy właściwie użyte, trzeba więc najprzód znać doskonale różnicę między temi wyrazami w duchu ich leżącą, zanim samowolnym, odnośnym do naszego uczucia użyciem, nietylko nie popełni się błędu co do właściwości wyrażenia naszego, ale i owszem, wykraczając przeciwko téjże, będzie się jeszcze wierniejszym w malowaniu naszych wrażeń i myśli.

Tak Odyniec w tłumaczeniu *Mazepy* Bajrona ślicznie przypisuje skrzydła dzikiemu rumakowi, o którym mówi, że:

„Z mniejszym pędem pienia się fala
Z porohów Dniepru w dół z góry się zwala
Jak on wciąż pędził w niepojętej sile.“

i ten pęd jego słusznie lotem nazywając, tak go nam pięknie maluje:

„Tymczasem dalej i dalej bez toru,
Koń mój, jak wichur, jak błysk meteoru,
Leci i leci: wsie, ziemia uprawna
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami w koło jak oko zasięga
Step równy, pusty, w końcu widnokręga,
Przeze mgłę tylko widać, że jak pasem
Sinych po bokach otoczony lasem.
Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarów
Wracając z Polski z jeńcami i łupem
Dognana wpośród tych dzikich obszarów
Przestrzeń ich w koło zasłala swym trupem.
Oprocz ich mogli widzianych z daleka
Żadnego śladu ni dzieła człowieka.
My lećmy, lećmy. Już przeszedł wschód słońca
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach; lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć;—a koń chrapiąc z gniewu
Leci i leci. Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie. Chcę mówić modlitwy,
Próżno! koń leci....

Łatwo osądzić, że tu owa niewłaściwość jest właściwą, a więc piękną, mowy ozdobą, ale razić ona będzie nas bardzo: gdy nie pomyślawszy nad tém, że wyraz: okrutny znaczy brak miłosierdzia, straszny przerażenie, ogromny wielkość, okropny zgrozę, używamy ich bardzo często w ten sposób: że ktoś jest: okrutnie dobry, okropnie ucieszony, ogromnie blady, strasznie wesoły; albo gdy wbrew naśladowniczej harmonii czyli wbrew zgodzie pojęcia z jego nazwą bierzemy szum za świst; łoskot za turkot, chrzęst za szelest, krzyk za

hałas, brzęk za dźwięk i nie dajemy tym sposobem dokładnego o wrażeniach naszych pojęcia.

Czystość języka.

Mimo niezaprzeczenie wielkiego bogactwa naszego języka, liczymy jednakże w mowie naszej dużo bardzo wyrazów cudzoziemskich, któreśmy dla różnych powodów przyjęli już za swoje. Do pewnego punktu niema w tém nic nas krzywdzącego, — po-za oznaczonym zaś kresem każdy wyraz wykracza przeciw znajomości i ukochaniu języka.

Wyrazami obcemi, ale przyjętymi za własne są:

1) Łacińskie oznaczające pojęcia i rzeczy w kościele nam znane jak: Msza, Sakrament, Komunija, hostyja, ołtarz, monstrancyja, brewijarz, ciborium, alba, stuła, korporał, ombraculum, antypedyum, infuła, pastorał, relikwija i t. d. — bo weszły do naszego kraju wraz z językiem, w jakim się nabożeństwo naszego kościoła odprawia.

2) Wyrazy niemieckie znane w rzemiosłach i fabrykach, które weszły u nas w użycie z powodu, że przodkowie nasi, skromniejsze od innych mieli materialne potrzeby i oddani rolnictwu lub wojnie obywali się bardzo małą ilością rzemiosł noszących im niezbędne w życiu usługi, jakie im oddawali: szewc, krawiec, stolarz, siodlarz, puszkarz, płatnerz, cieśla, kowal i inni. — Później dopiero skutkiem różnych narodowych stosunków dali u siebie cudzoziemcom mianowicie: Niemcom gościnność i zazawszy korzystać z ich fabryk, przemysłu i usług dali prawo obywatelstwa

majstrom takim jak: ślusarz, rymarz, garbarz, szlifierz, dekarz, i inni, oraz i kramarzom prowadzącym przeróżne narzędzia, z którymi do warsztatów weszła i terminologija niemiecka. Ztąd też pełno jest takich wyrazów jak: rygiel, obcęgi, cyrkiel, hebel, sznajdeza, gwint, bretnal, rajzbret, reiscejg, wirtel, mendel, szlafrok, szlafmyca, flaszka, sztyft, kartofel, sztelwaga. i t. d. ale i te i inne ludzie dobrzej woli starają się teraz o ile możności usuwać.

3) Wyrazy francuzkie oznaczające rzeczy mody i zbytku, przyswojone ztąd, że począwszy od drugiej połowy 16-go wieku zaczęliśmy coraz bliższe z Francuzami zawierać stosunki i wraz z Henrykiem Walezyjuszem, Maryją Gonzagą, Maryją Kazimierą i język ich wszedł także do naszego kraju. Przyjmowaliśmy chętnie zwyczaje, obyczaje i mody francuzkie i rzeczy do niej służące, a z rzeczami takimi przyjąć już wypadało koniecznie i wyrazy jakie je oznaczały; więc przyswoiły się u nas takie jak: salon, gabinet, kozetka, szezlongi, toaleta, konsola, portyjery, festony, żyrandole, kinkiety, lokaj, tapicer, froter, fryzyjer, pukle, ruż, blansz, puder, perfumy, galanteryje, biżuteryje, delikatessy, likwory, szodon, bonbonierka, i bardzo wiele innych z tego samego zakresu.

4) Wyrazy oznaczające nauki i sztuki piękne, które przyjęliśmy za swoje jak: Algebra, Botanika, Akustyka, Optyka, Psychologija, Matematyka, logika. Z architekturą przyjęliśmy pilastry, kapitele, gzymusy; z rzeźbą: kontury, arabeski; z malarstwem: alfreski, pejzaże, miniatury, ze snycerstwem; postumenta, biu-

sta, statuetki; z poezyją: sonety, ody, ballady, epopeje, tragedye, komedyje, dramat, poemat; z muzyką—oprócz nazw jęj rozmaitych rodzajów i nazwy instrumentów jak fortepian, melodikon, wionoczella, harmonijka, fletowers, klarynet, organy i inne.

5) Wyrazy wschodnie¹⁾ na któreśmy pojęć odpowiednich nie mieli jak np: Sułtan, horda, seraj, harem, haracz, jassy, sorbet, talizman, dywan, rydwan, surmy, nahajka, basalyk, janczar, wezyr, bisurman, kańczug, tyftyk, han, dziryt, dzida, kindzał, kurhan, kajdany, sandały, kulbaka i t. d. i wyrazy oznaczające rzeczy, których na naszej ziemi ni w wodach naszych nie było jak: perły, szafiry, rubiny, turkusy, topazy, ametysty, chryzolity i t. d.

6) Wyrazy obce a zgodne z naszym pojęciem; bo jak z pomiędzy wyrazów powyżej przytoczonych jest bardzo wiele takich, które są wspomnieniem smutnych z Turkami i Tatarami stosunków, jak są inne, które religija, nauki, sztuki, zbytek, i przemysł wprowadziły do nas, tak są znowu i takie, które z potocznej mowy od Francuzów przyjęte, tak już do naszego pojęcia przystały, tak doskonale z ich dźwiękiem i ducha przyswoiliśmy także, że zrosły się już z wyobrażeniem jakie nam malują i nie myślimy przepolszczać takich wyrazów jak: honor, charakter, ceremonija, wegetacyja, polityka, klasa, interes, rezon, kaprys, ambicyja, rezolucyjność, wentylator, irytacyja, grymas, rezygnacyja, kom-

1) Najznakomitszy u nas filolog Jan Papłowski b. Pr. Un. War. obliczył do 80-ciu wyrazów wschodnich używanych dziś u nas. Patrz broszurkę: „O mowie i jęj początku.“

promitacyja, naiwność, efekt, lokator, (łaciński wyraz) kombinacyje, profil i nie rażą one w mowie, a nawet i piśmie bynajmniej,

Dla wszystkich tych wyrazów — jako dla zabytków i pamiątek stosunków, jakieśmy z innemi narodami mieli, jesteśmy bardzo względnymi, bo drobny nieraz wyraz za kronikę narodu dla myślącego nad nim obstaranie, i przesadą gorliwości o utrzymanie czystości języka byłoby chcieć przepolszczać wszystkie, jak się to z niektórymi bardzo dobrze udaje. W stosunkach prawnych, handlowych, przemysłowych, mogłoby to dać powód do zamieszania wielkiego; inne stałyby się dla nas wprost niezrozumiałemi jak: zachówki (conserwy) bokotwarz (profil) nocnia (kosmoroma).

Dotąd jest kres oznaczony użyciu cudzoziemskich wyrazów, po-za nim idą:

1) Słowa tworzone ze słów francuzkich przez dodanie im polskiej końcówki jak: zrewanżować, deranżować, umiłować, zbulwersować, konsolować, kaptować, konserwować, adoroować, admirować, suponować, zde gustować, komparować, ekskuzować, negować, imaginować, ignorować, dezolować, inwentować, aspirować i t. d.

2) Wyrazy takie jak: frukta, redyska, kuraż, siurpryza, abnegacyja, desiluzyje, gerlanda, ewenement, pejzaż, amatorstwo, kone-ser, prezent, danser, i t. d. które są prawdziwą krzywdą dla naszego języka, bo odzierają go z obrazowości i wdzięku wyrzucając już prawie zupełnie z potocznej mowy naszej takie śliczne jak: wianek, równianka, podarek, upominek, przechadzka, zamiłowanie, odwiedziny, niespodzianka,

rozczarowanie, krajobraz, i inne, w których tak jasno duch ich od razu przemawia.

Poprawność języka.

Jak językiem czystym nazywamy język wolny od wszystkich obcych to jest: cudzoziemskich wyrazów, tak poprawnym jest ten, który wyrobiony już z mowy pospolitej i gminnej, stał się językiem naukowym, literackim zwanym i jest już wolnym od wszystkich błędów sprzeciwiających się zasadom—przez świat naukowy w mowie i piśmie przyjętym.—Za takie błędy uważa się:

1). Nieznajomość prawideł gramatyki.
2) Prowincjonalizmy; 3). Archaizmy; 4). Neologizmy; 5). Wyrazy gminne, 6). Nie-dbalstwo wymawiania pojedynczych wyrazów.

I. Błędami gramatycznymi w mowie są: 1) niewłaściwe końcówki dawane przymiotnikom rod. żeńskiego i nazwiskom kobiecym w przyp. 4.—np. czytałam Białą Różę p. Żmichowską (białą, Żmichowską); 2) złe przypadkowanie rzeczowników zwierzęcych—i złe użycie zaimków np. zabili dwóch indorów i trzeba ich upiec (dwa indory,—je). Zrywam kwiaty, bo na nich lubię patrzeć (na nie); 3) niewłaściwe zestawienie słowa z liczebnikami głównymi np. dwudziestu chłopców po lekcyi — bawili się w gry (bawiło się).

II. Prowincjonalizmy są to wyrażenia, pojedyncze wyrazy, lub sposoby wymawiania, używane tylko w jednym zakątku kraju po których—jak po ubiorze—rozróżnić można pochodzenie mówią-

cych.—I tak: w jedném miejscu po *m* kładą zwykle *n*, a *i* i *y* w odwrotny sposób używają mówiąc: mniałem, mnięso, mniód, rękamy, nogamy, suchi, muchi, i t p.—W drugiem miejscu, na końcu wyrazów zamiast *q* wymawiają dobitnie *om* np. bylam z mamom, piłam łyżeczkom, połam się kawom.—Gdzie indziej po *k* i *g* wyrzucają potrzebne tam *i*, lub kładą je po niem niewłaściwie zupełnie, naprzykład: kedy, suckenka, rękę, nogę, gięś i t. p. a jeszcze indziej srebro śrybłem, a porcelanę—porcynelą zowią. Są to błędy prowincjonalnego wymawiania, a wyrazów używanych w jednej tylko stronie kraju jest bardzo dużo—jak np. nagłowiec się; drewutnia, makutra, ciepać, ryczka, kopiarz, pyrki, młodzie, tamuj, to i owto, dytki, trojak ¹⁾ znaczący 6 groszy) złasować; co zaś do wyrażen całkowitych—to również jest wiele takich—jak: chodzić po żebrze, być rodziczką z jakiego miejsca; taki cię nie usłuchałam, nie wyładowała się na bal; widno, że jest dobra, gdy to zobaczysz, to ci się podoba ²⁾ i t d.

1) Dwa tylko wyrazy ziemniak i czeski miane za prowincjonalizmy krakowskie, na śmieszność tej nazwy nie zasługują bynajmniej, bo ziemniak jako wyraz polski, i od kartofla piękniejszy pierwszeństwo przed nim wszędzie mieć powinien, a czeski (6 groszy polskich, które w Warszawskim dytkiem, a w Kujawskim: trojakiem nazywają bez żadnego sensu jest zabytkiem panowania u nas Wacława króla Czeskiego (roku 1300) który wprowadził do kraju grosze pragskie czyli czeskie, wartości 6-ciu groszy polskich mające.

2) Słowo podoba jako słowo niedokonane—oznacza czas terażniejszy; czas zaś przyszły maluje się albo czasem złożonym: będzie się podobać, lub słowem dokonanem: spodoba się, i taka jest między temi słowami różnica jak między: jeść i zjeść, robić i zrobić, krajać i skrajać i t. d.

III. Archaizmy są to wyrazy przestarzałe, wyszłe już z użycia z powodu, że jak każda nauka, tak i język kształci się, rozwija, i w coraz piękniejszej formie się przedstawia, a ztąd też bardzo wiele wyrazów przez zupełnie inne zastąpione zostały, albo też na zasadzie zbadanego ich ducha, zupełnie co innego już znaczą. I tak Réj—wdzięk nazywa wdzięcznością, skazanie na karę zdaniem, łagodne nadobnym, powagę postawą, pokrewieństwo powinnością, cześć pocziwością, piękne czystem.

Górnicki osobny bierze za osobliwy, ostry za bystry; postanowienie za ustatkowanie; okrutne za wielkie, zajrzenie za zazdrość.

U Kochanowskiego siła oznaczało wiele, piękność była gładkością, wydatność jasnością, zrządzenie zdarzeniem, mały, niepozorny podłym. Co do tych wyrazów, jakie wyszły z użycia, to jedne z nich dzisiaj byłyby już w mowie rażące; jak np: a cz, przed się, bokówka, dziewosłęb, kordyjał, dziewczka, wacan, aścka, sromać się, wzdzy, zawdy rzekom o,—a inne niezrozumiałe zupełnie jak: star-ka, drzewiej, nynie, lepak,—i t. d.

Jednak choć śmiesznie byłoby używać takich wyrazów w codzienniej mowie naszej, ale przecież powinny one pozostać w całości w skarbcu naszego języka, bo piśmiennictwo nasze, obejść się bez nich nie może. Każda epoka narodowego życia tak odmienną cechą zaznaczoną jest w pamięci dziejowej, że wspominając ją, musimy ją odgrzebać z pod ciężaru lat ze wszystkiem co ją cechowało, a więc i z tym językiem, który był jej duszą, i jako farb—jedynie właściwych do jej odmalowania musimy użyć tych samych wyrazów, w jakich ona

uczucia, myśli i pojęcia swe wyrażała. — Wtedy wydają się one stósowne i miłe dla naszej wyobraźni i ucha i zastępowanie ich nowemi, naodwrot — śmiesznémby a nachronizmem się wydało.

IV. Neologizny czyli wyrazy nowoutworzone, są to wyrazy wchodzące w użycie bez koniecznej potrzeby, niezrozumiałe dla wszystkich a tylko przez niektórych przyjęte jak: jaźń, um, udobrodziejstwo-wać, nihilować, wszechuczelnia, fuzyja, (fusion) zaprzepaścić, suplować ¹⁾ rzeczoznawca i t. d.

V. Wyrazy gminne są to wyrazy swojskie wprawdzie, ale używane tylko w mowie nieokrzesanej, prostaczęj, jak np. zajmąć się, trząchać, chlapać się, zaklapać się, kiepsko, przewalić, nazad, wtykać wrękę, rozdziawiać gębę, wyłazić i t. p.

VI. Niedbalstwo w ymawianiu uderzające w wyrazach, w których zamiast ściśnionego *é* słycać wyraźne *y* albo *i*; a zamiast podwójnego *k—t*, np. miętki syr, świeży chlib, letka kobita, uliwny dyszcz, wyliczyć się z choroby, kródzić, jezdem, zara, tera, trza.

Wszystkie te uchybienia — w uszach estetycznie wykształconych i znających dobrze język swój ludzi, są rażącemi niezmiernie. Wyrazy jakto już wiemy, są tylko formą zewnętrzną naszego uczucia i myśli, więc dają one najwierniejsze świadectwo o wykształceniu i wychowaniu człowieka, i odpowiednie czynią na słuchających wrażenie. Czytać wiele dzieł wzorowym językiem pisanych i uczyć się z nich na pamięć wyjątków, to najlepszy sposób zasmakowania w jego pięknościach i przyswojenia ich sobie.

1) Galicyjskie zm. *zastępować* patrz: O skażeniu języka: Dr. Skobla. Kraków.

Cechy języka.

Jak pojedynczy ludzie różnią się od siebie uczuciami serca i poglądami rozumu, tak i całe narody mają także właściwe sobie uczucia i odmiennie na świat zmysłowy zapatrując się, inaczej i świat ducha pojmują; a więc nie tylko, że swoje uczucia i myśli w odmiennych brzmieniach wyrażają, ale jeszcze te brzmienia czyli wyrazy odmiennym łączą sposobem, nadając im właściwe w swoim języku obroty. Ztądto każdy język ma swoją składnię zgody, rządu i szyku,—ma swoje wyrażenia, których niepodobna jest dosłownie w innym języku oddawać. W powitaniach i narodowych przysłowiach wybitne to jest bardzo i w każdym poznać można główny odcień charakteru lub uczucia ludu, który je uznał za prawdę. Jak więc pojedyncze wyrazy każą czystość języka, tak znowu zły ich układ zaciera cechę jemu właściwą, wprowadzając w użycie wyrażenia i zwroty właściwe obcym językom z jakich je przyjmujemy z prawdziwą krzywdą naszego.—Zwroty takie stósownie do tego z jakiego języka są wzięte, nazywają się: Galicyzmami, Germanizmami, Rusycyzmami, lub: Lituanimami np.

Galicyzmy.

Nie mogę jak tylko to
przynać.
Okno daje na plac.
Francuz strzela w powie
trze.
Pozuje na pana.
Dał mi dzień dobry.
Schwycałam reumatyzm
katar.

Po polsku.

Muszę to przynać.
Okno wychodzi na plac.
Polak na wiatr.
Udaje pana.
Powiedział mi dzień dobry.
Reumatyzm mi schwycał
dostałam kataru.

Nie znam dobrze tę rzecz.
To jest na dziennym porządku.

Nie znam téj rzeczy.

To jest rzecz c o d z i e n n a.

Rusycyzmy.

Biedni wspierani bogatymi.
Dziecko ukarane matką.
Ja jego nie znam wcale.
Udobrodziejstwowany.
Czy ty był w teatrze.
Jakby to nie było.
Podaj mnie pióro.
Więcej tysiąca rubli.
Pytałem u niego.
Odkryć szkoły.

Wspierani przez bogatych.
Przez matkę.
Nie znam go wcale.
Obdarowany.
Czy byłeś w teatrze.
Bądź jak bądź.
Podaj mi pióro.
Więcej niż tysiąc rubli.
Pytałem go.
Otworzyć szkoły.

Germanizmy.

Dostać gości na herbatę.
To daje do myślenia
Wpadać w słowo komus
Ktoś wypadł z równowagi.
Sądzę się być w prawie.
Wychodzę z téj zasady 1).

Mieć gości.
To mię zastanawia.
Przerywać mówiącemu.
Stracił równowagę
Sądzę, że mam prawo.
Opieram się na téj zasadzie.

Lituanizmy.

Wziąłem czytać.
Co mnie zrobić.
Przez dzień.
Wszystko szedł przedemną.
Więcej—że nie tylko to.
Po formie
Mnie można jeść.
Powierzyć komus
Chciałabym gdyby przyszła.
Musi być jest.
Głowa mi boli i Kazio wi
to samo.

Zacząłem.
Co ja mam zrobić.
Co drugi dzień.
Ciągle.
Przecie więcej nic.
Formalnie.
Ja mogę jeść.
Zawierzyć.
Żeby przyszła.
Zapewne jest.
Mię i Kazia.

1) Czytaj: O skażeniu języka polskiego uwagi D-r. F. K. Skobla.

Cacki.

Władzę do wagonu.

Lisznia bułeczka.

Schyliła się szpilka.

Niech używa swobody nim
jest dzieckiem.

Cacka.

Wejść.

Nadliczbowa.

Zgięła się.

Póki jest dzieckiem

Naturalność.

Naturalność — jestto piękny przymiot tak człowieka samego jak jego pisma i mowy i objawia się wtedy, gdy z całą swobodą i bez najmniejszej przesady tak wydajemy swe myśli, jak one w naszym pojęciu powstały, i gdy bez żadnego wymuszenia płynące z ust naszych wyrazy malują wiernie prawdziwe nasze uczucia, nie podnosząc ich do wyższego nad rzetelny naszego wrażenia stopień.

Naturalność — dziwnym powabem umie pociągać ku sobie, i jednako zacnej duszy jak i wysokiego umysłu jest cechą, bo jest odbłaskiem prawdy, — prawdę zaś każdy kochać i szanować musi i szuka jej skwapliwie we wszystkim, a odczuje najłatwiej, gdy mu się ona bez żadnych wymuszonych wyrażen i uniesień przedstawi. W mowie ustnej, taka naturalność jest koniecznym naszego wysłowienia warunkiem, a w piśmie ma urok wyższy nad wszelkie piękne ozdoby. Odznaczyli się nią w swych pismach: Brodziński, Rzewuski w *Pamiętnikach Soplicy*, ks. Hołowiński, Ignacy Chodźko, a u Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Kaczkowskiego nie brak też tego przymiotu np:

— „Nie doradzam ci moje dziecko — powtarzała mu matka nieraz, abys nie słuchał tych, którzy rządzą dziś twoją głową i sercem. Oni wzięli tę ważną sprawę na siebie, do nich ona z praw i zwyczaju należy, oni też zdadzą z niej kiedyś ra-

chunek przed Bogiem. Ale przypomnij też sobie czasem i to, co ci mówiła zawsze i dzisiaj po-raz ostatni powtarza matka. *Ojciec nasz, Zdrowaś Maryja i Wierzę*, to tak małe napozór są rzeczy i tak je łatwo pamiętać! A więcej nie mam nic ci do przekazania; to będzie twoja cała po mnie spuścizna. Lecz nie myśl moje dziecko, ażeby to była taka rzecz drobna, jak ci się może wydaje. Dziś jeszcze ty dzieckiem i masz opiekunów, którzy cię prowadzą jak dziecię na pasku. Oni myślą o tobie, wskazują ci każdą ścieżeczkę, na którą masz wstąpić, oni cię chronią ode złego. Lecz przyjdą czasy, w których się sam zostaniesz na świecie. Pokażą ci się tam wszystkie krzyżujące się z sobą drogi tego żywota, a wybór pomiędzy niemi będzie całkiem zależał od ciebie. Każda z nich, będzie ci się wydawać piękniejszą od drugiej, przyjdą pokusy, niepewności i walki wewnętrzne na ciebie. Okażą się przeciwieństwa, ciężkie próby z dopustu Bożego, zasadzki ludzi złych i zazdrośnych, zawody, umartwienia, boleści.... Na to wszystko może znajdziesz ratunek w twoim rozumie, podporę i puklerz w twój silnej woli, a w samym sobie pociechę; a daj ci Boże! i życzę ci tego z całego serca.... Lecz kiedy to wszystko nie zechce skutkować, kiedy rozum twój odrętwieje, kiedy wola pod ciężkimi ciosami się ugnie i upadnie, i kiedy dusza twoja w boleściach i zgryzotach omdleje, kiedy już wyczerpiesz wszystkie rady twych mistrzów i wszystkie mądrości twych ksiązek i jeszcze nie znajdziesz pomocy, ni ulgi—przypomnij sobie wtedy swoją macierzystą spuściznę, a to ci pomoże. Ten jeden króciutki paciorek posłany do Boga z ufnością, miłością i wiarą, zastąpi ci wszystkie potęgi, którebyś mógł znaleźć na ziemi. Jedno takie pokorne i szczere westchnienie do Stwórcy rozpędzi wszystkie nieprzebyte tumany przed tobą, oświeci promieniem słońca twoją drogę na przyszłość, odejmie moc twoim nieprzyjaciółom a tobie powróci siły, i wolę, i rozum i wszystko to, coś stracił.“

Bajronista. Zyg. Kaczkowski.

W opowiadaniu rzeczy ubiegłych, w opisach miejsc zwiedzanych, taka naturalność niezmiernie zajmuje i rozrywa umysł, nie wymagając natężenia jego uwa-

gi, jakiego sztuczniejsze piękno potrzebuje zazwyczaj, a do której — nie zawsze usposobionym być może. Przykładem takiej znów naturalności opowiadania jest wyjątek ze „*Wspomnień*” ks. Jełowickiego:

— „Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych gdzie była taka jak my dziatwa. wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś, myślimy sobie: musi tam być wiele dzieci, ot będziemy się bawić; pytamy:

— „Papo! a wstąpimy tu?”

— „Wstąpimy.”

— „A dużo tam chłopców?”

— „Dużo.”

— „A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?”

— „Gimnażyum.”

— Otóż masz! — Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łyż się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma. Żle! ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta, paskudne; — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne; po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

Wtém dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy, i nuż w perewerty; wesoło krzyczą, i nam poweselało. Radziłyśmy się wyrwać do malców i pokazać im co to i my figłów umiemy, ale nie można; więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— „Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?”

A nauczyciel łaciny i grecczyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

— „Jak odbędziecie popisy.”

— „Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.”

— „Da się to widzieć.”

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu. Myślimy sobie: Książd Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się; popisaliśmy się doskonale.

Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej;

Byłoto w Sobotę; w Poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie do pana Jagielly; Niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W Niedzielę rano ojciec mówi:

— „No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

— „A są tam dzieci?“

— „Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie. Ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stały; ruszamy z tą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; było Szczeniowski, wówczas dozorca gimnazjum Winnickiego, dawniej prezes jakichś sądów, jeszcze dawniej poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnej nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niej niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednej ni o drugiej. To też doczekał wesołej starości co się nie smuci żadnym nieszczęściem: bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka jój sądu.

— „Przedstawiam ci moich chłopaków.“

— „Żwawe chłopcy; a to wnuczeta moje.“

I zaczął wywódzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

— „Kiedy my wnuki, to pan dziadunio!“

— „Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużśmy nowego dziadunia, dziaduniem nazywał zawsze. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę — „oto wasza baba“ — wskazał na nas — „oto twoje wnuki“ — więc po kolei emok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak anioleczek; stanęła, popatrzyła i schowała się. Znowu stanęła we drzwiach i już się nachyliła do pierwszego poskoku; na prawej nóżce stoi; lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jój nie zgu-

biła; ręczki na w pół podniesione, jak gdyby do latania zrywac się miała; włoski jasnotłite jeszcze nie spoczęły w pędzie, a błękitne duże oczki mówiły: mamó, zawołaj mnie! Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój; i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — Ksawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.“—Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię. Powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom.“

Prostota.

Prostota stylu jest piękną zaletą wszystkich w ogóle pisarzy, a wielką zasługą ludzi poświęcających swą pracę dla dzieci—i mniej oświeconych od siebie, bo potrzebuje zarówno głębokiego pojęcia przedmiotu jak i pamięci o tém, że nie dla popisu swego, lecz dla pożytku drugich pracuje. O naukowych rzeczach łatwiej jest mówić z tymi, co jednako z nami ją pojmują, aniżeli dać o nich wyobrażenie, nie mającym go jeszcze zupełnie;—i żeby spopularyzować jaką naukę, trzeba nietylko znać ją dla siebie z gruntu, aż do najdrobniejszych szczegółów, ale trzeba umieć zniżyć się do pojęcia tych, których z nią chcemy zapoznać, i umieć uczynić słowo swoje jasnym światłem, coby każdy z tych szczegółów wielkiej całości objaśniało i odejmowało obawę niezgłębionych jakichś tajemnic. Każda prawda, gdy z trudem i mozołem pojmowaną być musi, męczy i zniechęca słabe umysły do siebie, a kto tę prawdę umie zrobić jasną i łatwą, kto umie tak ją wykazać, że nieobeznany z nią wcale, zdaje się jakoby dobrze wiadomą rzecz przypominali sobie tylko, ten stokroć

większego dokonywa dzieła, niż ten, kto zadziwia i przygniata, (że tak powiedzieć można), ogromem swojej nauki. Taką prostotą stylu odznaczyli się wielcy kaznodzieje nasi jak: Skarga, Birkowski, Młodzianowski i znakomici uczeni, co wysoką naukę i wyjątkowe pedagogiczne zdolności na pożytek uczącej się młodzieży poświęcali i żywym piórem i słowem np:

— „Historyja jako nauka opowiada, jak żyli ludzie i narody przed nami, aby wskazać jak nam żyć należy. *Żyje*—*któ pracuje* nad rozwinięciem sił swego umysłu i ciała i zdobywa sobie dzielność, której używa na pożytek swój i innych ludzi, swoich bliźnich. Im działanie człowieka więcej przyczynia się do dobra innych ludzi, tém bardziej jest ludzkie, szlachetne, znaczne, tém godniejsze wdzięczności, rozgłosu i sławy; człowiek taki jest znakomitą osobą, której życie opowiada historyja dla nauki i przykładu potomnych.

Ale *człowiek* ani mógłby się wykształcić, ani zdziałać coś ważnego sam, bez współdziałania i pomocy innych; *nigdy też nie żył sam*, lecz *społem* z innymi ludźmi, którym pomagał w ich pracach i kłopotach i wzajem od nich doznawał pomocy. Takie pożycie wspólne nazywa się *życiem społecznem*, a ludzie niemu objęci: *społecznością*. Spólnie żyjąc, pracując, oświecając się, broniąc, ludzie łatwiej osiągają swoje cele: wykształcenie, rozumne a znaczne działanie i szczęście, a zatem życie społeczne jest dla nich koniecznością i wielkim dobrem.

Najpierwszą i najmniejszą społecznością jest *rodzina* np. Noe z żoną, synami i ich żonami; potem *ród*, do którego oprócz krewnych należeli słudzy i niewolnicy, zostając wszyscy pod władzą naczelnika rodu—ojca i rządcy czyli patryarchy; takim był Abraham, Izaak, Jakób.

Gdy ród coraz więcej się rozrastał, tak, iż z niego oddzielne powstawały rody np. od synów Jakóba, takie rozmnożone rody nazywały się *pokolenia* np. dwanaście pokoleń izraelskich, a ogólny ich związek czyli społeczność, mająca też samą religiję, język, prawa i obyczaje, nazywała się *ludem*. Lud izraelski żywo czuł toż pochodzenie i wywodząc ród swój od Abrahama, był sobie jakby pokrewnym, chociaż stopnie tego po-

krewniostwa były już bardzo dalekie. Współcześnie były i inne ludy na ziemi. Każdy z nich uważał się za najlepszy, inne zaś ludy nienawidził i starał się podbić pod swoje panowanie. Jeżeli mu się to udało, lub sam uległ, wtenczas do ludu jednego rodu przybywał lud drugiego rodu czyli *ród-na-ród*. Nie raz łączyło się tym sposobem kilka lub i wiele ludów. Związek między nimi utrzymywał wspólny najwyższy zdobywca, rządcą i pan czyli *monarcha* (jedynowładca) a społeczność taka nazywała się *monarchiją* lub *państwem*, które nieraz zajmowało wielką przestrzeń ziemi np. perskie, greckie, macedońskie, rzymskie, bo narody pogańskie dążyły do panowania nad całym światem czyli do *monarchii uniwersalnej*. Dopiero po narodzeniu Chrystusa Pana, według Jego nauki ludzie uznani zostali za bliźnich, a państwa jakby za wielkie osoby, moralnie równe sobie i weszły z sobą w rozmaite przyjazne stosunki, z czasem nawet czuwać poczęły. aby państwa silniejsze nie uciskały słabszych, co nazwane zostało *równowagą polityczną*, a państwa tak ubezpieczone *wielką rodziną narodów*.

Wstęp do historii. Wojciecha Grochowskiego.

Zwięzłość.

Zwięzłość mowy i pisma jest wynikiem gruntownej znajomości przedmiotu; logiki w uporządkowaniu a wprawy w wypowiedzeniu swych myśli i zasada się na krótkim tychże wydaniu. W interesach i sprawach sądowych, w pismach naukowych i poważnych, przymiot ten jest niezbędnym, bo ułatwia prędkie ogarnienie całości przedmiotu, a język nasz wykształcony na łacińskich wzorach, w wysokim stopniu posiadać go może. Do takiej zwięzłości stylu pomagają nam doskonale imiesłowcy i różne sposoby skracania i łączenia w jedną całość zdań, któreby czyniąc okres zbyt długim, myśl główną w nim zaciemniły. Strzedz się jednak należy, aby wyrzuceniem zdań mogących się czytać do wy-

jaśnienia, czy to do ozdoby myśli naszych przyłożyć, nie uczynić mowy suchą i pozbawioną wdzięku, a zbytniem ich skracaniem, przez częste użycie imiesłowów tak jak wprzód rozwlekłością nie uczynić myśli zawiłą i nieharmonijną. Zbyteczne ubieganie się za pięknem w dzisiejszych czasach rzadszym już uczyniło ten przymiot, ale znakomitsi pisarze nasi jak: Kremer, Kaczkowski i inni umieją zwięzłość obok obrazowości zachować i odznaczył się nią także Szajnocha w swych *Szkicach historycznych*, Kraszewski w *Obrazach historycznych* i w wielu innych swych pismach.—Tak Szajnocha opisując o niewoli na Wschodzie powiada:

—„Zabliźniona od pewnego czasu rana pogańska, jak blizna na czole wojownika służy raczej za jakąś poetyczną ozdobę naszej przeszłości, niż za przedmiot badawczego zmiernia jej głębokiej niegdyś boleści i historycznego znaczenia. Takiem zatarciem się szczegółowych rysów dawnej niedoli i niewoli pogańskiej ubywa coraz więcej gruntu najważniejszej chlubie historyi naszej—to jest téj chlubnej a tak wdzięcznej przez wszystkie niegdyś narody uznawanej zasłudze, iż w bramach pogaństw osadzeni, byliśmy całemu chrześcijaństwu tarczą i przedmurzem od barbarzyństwa. Puszczać bowiem w niepamięć nasze klęski tatarskie i tureckie, a lubiąc bawić się natomiast obrazami błogiej doli i swobody praocjów, widokiem ich wesołego niegdyś pożycia śród ciągłych uczt i zjazdów, zwad i sejmików, jakże fałszywe wyobrażenie czynimy sobie o możliwości i prawdzie owéj zasługi historycznej!

Myślmyż bowiem naprawdę, iż to sejmikując wciąż, a uczując i zwady brojąc byliśmy przedmurzem i tarczą Europie! Owe sejmiki i zwady ujęły wiele blasku naszej przeszłości i przyszłości—a wielka zasługa obrony ludów zachodnich od grożącej ze wschodu burzy pogańskiej jak wszystkie wiekopomne zasługi w dziejach urosła z wielkich ofiar i wielkich cierpień. Krew w boju z pohanami przelana, była tylko mniejszą częścią téj historycznej ofiary naszej; największą część zasługi około bezpieczeństwa chrześcijańskich ludów od

pogan, położyliśmy cierpieniem, łzami i niewolą tylu a tylu tysięcy współbraci naszych, dziesiątkowanych ustawicznie plagą pogańską.

Dlatego zapominając ich łań, ich więzów, ich galer, ich dziwnych nieraz przygód, zapominamy najistotniejszych świadectw naszego spełnionego w dziejach zadania. Zaiste— w najmniejszej części swojej było ono zadaniem pomysłowości i miłych wczasów. Naród nasz w wiekach minionych mógł naprawdę powiedzieć o sobie jak jego hetman: „Nie z roli ja ani z soli, ale z tego co mię boli urosłem.“ Mniej więc o chlebie i soli, a bogdaj słów kilka o cierpieniu i poświęceniu.“

Powieść o niewoli na wschodzie. Szkice Szajnochy.

Zwięzłość taką, ludzie wysoko wykształceni, jasno pojmujący rzecz i piękno w jej głębi zawarte, umieją zachować i w innych—przeważnie estetycznych—i uczuciowych pismach, bo każda myśl główna a piękna uwypatnia się więcej, gdy obok niej nie stoją inne odrywające myśl od niej, i sama przez się działa ona wtedy na umysł i serce czytelnika; całe zaś pismo, prawdziwie *iędrnem* i *dobitnem* a więc i przekonującym się staje.

Tak Ig. Kraszewski—mówiąc o istnieniu Opatrzności Bożej na ziemi, dowodzi jej w ten sposób,—że każde zdanie w tym przedmiocie rzucone, samo przez się jest ważnem, i wydaje się nawet koniecznem: a niema pomiędzy nimi ani jednego obliczonego na *ozdobę* dla innych, bo *piękno* jest w duchu każdej z nich z osobna—i z każdej z osobna—tak jak i z wszystkich razem przemawia np:

—„Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewiedomie nad wami z słów waszych, bo niema istoty tak strzeżonej z woli Bożej, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany—i każda myśl otoczona i każde udęczenie serca naprzód wypielegnowane; a gdy wśród

dwóch wpływów, wola i dusza pójdą choć częścią za lepszym, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje i do kosza zasług waszych zanosi, i do skarbca waszego zamyka, by w dniu uroczystym powrotu utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wienca, klejnot na piersi....i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

—Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku; patrz rzekł, wskazując na ziemię,—oto drzewo, które rosło wieków kilka, a na nim liść jeden rozwinęła ostatnia wiosna; liść jeden ze stu tysięcy, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I żółkł jesienną posuchą; oto na włosku już zawisł na gałęzi;—nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się.... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dziatki czekały, dziatki głodne.... przezeń ocalona została.... Drugi liść gnijąc, podsycał kwiatek, który ocalił człowieka.... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko—i nie ma losu a trafu, jest—obmyślenie opatrzone;... ziarno niesione wichrem bez woli Bożej nie pada; serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez niego. Milijony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowane, aby każde przyszło w porę drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Żadne spojrze nie leci bez woli Bożej, ani przychodzi daremnie; żadne uczucie nie wyrasta w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to—co ludziom zdaje się niczym w życiu,—jest czasem: wszystkiego nasionkiem.“

Mogily str. 20

Harmonija.

Mowa nasza, jako dźwięk i odgłos duszy powinna mieć przymiot właściwy muzyce, to jest: h a r m o

niją i śpiewność, bo tym sposobem większe ona wrażenie na drugich wywrzeć potrafi i przez zmysł słuchu, łatwiej do serca się wkrada. I do muzyki tém inowa jest podobna, że jak w pierwszej, pojedyncze tony w takt, a takty w melodyjną całość się składają, tak w mowie pojedyncze wyrazy w zdania, a zdania w dźwięczne dla ucha okresy szykować starannie należy. W melodyi muzycznej brak jednego dźwięku, przełożenie lub przetrzymanie jednej tylko nuty całą jej harmoniją zepsuje i to samo w mowie: jedna nawet sylaba zamało albo zawiele użyta, jeden wyraz złym szykiem położony, już jest ze szkodą melodyi—jakoby dźwiękiem fałszywym.

Nie tylko więc dobór ale i układ wyrazów ma tutaj wielkie znaczenie i pod temi względami wystrzegać się należy:

1) Wyrazów, co choć nie czystości, ani przyzwoitości języka, ale estetycznemu uczuciu przeciwne, rażą niemile muzyczne ucho jak np: *nazad, chlapać się, włazić* i t. d.

2) Umieszczania przy sobie wyrazów mających jednaki źródłosów, lub częstego powtarzania jednychże, które łatwo innemi zastąpione być mogą. Np: Nie rób na *złość* temu *złośnikowi*, bo tém jeszcze go bardziej *rozłościsz*. *Oszczędność* jest podstawą dobrego bytu rodziny; bo kto tak *oszczędnie* umie się urządzić, aby codzień ze zwykłych swych wydatków choćby cokolwiek *oszczędził*, ten w najpotrzebniejszej chwili, tak *oszczędzonym* groszem wybawić z kłopotu się może.

Są jednak wyjątki co do tej zasady w takich razach, gdy zestawienie dwóch jednegoż pochodzenia wyrazów, jednemu z nich większą siłę i wybitniejsze zna-

czenie nadaje. Tak Jul. Słowacki w *Balladynie* powiada:

„O biedny *kwiatku!* na toż ty się *kwiecił*,
By cię na krzyżu *ćwiekami* przybito?
Czemuż nie było mnie tam na *Golgocie*
Na czarnym koniu z *uzbrojoną* *świtą!*
Zbawiłbym Zbawcę—lub *wyrąbał* *krocie.*“

A Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* opisując ucztę na miejscu przebojem zdobytém—by lepiej potęgę snu określić, tak dwa podobne do siebie wyrazy zestawia.

„Chce szlachta noc tę przepić, przejeść i prześpiewać,
Lecz powoli zaczęli drzémać i poziwzać.
Oko gaśnie za okiem, i cała gromada
Kiwa głowami, każdy gdzie siedział tam pada,
Ten z misą, ten nad kuflem, ten przy wołu ćwierci
Tak *Zwycięzców zwyciężył* w końcu sen—brat śmierci.“

3) Należy się wystrzegać umieszczenia po sobie kilku jednozgłoskowych i trudnych do płynnego wymawiania wyrazów np: *Nasz gród wił dziś laur na ten grób.*

4) Zbiegu wyrazów dwu lub trzy sylabowych miar, czyniących mowę monotonną i bardzo nie miłą dla ucha np: *Miałam—zamiar—iść do—ciebie—lecz czas—słotny—mi prze—szkodził. Czytałam—dzień cały—ażebym—ci mogła—co prędzój—odesłać twą książkę.*

Przekładnia jaka służy naszemu językowi, niezmierznie wiele wpływa nie tylko na harmoniję, ale i na dobitność mowy, pozwalając wyrazom malującym pojęcie głównie nas obchodzące takie miejsce naznaczać, na jakim postawione dadzą się wymówić z naciskiem zwracającym na nie uwagę np:

„Patrz, rzekł anioł: (miłość macierzyńska) to *najwyższa najczystsza miłość na ziemi*, bo w niej *największe jest poświęcenie; niema nad nią świętszej, ani trwalszej, ani silniejszej*; jedno serce *matki tak kochać umie, jak Bóg kocha dzieci swoje; jedna to miłość, co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmożona, wielka, trwa do końca*. Niewdzięcznością odpłacona płacze—ale *przebacza; odepchnięta powraca; zdradzona wzmagą się, życie traci i z za życia jeszcze promienieje*. Dlatego błogosławieństwo *matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelném*.

Mogily Kraszewskiego.

5) W szykowaniu wyrazów pamiętać należy, aby na końcu zdania nie kłaść wyrazów jednosylabowych i zaimka *się*, chyba w krótkiej, urywanej mowie, lub gdy tym sposobem dobitniejszą uczynić ją możemy, np: Nie ciesz się! Zawierz mi! Kołko rodzinne, to dla mnie cały świat! Wystrzegać się też potrzeba powtarzania jednychże wyrazów i zaimków w względnych, czego można uniknąć, przez omówienie wyrazu lub skraccanie zdań, bo takie powtarzanie wtedy tylko jest dobrém, kiedy jedno jakoweś pojęcie wybitniej przez to malujemy, bynajmniej harmonii mowy nie szkodząc np:

„Wiekuiestém jest wszelkie ukochanie myśli *Bożej*, prawa *Bożego*, obietnic *Bożych*. *Z kim się choć raz podzielimy opłatkami wspólnej wiary w dobre, wspólnej tęsknoty za sprawiedliwém, wspólnych nadziei zbawienia, z kim wymienimy słowo pokoju, wzajemnej przestrogi lub zachęty ku poczciwej pracy, z kim się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jednej odmówionej razem modlitwie, z tym i wieczność nas nie rozdzieli.*“

Gabryela

Harmonija naśladownicza.

Oprócz harmonii melodyjnej — jest jeszcze harmonija naśladownicza, wypływająca z doboru wyrazów zastósowanych do pojęć jakie malować mają, a w które-to wyrazy obfitym jest bardzo nasz język. Ma on albowiem wyrazy ostre dla wydania burzliwych, — a miękkie i pieszczotliwe dla słodkich i łagodnych uczuć, jak to pięknie wypowiada jeden z poetów — w tém określeniu naszej mowy:

„Boć narzecz słowiańskie pozorem nie kłamie,
W każdym dźwięku myśl cała i ognista drzemie;
Jak gościnność w ich sercu, jak w boju ich ramię,
A tak tkliwa i rzewna jak całe to plemie.“

J. N. I.

W wysokim także stopniu posiadamy łatwość odtworzenia samém brzmieniem wymawianych wyrazów — wszystkich głósów żywych, lub pochwyconych w naturze, i naśladowania przeróżnaitych dźwięków wydanych poruszeniem rzeczy, a takimi wyrazami są: huk, grzmot, błysk, grom, świst, szum, szelest, chrzest, brzęk, dźwięk, łoskot, turkot, tentent, pisk, ryk, wycie, hałas. i t. d.

Jest téż to wielką zaletą piszącego i dowodem jego gruntownej znajomości języka, jeżeli w opisach jakiegobądź rodzaju umie zachować zgodę między wyrazami a pojęciami jakie niemi odmalować pragnie, a szczególniej w poezyi, — pięknie się takowa zgoda wydaje. Tak Odyniec w tłumaczeniu swoim malując pogodę samych łagodnych doбира wyrazów, gdy mówi:

„O jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośnie wichrów umilkną niezgody;

A rozjaśnione niebiosą i wody,
Znów mile słońce piastują na łonie!

Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści
A każdy zda się innego stróż ziola,
Jego woń tylko roznosi dokoła.
A całe niebo blaskiem się uśmiecha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha.“

Czciciele ognia.

W *Dziewicy Jeziora* piękny jest także przykład harmonii naśladowniczej w ustępie malującym wrażenie, jakie czyni na góralach symfonia wojenna naśladowująca dźwięki: marszu, ścierania się mieczów, okrzyków, i szeregającego się gwiełku.

„Im bliżej coraż, tém głośniej wzdłuż brzegu
Dźwięk się Pibrochu po skałach rozlega;
Z początku zdala tchnąc z wiatru oddechem
Cichém w powietrzu rozpływał się echem,
I mięknięc z wolna w przelocie nadwodnym
Zdawał się uchu być śpiewem łagodnym.
Ale co chwila im głośniej, tém bardziej
Brzmi pełniej, mocniej, przeraźliwiej, twardziej;
Słychać marsz, który Alpinów klan zbrojny
Gromadzi w hufce i wiedzie do wojny.
Bije takt gęsty, że rzekłbyś po ziemi,
Tysiąc stóp tętni krokami prędkimi,
Lub że już hufce stąpają z pośpiechem,
A ziemia głuchém ozywa się echem.
Takt zwolniał nieco; brzmią tony wesela;
Marsz! znać, że idą na nieprzyjaciela.
Wtém wszystkie dźwięki zmieszały się razem
Jakby mąż z mężem, żelazo z żelazem,
Słychać szczełk mieczów i chrzęsty pancerzów,

Świst strzał, zgrzyt włóczni i trzaski puklerzów
Ucichły nagle;—wrzask tłumi się, głuchnie,
Przeszła utarczka,—nim bitwa wybuchnie.
Brzmi znak,—znów zbrojnych szeregów znać starcie,
Uparty odpór i szybkie natarcie;
Wzmaga się hałas wrzaskliwy i dziki,
Jęki boleści, tryumfu okrzyki;
Pierzchają tony jak wrogi wśród klęski,
Alpinów tylko brzmi już hymn zwycięzki.
Ani tu koniec; lecz coraz koleją
Wyniosłe tony zniżają się, mdleją,
Aż w cichych jękach powiały ku niebu
Na cześć poległych smutną pieśń pogrzebu.

A. Ed. Odyniec.

O wadach stylu.

Wszystkie powyżej wymienione przymioty są tak koniecznymi warunkami nietylko już pięknego ale nawet i dobrego stylu, że każde wykroczenie przeciwko nim staje się wadą, odbierającą cały urok wysłowni naszemu. Jedne z tych wad wypływają z nie logicznego układu myśli piszącego, drugie z braku poczucia piękna, lub mylnego o nióm pojęcia i czynią styl: ciemnym, przesadzonym, napuszonym, rozwlekłym, zbyt ciekawym, wymanierowanym, lub—nieprzyzwoitym zupełnie.

Do najpierwszych liczy się ciemność czyli zawilgość stylu, która nie daje jasno i łatwo objąć głównej myśli piszącego. Brak gruntownej znajomości przedmiotu lub usilniejsze staranie się o ozdoby niż o logiczne wypowiedzenie rzeczy, są takiej wady przyczyną, która uderza w źle ułożonych i za długich okresach, skutkiem nagromadzenia zdań pobo-

cznych i nawiasowych odrywających uwagę coraz do czego innego. Wyszukane,—niezwyczajne lub źle zastósowane wyrazy, niewłaściwie użyte przekładnie mieszające różne, lub rozdzielające dwa do siebie należące pojęcia, a także brak naturalności tak w pojedynczych wyrazach—jak i w ogólném wypowiedzeniu myśli pisarza, również się na tę wadę składają np:

Jako między umem a prawdą uznać wypada coś za uprzednie zgodne nastroszenie; to jest, każdemu człowiekowi wrodzoną prawdy pojętność, w braku wychowania uspiołą, wychowaniem obudzalną; lecz ani w tej drodze nabywalną, ani całkiem wyniszczalną: tak też jakiś zobopólny miłodźwięk rodzimy zachodzi między umem naszym a pięknością: to jest każdy człowiek, którego przyrodzona dzielność umu nie doznaje przeszkody, posiada od urodzenia pewnego rozsądziciela piękności w ogóle, czyli uczucie estetyczne, które za pierwobyt, pierwocinę, i zaczątek w nas pięknoznawczy uważać można.

Z broszurki: O piękności.

Myśl—jest tu zawilą i ciemną, bo schwycić ją trudno w chaosie wyrazów niezwyczajnych i zdań, logicznym związkiem nie połączonych z sobą bynajmniej. —Toż samo i w następującym wyjątku:

—„Jak piękna zorza, czystym rozjaśniająca ziemię porankiem, cieszy zabierającego się do pracy rolnika, iż plon rozłożony na polu, szczęśliwie przecież pod domową strzechę sprowadzi i z rodziną swoją w słodkim wycoczynku używać będzie; a nagle, nie wiedząc z kąd, gromadzące się wilgotnych wyziewów kłęby, ćniąc przed jego rozwesoloném okiem sličną zorzę, wnet pochlebne jego osłabiają nadzieje,—tak cień nieszczęsny wiekuistej nocy gasząc niespodzianie prawdziwą szczęścia naszego jutrzeńkę, ukochaną Królową Jadwigę w r. 1399 cały naród polski i naszą szkołę główną, niewysłowionym przeraził smutkiem.“

O stanie Akademii Krakowskiej.

W tym drugim okresie jakkolwiek lepszym jest od pierwszego, główna myśl także nie jasno jest wypowiedziana — najprzód z tego powodu, że takie dwa pojęcia jak *piękna zorza* i *cień nieszczęsny*, niewłaściwie są z sobą związane przysłówkami porównania: *jak: tak*, bo *piękna zorza z jutrzeńką* a *cień snuierci z chmurami* porównane być winny; a powtóre: że niepotrzebnie użyta przekładnia rozdziela *poranek* od jego przymiotu, — że zdań jest zawiele w pierwszej połowie okresu — i że wzięcie takich wyrazów jak: *wilgotnych wyziewów kłęby*, zamiast *chmury*, jest obliczaniem na ozdobę z krzywdą naturalności i prostoty.

Drugą wadą stylu jest przesada czyli affektycja w malowaniu uczucia niezgodnego z prawdą, w robieniu wielkich rzeczy z małych i nic nieznaczących, w użyciu jaskrawych ozdób i porównań branych z przyrody a rażących zbytniem oddaleniem od wszelkiego prawdopodobieństwa. Wada ta u pisarzy XVII-go wieku, była powszechną — ale nieraz i u dzisiejszych spotykać się daje, a jest ona całkiem charakterowi polskiego stylu przeciwną. Tak w tym wyjątku z tegoczesnej powieści każde z uczynionych porównań uderza taką przesadą:

„Całym sprzętem izby była para skrzyń mocno okutych; jedna z nich niedbale zasłana brudną i grubą pościelą, była jakby *wpodłuż przecięta jakąś ciemną pręgą, najmnień do ciała ludzkiego podobną, a nad powierzchnią tego zaimprovizowanego łóża prawie nie wystającą*. Byłoto nędzne ciało a raczej szkielet staruszki. *Jej oblicze wychudłe bardziej do ostrego narzędzia niżeli do twarzy ludzkiej podobne, miało kolor przewróconej skiby ziemi mchem porosłej a przy tej czarności włosy gęste, jak śnieg białe, które jej głowę otaczały, sprawiały wrażenie całunu.*“

Trzecią wadą stylu jest napuszoność wyrażen, bo, o ile wzniosłość czyli górnosc myśli zachwyca nas i podnosi na duszy, o tyle górnosc wyrazów razi wykształcone ucho zarówno w mowie i piśmie. Zwyczaj grzeszą nią tacy, którzy sądząc, iż największym dowodem mądrości jest: nie być zrozumianym, dobierają wyrazów nienaturalnych, niezwykłych, nie odpowiednich ani rzeczom, ani myślom, ani uczuciom, jakie niemi malują i czynią tym sposobem mowę swoją ciemną, napuszoną i śmieszoną.

Przykład takiej górnosci z zamiarem wyszydzenia tejże, dał nam w swych „*Ramotkach*“ August Wilkoński, w następującym wyjątku.

„W nieprzejrzanej strzeni czasów stnienie jednego człowieka jest jakby niedziaką równającą się stnieniu jętki, a jednak jakże olbrzymią jest jego missyja, jeżeli odwiekujemy skrzynię rozmysłów, które jego zamknia mózgowa samorodnem wyłonieniem po świecie rozprysła.“

W tymże samym celu Kl. Hoffmanowa podaje wiersz na dzień imienin opiekunki przez wychowawca jej ułożony, w którym tenże tak do niej przemawia:

„Ty! co myśli ulotnej przypominasz słońce!
Ty! którą wielbią świata najdalejszo konce!
Ze związków słodkich z tobą w Parnasie się chlubię.
Tobie igraszki muzy poświęcać ja lubię.
Dla ciebie to Apollo nastroił swą lutnię,
I moja niezawodnie godny wiersz ci utnie.
Żyj dni gwiazdorówne! miej zdrój pomysłności!
Pływaj w złocie, w zdrowiu, w dziwnej szczęśliwości.
O méj ku cię wdzięczności śpiewałbym najmiléj,
Gdybym na Helikonie wzbił się jak Wirgili.
Lecz jeszczem go nie doszedł. . . ! Ale bądź cierpliwa!

Pójdzie lotem pioruna muza nieleniwa:
Wówczas wdzięczność niezbędna i jój zapal cały,
Wieki potomne, wnuki, będą czytywały.“

Daléj—jako przeciwieństwo owéj zwięzłości, która wysłowienie nasze czyni jasnym, jędrnym i silnym, jest rozwlekłość często spotykana w pismach takich jak powieści i rózne opisy, a wynikająca z niepomiarowanej chęci okazania jakiegoś przedmiotu ze wszystkich jego stron i opracowania drobiazgowego nawet i dodatkowych części. Jak w pięknym obrazie, malarz główne postacie czy rzeczy w najdrobniejszych szczegółach artystycznie wykończa, a z podrzędnych, starannie ułożonych, tworzy tylko ogólne tło, na którym pierwsze wydatniej odbijają, tak i w piśmie to samo: główna myśl, czyli główny przedmiot powinien nad przydatniami górować wykończeniem i opracowaniem, a nie ginąć w chaosie mających go upiększyć przydatków.

Jeżeli więc pisarz długo rozwodzić się będzie nad rzeczą wziętą ze świata zewnętrznego, to pismo jego stanie się nudnym i nużącym, a jeśli nad uczuciem, to ekliwem i monotonnem się wyda, całość zaś straci na tém niezmiernie, bo zatrze się piękno najgłówniejszych pojęć i wyobrażeń—i zniknie cała ich siła.

Obok wad wymienionych, wydatne są jeszcze w niektórych pismach i takie, jak: kwiecistość stylu, wypływająca z mylnego o prawdziwem pięknie pojęcia. Kwiecistością stylu, nazywa się układ myśli w takie zwroty i formy, że myśli te, przedstawiając się w sztucznej, wymuszonej i widocznie opracowanej postaci, wymagają wyjątkowego u-

sposobienia ze strony czytelnika, męczą jego uwagę podsuwaniem mu samych niezwykłych wyrażen i przenośni, i robią styl ciężkim i nienaturalnym z powodu nagromadzenia ozdób, jakie mu odbierają całą jego prostotę. Ozdoba ma być tylko upiększeniem całości przedmiotu przez uwydatnienie pewnych jego części, ale nie powinna stanowić najwyższej pisma wartości; i jak dobry gust — nie dozwala pięknej i bogatej materji szat naszych zasłaniać niepotrzebnemi już na nią przyborami, tak też wykształcony smak domaga się piękna i bogactwa w samej treści czyli materji pisma, a ozdoby przyjmuje jedynie jako środek podniesienia i upiększenia czy to jęj barwy czy formy.

Nakoniec — brak poczucia piękna wyradza jednę jeszcze wadę, jaką jest używanie w piśmie wyrazów i wyrażen, które rażą gminnością i w mowie dobrze wychowanych ludzi nieużywane są wcale.

Od względu na przyzwoitość i na wymagania piękna nic nie uwalnia pisarza; słowo pisane musi być oględniej jeszcze niżeli ustne dobierane, bo zostaje na zawsze świadectwem wykształcenia i usposobienia człowieka, a co ważniejsza jeszcze, że jeśli jest harmonii — czy piękna moralnego skażeniem, to źle oddziałuje na niewyrobione jeszcze umysły. Każda książka dążyć winna do tego, aby podnosić, umoralnić i kształcić zarówno rozum jak duszę; jeśli więc przeznaczona dla ludu, to jest jęj obowiązkiem podsuać mu nietylko piękne i szlachetne myśli, ale i wyrazy, jakiemiby swoje grube, nieokrzesane zastąpił; a jeśli z ludowych postaci ma tworzyć dla wykształconych osób obrazki, to powinna malować je z całą prostotą ich myśli i uczucia, a nie z prostactwem wyrażen, obrażających przyzwoitość. Za

piękny przykład w tym względzie zawsze służyć będzie Kazimierz Brodziński, który w swym, „*Wiesławie*“ tak umiał połączyć naturalną prostotę wieśniaczą z szlachetną oględnością na piękno, że każdy wyraz z jego sielanki wyjęty — zarówno mógł się znaleźć w ustach nieumiejętnego ludu, — jak i estetycznie wykształconych, więc wrażliwych na poczucie piękna wyższego świata ludzi.

O ozdobach stylu.

Ozdobami stylu nazywamy to wszystko,—co stylowi mającemu już powyższe, niezbędne mu przymioty, dodać może wdzięku, uczucia i piękna działającego silniej na umysł i serce człowieka.

Umiejętne użycie tych ozdób ważną bardzo jest rzeczą, bo jak podstawą każdego pisma powinna być prawda, a głównym celem jego dobro, tak najpewniejszym środkiem do wykazania prawdy i dojścia do celu jest: piękno. Z wszystkich władz duszy naszej jeden tylko rozum na gruntowości myśli i jasności w jej wyrażeniu przestaje; wyobraźnia zaś, uczucie i różnorodne namiętności człowieka nie mogą się zadowolić prostym i zimnym wypowiedzeniem siebie i szukając odpowiednich sobie żywiołów, znajdują je w pięknie, które podnosi, uwydatnia i pociągającym urokiem obleka wszystko, co z serca przez usta nasze wypływa. Ozdobami składającymi się na to piękno są: wzniosłość, śmiałość i siła wyrażen, rozmaitość, lekkość, powaga, dobitność i żywość; a wielkimi także stylu zaletami są: indywidualność i charakterystyczność.

Wzniosłość.

Myśl wzniosła zawsze odrywa się od ziemi i wypowiedza najszczytniejsze uczucia i najwyższe praw-

dy. Myśli takich najwięcej jest w piśmie świętém, a zwłaszcza w księgach prorockich jako zawierających wszystko, co jest prawdziwą wielkością, w kazaniach i mowach ogarniających tajemnice Boże, a w ogóle płynące z uczuć, jakie piszącego wyżej nad innych stawiają. Nie wymagają one bynajmniej wyrazów szumnych i wyszukanych, ale przeciwnie: prostém, krótkim nieraz słowem, odsłaniają myśl, ując się nie dającą formą zwyczajnych wyrażen. I tak w owém: „*Stań się światło i stało się światło*“ *Jam jest, którym jest*“ „*Wykonało się*“ i w Dawidowém: „*Ja z nim w przygodzie*“ mieści się cały ogrom potęgi Tego,—co „*Sam wszystko stworzył, krom Samego siebie*“

Księgi Hioba pełne są takich wyrażen, a o ostatnich dwóch mowach Iehowy słusznie powiedziano 1) że są: *stkiem samych szczytności*, bo nigdzie ziemska poezycja nie poszła dalej i wyżej. Oto z nich wyjątek.

„Gdzieś był, gdym ziemski zakładał fundament?
Powiedz, jeżeliś dorósł do mądrości!
Czy wiesz, kto ziemi zakreslił objętość?
Kto sznur mierniczy rozciągnął i trzymał?
Na czém oparły się jej podwaliny,
Albo kto kamień węgielny założył?
Jak przytém ranne cieszyły się gwiazdy
I weseliły syny Elohima?
Kto morze zamknął podwójnemi wroty
Kiedy lunęło z matczynego łona?
Kiedym obłoki dawał mu za szatę,
A mrokien, jako pieluchami spowił?
Gdym stromo złamał jego brzeżne skały
Zaworę przydał i podwójne bramy,
Rzekąc: „*aż dotąd pójdziesz, a nie dalej*
I tu rozbijesz wściekłość swojej fali“

(1 Lucyan Siemieński.

Czyś rozkazywał jakes żyw świtanii?
Czyś zorzy miejsce właściwe nazaczył,
Zkądby schwyćwszy za krawędzie ziemi
Strząsała z onój bezbożne zbrodniarze,
A ziemia, ni—to glina pod pieczęcią
Wzorzystej szaty przyobleka.
Wtenczas zbrodniarzom światło ich odjęte
Strzaskane ramię na cios wyciągnięte.
Azas ty dotarł, aż do morskich źródeł?
Chodziłżeś po dnie falistych przepaści?
Czyż ci otworem stały bramy śmierci?
Widziałżeś kiedy drzwi do krajów cieni
Przejrzałżeś ziemi szerzyny do końca?
Gadajże o tém, jeźlić wszystko znanie!
Którędy droga do mieszkań światłości?
Na którym miejscu przebywają mroki?
Abyś je przywieść mógł do swoich końców,
Zbadawszy ścieżki wiodące w ich gniazdo!

a w drugiej:

„Zaprzeczysz-że mi, żem jest sprawiedliwy?
Potępisz, abys został przy słuszności?
Czyż twoje ramię, jako ramię Boga?
Czy zagrzmisz głosem takim, jak On—grzmiącym?
Przyoblecże się blaskiem i pańskością,
Wystąp w piękności wszystkiój i ozdobie,
Wylój na ziemię potok swego gniewu,
Jednym spojrzeniem ukórz wszystkie harde.

.....
Wtenczas i ja ci w pochwały uderzę,
Kiedyć prawica pomaga tak szczerze.“

Śmiałość i siła wyrażeń.

Mysłą śmiałą nazywa się myśl, gdy się odznacza niezwykłością zwrotów i porównań i uderza silnie na wyobraźnię niepowszednią barwą fantazyi, lub zuchwalstwem wypowiedzenia siebie w taki sposób,

przed jakim umysł pospolity się cofa. Taką śmiałością nacechowane jest pytanie jakie arcykapłan pogański zadaje córce chrześcijance, gdy obwiniając jej Boga, że mu ją wydzięra mówi:

„Córko! co zbrodnią byłoby we wrogu,
Czém to zwać będziesz w nowym swoim Bogu?“

Felicyta Odyńca.

również—i to uniesienie Ś-tój Teresy z jakim mówi do Boga:

„Im więcej męki, tém miłości więcej
W tém piekle Bożém, Bożego kochania
Gdzie Twa obecność nawet mnie rozrania“

Glossa ś-tój Teresy Z. Kr.

W powyżej przytoczonych wyjątkach z pism Hioba co chwila takie niezwykle myśli uderzają, jako to np:

„Czyś zorzy miejsce właściwe nazaczył
Zkądby schwyciwszy za krawędzie ziemi
Strząsała z onęj bezbożne zbrodniarze?“

W pismach Słowackiego, Goszczyńskiego, w Farysie Mickiewicza pełno jest takich myśli i śmiałych obrazów jak w tym ustępie naprzykład:

„Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zduniał
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał.
„Co tam za jeden z wichrów moich młodszych braci
Tak poziomego lotu, niekzemnej postaci
Śmie deptać łądy, którem w dzieciństwie osiągnął?
Ryknął,—i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął,

Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złości ład nogą tracił,
Całą Arabiją zmacił
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony i t. d.

Farys Mickiewicza.

Siła wyrażen cechuje zwykle pisma z głębokiego uczucia płynące i niknie tam wtedy wszelki ślad sztuki w obec uniesienia, z jaką się owo uczucie z całą gwałtownością wylewa, do głębi duszy przenikając drugich swą mocą jak np: w owym precudnym ustępie z Glossy świętej Teresy:

„Umrzec—lub cierpieć! a cierpieć bez miary.
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie
Lub gdy nie można—żyć w piekle dla Ciebie

Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana.
Ty—Bóg,—Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie całej wyrastał Bóg cały.
Tyś się zamykał w mém sercu jak w grobie,
—Jam się jak Bezmiar szerzyła ku Tobie.
Przez nieskończonęj Łaski zezwolenie,
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie
Stworzenie w Stwórcę—przez jedno westchnienie.“

Zyg. Krasiński.

Dobitność.

Dobitność wyrażen wypływa z głębokiego przekonania o tém, o czém drugich chcemy przekonać, a polega na doborze wyrazów jasno i dokładnie malujących rzecz, a także na wyrażeniach zwięzłych, zajmujących się główną tylko myślą, na powtarzaniu—i na porów-

naniach plastycznie ją przedstawiających. I tak np. Woronicz malujący cnotę określa ją w ten sposób.

„Cnota—nie jestto owoc w przemądrzałości ludzkiej wyległy, który się stosownie do każdego smaku i widzenia przeistacza. Nie jest-to szata teatralna, w którą się łatwo przyoblec dla zwodniczego udania téj lub owéj osoby. Nie jest-to towar, który na rynku wśród zgiełku małym kosztem zakupić można. Jest-to dostojna niebios posłannica, która z górnych siedlisk na to zstąpiła, aby skażonego człowieka do jego pierworodnej zacności podniosła i podobnym go Twórcy swemu uczyniła.

Woronicz.

Kraszewski—powstając przeciwko kłamstwu, tak się wyraża.

„Nigdy fałszu! nigdy fałszu, ani usty, ani uczynkiem, ani milczeniem, zapomnieniem, ruchem, skinieniem, nigdy—i za nic fałszu dziecię moje; dla niczego, dla nikogo! za żadne skarby świata!

Strzeż się go nawet w życia drobnostkach; a pamiętaj, że nie same usta tylko kłamią, ale życie całe, wejrzenie, ubiór, rumieniec; niech w tobie wszystko będzie prawdą, choćby miało być upokorzeniem.“

Lekkość.

Lekkość stylu niezmiernie miłym jest przymiotem pism takich, jak powieści, listy, podróże i wszelkie opowiadania w ogóle. Wynika ona z żywej wyobraźni i wrodzonej zdolności malowania rzeczy i wrażeń w żartobliwy sposób z całą swobodą i naturalnością, czyniącą pismo zajmującym przez porównania dowcipne, które samą lekkością z jaką się przesuwają po opisywanych przedmiotach podnoszą ich znaczenie i wybitniej jeszcze w umyśle naszym je malują np:

„Żeby poznać Warszawę, w ogólnych jej zarysach, z faktów codziennego jej życia, na co się składają wszystkie jej klasy, jest na to pewny środek. Ani opisy Warszawy Sobieszczańskiego, ani historyczne o niej prace Bartoszewicza, ani szkice Boguckiego, nie dadzą o tém wyobrażenia. Rodzi się w Warszawie codziennie i zabiega do wszystkich jej kątów, mały arkusik ochrzczony nazwą: *Kuryjerka*. W to lustro przegląda się codziennie Warszawa, od pani do gryzетки, od dandysa do ulicznika, od hotelu do knajpy. Nikt się nie urodzi, nie ożeni, nie umrze, nie kichnie w Warszawie bez *Kuryjerka*. Jeżeliby jaki nieprzewidziany wypadek zawiesił wyjście jego na dzień jeden, Warszawa strwożyłaby się bardziej tym wypadkiem jak zaćmieniem słońca. Jak się zlepia *Kuryjerek*? czemu taki żywotny i interesujący, kto mu nadaje ten nieułowiony analizą charakter, o tém zaręczam wam, ani on sam, ani Warszawa nie wiedzą zgoła. Wyrasta on sobie codziennie z brukowego życia jakoś tak dziwnie, tak pobożnie, wesoło, szlachecko poprostu i naiwnie razem, iż rzekłbyś, że na zszycie jego sukienki złożyła się cała Warszawa, i jak tylko pokaże się na oczy, rozbierze go zaraz. Z miną poczciwą, wesołą, z sercem najżyczliwszém dla wszystkich, z powagą, łzą, i dobrym apetytem bieży on i jak Pinetti z jednej maluczkiej bezułęczki leje ci potroszku czego zażadasz. Przybiera na żądanie rozmaite położenia, pokazuje się w szlacheckiej kapocie, to znów w żałobnym stroju ciągnie za pogrzebowym konduktem; zaledwieś go tam zoczył, gdy widzisz już w balowych rękawiczkach; mruga jedném i płacze drugiem okiem; wierzy we wszystkie talenta, proteguje je ciągle i daje w przecięciu na tydzień krajowi dwa geniusze; otwiera drzwi gościnne na szlacheckie pogadanki, drugiem wpuszcza reklamy i usprawiedliwienia; flaneruje magazyny, zwiedza poddasza, kosztuje zupę zółwiową i z równym smakiem zajada flaki; szuka zgubionych piesków i bransoletek i ma jeszcze czas i miejsce owinąć w te Warszawskie rupiecie: parlament angielski, izbę pruską, konkordat austrijacki, zebrać śmietankę z Paryża, ścisnąć całą Amerykę w dwóch wierszach, przestrzedz mieszkańców o utrzymywaniu w czystości rynsztoków, nakoniec palnąć *szaradę*, którą zgadnij jeźliś mądry!

Listy z podróży. Padalicy.

Powaga.

Powaga stylu—wprost lekkości przeciwna, nie jest jednak bynajmniej ciężkością wypływającą z wyszukanych, nienaturalnych wyrażen i zbytku użytych ozdób, ale jest tylko pięknem zastosowaniem tonu mowy naszej do rzeczy opisywanej, gdy ona działając na duszę, wyższem ją uczuciem przejmuje. Wtedy nie używa się ozdób, ani przenośni, myśl nie ślizga się jakby od niechcienia po wierzchu tylko przedmiotu, ale do gruntu tegoż sięgnąwszy, w głębokiem poczuciu całej jego ważności, prostem, zwięzłym, a dobitnym słowem maluje go z należną mu powagą. np:

„Wczoraj—był to wielki Czwartek: Siedziałem w kościele S-go Piotra do godziny 9-téj wieczór; słuchałem *Miserere*. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tém ogromnym sklepieniu, między massy cieniów, massy złota, marmurów, i drogich kamieni zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra, pali się gromnic kilka; a reszta kościoła, to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów,—chaos jakiś z marmurów i cieniów. Świat—jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy;—Bóg co skonał na krzyżu, i dziś On, o téj czarnej godzinie kona w każdym zakęcie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy zda mi się, że słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności, zda mi się widomy; zaczyna się za tym ołtarzem. Patrz! ołtarz wysoko—wysoko—jak olbrzym nikaący w górze; u stóp jego gromnic kilka,—a za ołtarzem ciemność, wieczność,—i reszta kościoła i te pieśni wszystkie płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Bogal! Gdzie nadzieja wasza ludzie, kiedy Syn Boży zniknął i niéma go? Ale trzeciego dnia On zmartwychwstanie i świat ten zbawi.“

Rozmaitość.

Ze względu na wrodzone usposobienie człowieka, rozmaitość jest jedną z najgłówniejszych ozdób każdego rodzaju stylu. Umysł nasz prędko się znuży i znudzi jednym i tymże samym widokiem i przedmiotem; najmilsze wrażenia obojętnieją i słabną, najpiękniejsze melodyje sprzykrzą się i zbrzydną—jeżeli bezprześcannie nasuwać się mu będą,—więc umysł pragnie zmiany w tém wszystkim,—i rozmaitość, czy przedmiotów, czy wrażeń, wpływa na uczynienie mu ich miłszemi i piękniejszymi. Rozmaitość w mowie i piśmie będzie zależała nietylko od treści ale i od sposobu jej wypowiedzenia i rzecz jedna i ta sama wcale inaczej wydawać się będzie stósownie do tego, jaki zwrot myślom swoim piszący będzie nadawać: znudzi i zmęczy, jeżeli jednotonnie powtarzanemi słowy w jednakićj formie przedstawiać ją będzie, a zajmie i rozerwie, jeżeli pismo prowadzone na wzór ustnej mowy, stanie się żywém wrażeń i uczuć jego odbiciem. W tym celu należy coraz nowy tok piśmu swemu nadawać, rzucając krótkie, urywane zdania po okresach dłuższych; twierdzeniu—dając formę pytania; proste opowiadanie faktu przerywając wykrzynieniem własnego spostrzeżenia nad nim, lub przytaczaniem cudzych wyrazów lub rozmów. Wtedy w opowiadanie wlejemy ciepło życia i ruchu, i zmieniając farby, urozmaicimy i obraz, i niezmiernie zajmującym uczynić go potrafimy nawet wtedy, gdy rzecz sama bądź to naukowa, bądź obojętna dla nas, suchą ze swęj natury byłaby. np:

„Wszelki objaw myśli jest mową, dla wzroku migową lub pisaną, dla słuchu głosową. Mowa więc nie może być czém inném jak wyrazem myśli człowieka. Uczucie nasze ma

objaw dwojaki: bezpośrednio—za pomocą dźwięków, pośrednio—za pomocą mowy. Jęk boleści,—śmiejch wesela, wykrzyk przerażenia, zgrzyt groźby, mogą być wyrażone prostymi wykrzyknikami, które do mowy wcale nie należą.

Są to tylko dźwięki wspólne nam ze zwierzętami. Lecz jak skoro uczucia te przejdą w uznanie człowieka; jak skoro myśl je pojmie, wtedy objawiają się już w mowie artykułowanej (zgłoskowej albo wyrazowej), przez omówienie; zamiast wykrzykników, człowiek powie, głowa mię boli! weselo mi! co za potwór! ja cię nauczę! Nie jestże więc rzeczą jasną, że mowa jest odbiciem, objawem myśli na zewnątrz, jest wywnętrzeniem się człowieka? Zachodzi teraz pytanie, kiedy po-ras pierwszy objawiła się w człowieku potrzeba, powiemy więc, konieczność takiego wywnętrzenia się? Człowiek samotny na świecie widząc jaki potwór, słysząc trzask gromu, uderzony walącym się drzewem, krzyknie z przerażenia, przestachu lub bólu, ale nie powie: przeraża mię grom lub potwór; sprawia mi ból upadek drzewa. Chory samemu sobie zostawiony, będzie stękał, jęczał, ale boleści swych w mowie nie odda, bo to nie miałoby ani celu, ani skutku. Czując głód lub pragnienie, człowiek rzuci się do strawy lub napoju, lecz nie powie: chce mi się jeść lub pić. Konieczność wywnętrzenia się, objawienia swych myśli na zewnątrz zrodzi się wtedy tylko, kiedy taki objaw będzie miał cel, a celu tego nie będzie dopóki się nie znajdzie istota, dla którejby takie ujawnienie swych myśli było zrozumiałem i potrzebnem.

Taką istotą rozumną była pierwsza niewiasta. Początek więc mowy odnosimy nie do czasu stworzenia pierwszego człowieka, lecz do epoki stworzenia pierwszej niewiasty.

Wpływ kobiety na utworzenie się i rozwinięcie języka był bardzo znacznym; pozostał widocznym aż do dnia dzisiejszego. Któż miał dzieci nowonarodzone nauczyć mowy, jeżeli nie matka? kto je nauczył stawiać pierwsze kroki, kto z miłością słuchał jego szczebiotania, kto mu powiedział, że jest Bóg, który i świat stworzył i nad wszystkiem opiekę rozciąga? Kobieta—matka. Jeżeli więc kobieta była tak potężnym czynnikiem w rozwijaniu pojęć dziecięcia, musiała wpłynąć i na rozwój mowy, to jest zewnętrznych znaków tego pojęcia.

Wpływ ten wyraźnie ślady swe pozostawił w samym rozróżnieniu rodzajów męskiego i żeńskiego. Języki najstarszytniejsze odróżniają zakończenia męskie od żeńskich, co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby w niém brał udział sam tylko mężczyzna. Możnaż wpływu kobiety zaprzeczać, kiedy niemowlę właśnie od matki słyszy pierwsze wyrazy z łagodnością wymówione, które najłatwiej się zatrzymują w czystej jeszcze pamięci dziecięcia, najgłębiej wrażają się w jego serce i zostają w niém niezatarte na wieki. Dlatego właśnie taki ma dla każdego urok język macierzyński, język pierwszej miłości i pieszczoty, a zatrzymanie tego uroku i nadal i na wieki do kobiet należy.“

Z prelekcji Jana Papłońskiego

Żywość.

Czém dusza dla ciała, tém jest żywość wysłowienia dla naszej mowy i pisma; że zaś człowiek ma odrazę do wszystkiego co obumarłą ma postać, a lgnie do tego, co tylko życie objawia, z tego więc usposobienia jego, ta jeszcze jedna ozdoba stylu wynikła. Źródło jej—jest w silném uczuciu i wyobraźni bogatej; bo kto żywo czuje, ten nie potrafi obojętnie mówić o tém co go obchodzi; a kto wrażliwym umysłem chwytając wszystko co go otacza, i zatrzymuje co mu się pięknego lub niezwykłego nasuwa, ten nie chce i nie może tych skarbów swęj myśli ukrywać, i wydobędzie je wszystkie, aby dać drugim wierny obraz tego, co żywymi barwami w jego się myśli rysuje. Jeżeli więc chodzi o jego uczucia, to rzeczy dawno już ubiegłe potrafi wskrzesić swém słowem i nadać im ciepło serdeczne i ruch; gdy rzecz idzie i o wyobraźnię jeszcze, to ucieka się nawet do sztuki i uzmysławia pojęcia umysłowe, daje im ciało i kształty, każe im mówić i działać, jedném słowem daje im życie, — i za pomocą różnych po-

staci mównych retorycznemi nazwanych, potrafi zająć i umysł i serce i do głębi duszy przemówić. Ze względu na uczucie przywołujące do życia przeszłość dawno ubiegłą—pisma Jg. Chodźki dużo mogą przykładów takiej żywości dostarczyć, ze względu zaś na wyobraźnię—J. Kremer na tém polu jest niewyczerpany. I tak, pierwszy ujrawszy się w miejscu, gdzie lata dziecinne przepędzał w ten sposób o nich wspomina:

„Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzuwioném sercem wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem... Zgasły dnia blaski, niebo się gwiazdami osypało, noc piękna i cicha nowemu dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dziecinstwa odnawiały mi w pamięci. Tędy przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należyście! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa stał potężny olbrzym; głowa sfinxa; z dwóch czarnych węgli żrenica; tułów Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu; w rękę trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu, kto się jój dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednej strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany generał; z drugiej pan Justyn, podżyły infimista, trzecieletni weteran kiassy I-szej, niemocny wprawdzie na dowodach, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową, ależ za to biegły gracz w matony i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu i lubo zmrok wieczorny zaciemnia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. Postrzega pan Stefan, że sprawa po djable, że pan Leon grasuje po jego rotach jak kawalerzysta po rozbitej piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu: „Za okopy mości panowie! za okopy!“ krzyknął. Któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi? Ale w tym

momencie błyska od klasztoru światełko; znajoma to latarka!!! „Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt!“ Przystroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światełko się posuwa! wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzchnęło! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją i ze zbitą latarką znajduje pustym plac pobojo-wiska. Następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowania znalezienia winowajców! Siedzą wszyscy malcy spokojnie koło stołów a zatknawszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zabój: „Byli tacy, byli tacy, Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili i t. d.“

Co do drugiego względu: na *wyobraźnię*, to Józef Kremer patrząc na mury domów oświeconych księży-cem, ożywia je przesłicznie, dając z nich taki obrazek:

— „Teraz naprędce o drugiej przyczynie mojej przyjaźni dla księżyca powiem. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę tchnie sentymentem parafijańskim, ale może i ta moja parafija nielada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżyca za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski. Trzeba ci było być ze mną przed chwilą i tak widzieć ten rynek w swym blasku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz jak mu też ślicznie w poświęceniu księżyce! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe tynki, to wszystko się gdzieś skryło, a rynek stanął uroczyście, poważny, wystrojony jak do ślubu.

Za dnia te domy,—to tak sobie! dawne kamienice—usia-dły w kółko niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wieżastym, śpiczastym, niby w czepku czubatym; inne powykrwały sobie wierzchy we falbany, w cętki dzier-gane; inne jakby marząc o królowej Bonie udają włoszki i chowają dachy po-za jakieś frontony. A już-to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym neglizżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycewych świateł zaleje miasto, wtedy proszę spojrzeć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! niechno by one poczęły bajać, ga-dać, a opowiadać, już by stało czem zapisać grube księgi wie-

ściami temi, a byłoby też po co czytać te stare baję! Boć one kamienice wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni.“

Listy z Krakowa.

Indywidualność.

Niéma nic piękniejszego w człowieku i całym życiu jego jak p r a w d a, i im kto jest głębszego uczucia i podnioslejszej duszy, tém więcej ta prawda widnieje we wszystkich czynach jego i cechuje wszystko co go otacza, i odbija się wszędzie gdzie tylko dłoń swoją przyłoży, bo taki nic przeciwko swemu uczuciu i usposobieniu nie zrobi i między nim, a tém wszystkiém musi być zgoda czyli jedność. Taki człowiek jeżeli wypowiada siebie swoim otoczeniem, tém więcej w s ł o w i e wypowiedzieć się musi, a bardzo wysoko cenioną zaletą jest taka indywidualność stylu, bo lubimy wyszukiwać związku pomiędzy człowiekiem a pisarzem i każde słowo jego podwójnie działa na nas, gdy po-za niemi stają czyny i życie, które je poprzec gotowe, czyli kiedy czujemy, w nich p r a w d ę. Z pomiędzy pism co były echem duszy piszącego, wyróżniają się wybitnie pisma Ig. Kraszewskiego, Gab. Żmichowskiej a nad wszystkich: Zyg. Krasieńskiego, którego słowo każde było częścią jego samego; każde dało świadectwo o jego uczuciach, i każde o nim mówiło to samo, co on sam o sobie w następującym liście powiada:

„Zdrowie moje dźwiga się nieco, ale próżnia ducha, o której ci tyle razy wspomniałem, odzywa się często. Są chwile, których nie życzę nikomu, a które mi duszę rozstrajają. W tych chwilach łamię we dwoje serce moje jak kartę nie-

szczęśliwą, która przegrała dziesięć razy, raz po raz w faraona. W tych chwilach wszystko mi się tak bez nadziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, że wątpię o wszystkiem.

Takie istoty jak ja,—powinny były urodzić się w nieprzeklętym Edenie przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętém i wolném, lub prosto w piekle—jeżeli im już los kazał się narodzić wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń.“

A w innym mówi:

„Czas, to najokrutniejszy z archaniołów; Ten, co u bramy raj u mieczem gołym,—przynajmniej stoi na miejscu: ale czas z podobnym żelazem w obu dłoniach, goni nas i ostrza tych mieczów w plecy nam wtyka; przez plecy wskroś, aż na tamtą stronę piersi się przebijają i tak po tój kuli, wieczne skaleczeni, wieczne krwawi, z sercem stąpamy przeszycém. O! życie gorzkie jest: bo trzeba zapominać o przeszłości, bo trzeba oddierać ją od ciała jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą! Mój drogi! Kiedyś, kiedyś, gdy będziesz wspominał o mnie, pomyśl żem ogromnie wiele nieznanym mi cierpień wytrzymał i że czasem w ciągu życia, chciało mi się śmierci. Coby ci wiedza faktów pomogła? Wieczne faktum moje, oto ból, i ból, i ból jeszcze!“

Indywidualność taką cenimy nietylko ze względu na wyrażone uczucie, ale nawet na formę w jaką myśli swoje piszący układa, i tój jaka jest jemu właściwą nie powinien nigdy wbrew usposobieniu swemu na inną, obmyślaną tylko na wzór upodobany sobie, przemieniać. Każdy wzór piękny powinien wprawdzie służyć na przykład i pożyteczną naukę, ale trzymanie się go ślepo, z zaparciem się czy-to własnego pojęcia o rzeczy, czy osobistego uczucia i kierunku swych myśli jest zawsze z krzywdą i pisma i piszącego zároveň; pismo bowiem noszące obcą sobie, więc niewłaściwą mu cechę, traci barwę prawdy i naturalności tak wielki urok mającój, robi się wymanierowane

czyli wymuszone i przeistacza się w karykaturę naśladowanego piękna; bo myśl, — w cudzą — choćby udatną nawet, ale nieprzystającą do niej formę przyodziana, tak samo jak człowiek w pożyczoną ustrojony suknią, pozbawiona będzie swobody, prawdy, i pewności siebie a t^ę sam^ę do niczyjego przekonania ani uczucia nie trafi; piszący zaś, wyrzekając się sw^{ój} indywidualności — wybijając^ę się w stylu, który za jedno z człowiekiem samym uważa słynny Buffon,¹⁾ schodzi na podrzędne stanowisko podrabiającego się pod cudzą uznaną już zasługę, i przez to połowę — sw^{ój} rzeczywist^ę utracą.

Charakterystyczność.

Oprócz wszystkich przymiotów i zalet stylu różnego rodzaju pism, powieściopisarstwo, wymaga jeszcze jednego to jest: umiejętnego malowania charakterów i usposobień ludzi wyprawdzanych na scenę. Nie popolity to przymiot, bo tu już ani talent, ani wykształcenie, nie wystarczy na to, aby się nim odznaczyć; potrzeba do tego głębszej znajomości życia i ludzi; trzeba podsłuchać każdego uderzenia ich serca, — podchwycić myśl ich każdą, dopatrzeć cnót i ułomności, — śledzić wszystkie ich postęпки i zestawivszy c z y n y z ich słowami wydać o nich sąd, któryby się potem w ciągu ich historii na każdym kroku usprawiedliwiał zupełnie. Takich znakomitych malarzy serc ludzkich mamy w Korzeniowskim, Zyg. Kaczkowskim, Miłkowskim, (Jeż) Kraszewskim, któryto tak nam niewiastę ubiegłych lat maluje:

1) Styl-to człowiek. Buffon.

„Pobożność, męstwo, dobroć niewyczerpana, powaga enoty, czystość dziecinna, oto—co odznaczało niewiastę naszą do XVIII-go wieku. Nikt o niej po-za domem nie wiedział, lecz wszyscy czcili i błogosławili, ktokolwiek zbliżył się do niej. Nie była to zalotności pełna Francuzka, której życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka więcej w dumaniach niż na ziemi wzrosła; ani sztywna Angielka dla której przyzwoitość droższą jest od samej cnoty. Żywa, choć poważna, łagodna i surowa razem; wielka, bo zawsze pani siebie samej: w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usta była milcząca, choć skąpa w słowa. Życie jej więcej było czynem niż słowem i myślą. Usta się modliły, ręce pracowały, serce kochało w Bogu i Boga. Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznej matrony w kałużę ziemi; nie ją skalać, nie świętego jej spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niej dobrowolnym, miłym spełnianiem obowiązku, czystą ofiarą, nieustannym poświęceniem wśród zapału religijnego, który ją oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia; w szczęściu dziękowała Bogu lekliwie nie dowierzając pomyślności, bo była ziemską a zatem znikomą; w przeciwności rosła, męzniała, obrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do heroizmu. Wówczas walka nie nużąc jej, zdawała się podsycać w niej życie. Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które nie zawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawiennym; pobłażała im, pieściła, usiłując ożłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych nieszczęśliwych i ubogich dobroczynną była nietylko datkiem, nietylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczą i litością serdeczną. To co my zowiemy światem, a co jest wrzawą i zgiełkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nie umieją... nie uśmiechało się jej wcale, nie nęciło, straszło raczej dla siebie i drugich jeżeli pociągało. Przyjemności większej sceny nie były jej nieznaną, ale nigdy serca nie zachwyciły, tak jak sąd świata nigdy jej z drogi nie sprowadził.“

O postaciach retorycznych.

Mówiliśmy już, że użycie postaci retorycznych wypływa z uczuć i wyobraźni człowieka, że zaś i pierwsze i druga są przyrodzonym darem Bożym, przeto postaci owe bynajmniej skutkiem samego wykształcenia nie są, tém pewniiej, że wykształcić można to tylko co jest, a czego tak wiele u ludu prostego, a nawet i u dzikich, widzimy, to jest: uczucia i wyobraźni, o jakich właśnie jest mowa.

Wyobraźnia—jestto siła tworzenia własną myślą tego, co w rzeczy wistości nie istnieje wcale,—i wystawiania sobie rzeczy, których oko nasze nie widziało zupełnie; jestto władza jasnowidzenia duszy i przenoszenia się nią w nieznanne jakieś światy, a zarazem zdolność wysnucia z drobniej rzeczy wątku do wielkich obrazów i do przejmowania się głęboko uczuciem, które serca naszego nie dotknęło bynajmniej. Bez takiej zdolności żaden artysta, żaden pisarz i poeta obejść się nie może; na niej-to opiera się cała poezycja,co w wykształconej i wytwornej formie płynęła z pod pióra wieszczów i pisarzy naszych, a z serca prostego ludu daleko wcześniej żywem się słowem wylała. Bajki o zaklętych królewnach, o szklanjej górze, o sukienkach ze słońca, miesiąca i z samych gwiazd utkanych a w otwierającym się dębje zamkniętych,

o kwitnącej czarodziejskiej paproci, — są najwymowniejszym dowodem takiej wyobraźni wrodzonej. Co zaś do uczucia — to i to również nie wymaga żadnej nauki, bo własnym swoim instynktem natrafia ono na różne przenośnie, porównania i ozdoby, byleby sobie dogodzić. I tak matka-wieśniaczka nazywa dziecinę: *jagódką, kwiateczkiem*; jednej dziewczynie śpiewają, że ma *oczeki jak tarczki, buzię jak śmietana*; drugiej: że *patrzy sokolemi oczkami z pod jaskółczych brewek*, a nikt ich tego nie uczył, wzięte to żywcem z serca wezbranego słodkiem, czyli téż namiętnem uczuciem. Wszystkie te postacie mowne, czyli figury retoryczne mają na celu: albo wzruszenie drugich, albo dobitniejsze wyrażenie im naszych myśli i dzielą się na wypływające: z u c z u c i a i wyobraźni

Postaci mowne płynące z wyobraźni.

Figury retoryczne mające źródło swe w wyobraźni polegają głównie na braniu jednych pojęć i wyrazów za drugie i do takich się liczą wszelkie przenośnie jak: Metafora, Porównanie, Metonimija, Allegoryja, Antyteza, Omówienie, Stopniowanie, Usobienie. (personifikacyja.)

O przenośniach.

Żaden język choćby najbogatszy nie ma takiej obfitości wyrazów, aby każde pojęcie miało swój właściwy i sobie tylko służący i ztąd, jednymże wyrazem oznaczamy rzeczy i wyobrażenia zupełnie różne od sie-

bie dzieląc je tylko na właściwie i niewłaściwie użyte. Niewłaściwości te wypływają także z ruchliwej i bujnej wyobraźni naszej, która chciwie dopatruje związku między światem ducha a światem zewnętrznym i chwytła podobieństwo zachodzące między uczuciami ludzi a własnościami otaczających ich tworów, aby na zasadzie czy-to owego związku, czy-to porównania lub też podobieństwa nadać rzeczom nieżywającym i uczucie i życie, a na odwrót—istotom żyjącym przypisać własności, które są martwych przedmiotów cechami, czyli: przenosić z jednych na drugie właściwe ich znaczenie. Przenośnie takie stósownie do tego, czy są na podobieństwie, na związku, czy na porównaniu oparte, przybierają także różne nazwiska i mają cechy odrębne. I tak:

Przenośnia właściwie tém mianem nazwana, oderwaném zupełnie od rzeczy pojęciem nadaje jój postać zmysłową na zasadzie związku, jaki wyobraźnia nasza dopatruje między istotném rzeczy pojęciem a określającym ją wyobrażeniem i przenosi jój znaczenie w obraz na pozór obcy dla niej zupełnie. np:

„Henryk potrzebował trzech lat na zdobycie jednej Normandy; śmierć Jana bez Trwogi oddała mu całe królestwo w dni kilka. Kiedy w sto lat później król Franciszek I kazał sobie pokazać grób Jana Burgundzkiego w Dijon, oprowadzający go Kartuzyanin wskazując na szeroki otwór w czaszce: „*tu dziurą N. Panie, dodał, udarli się Anglicy do Francyi.*“

Libelt.

Tak Seweryn Goszczyński w prześlicznym swym wierszu: *Pieśń Ś-go Wojciecha*, przenosi znaczenie pieśni na samą Boga—Rodzicę i tak opowiada o niej:

— „W owych to wiekach z żelaza i złota
Stał się cud wielki — cud którego siła
Wyżej od zwycięstw Polaków zaszczyca,
W postaci pieśni cudownie zstąpiła“

Boga—Rodzica—Dziewica.

Zesła—i pyta w narodów rozgwarze:
„Jestże lud godzien słyszeć rajske dźwięki?“
Wtém nadszedł pielgrzym szukający męki
I rzekł: „O Pani! taki lud Ci wskażę.“
Więc za przewodem Świętego Wojciecha
Poszła do Gniezna lekką stopą echa
Siada na wzgórzu i ziemię zachwyca.
Kłękli Polacy... Oni Ją poznali
I wykrzyknęli piersiami ze stali:

Boga—Rodzica—Dziewica!

i t. d.

Przenosiąca taka może się i w pojedynczych wyrazach zawierać, i wtedy na pozór mają one właściwe swoje znaczenie, a w głębi rzeczy odnoszą się do myśli, która w sposób dowcipny, grzeczny, lub złośliwy ukrywa się pod niemi. Tak dając rysopis młodego człowieka, w jednej z swych powieści Gabryela Żmichowska powiada, że: „Pan Dyonizy nie musi „mieć“ swojej głowy, tylko ją „nieśie“ na karku, tak jak według legendy, jego patron niósł swoją pod pachą.“

Porównanie służy do wybitniejszego wydania myśli naszych przedstawiając je w postaci zmysłowej przez porównanie z sobą dwóch pojęć do dwóch odrębnych światów należących. Wszyscy poeci i pisarze, wszyscy mówcy i kaznodzieje co chwila porównań używają, a im te porównania są trafniejsze, im podobieństwo tych pojęć szczęśliwiej jest schwycone, tém mowa ich ozdobniejszą się staje i prędkiej do przekonania dru-

gich trafić może, ukazując im prawdę w świetle tak jaśnym, że prawie plastyczną się ona wydaje. I tak Józef Kremer wykazując wartość starych budowli i murów powiada:

„Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścień z wizerunkiem Najświętszej Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość w grobie zapadła puścizną po sobie zostawia nam budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty familijne każdego narodu, co idąc od pokolenia, do pokolenia stroi one czią, boleścią i tęsknotą swoją.“

Ks. Skarga tłumacząc dziwne rozrządzenia Boże mówi:

„O leśne drzewo nie dba gospodarz, roście jako chce a on też kiedy chce na ogień je wytnie. Ale o drzewo ogrodne i sadowe stara się, aby dobrze rosło, chędoży je, nachyla, obrzezuje, i obcina. Tak Pan Bóg kogo porzuci, dopuści mu swój woli; ale kogo ma za swego, trzyma go, i rządzi i ćwiczy“

Toż samo jest i w poezji; piękno każdego przedmiotu wybitniejszém przez takie porównania się staje, jak na przykład i w tym wyjątku z Lenartowicza: *„Przegrywki“* gdzie mówi tak o piosenkach:

*Powszednie piosnki, to jak chleb powszedny
Co to o niego Pan Bóg każe prosić,
By człek posilon mógł swój krzyżyk nosić.
A jak nie wadzi głosik skowrończany,
A jak nie wadzi oliwa na rany
Jak Boże słonko zdrowiu nie zaszkodzi
Tak i piosenka, co nam będzie słodzi.“*

Również: w *Narzeczonej z Abydos* tłumaczonej przez Odyńca — śliczne jest określenie wartości słów zasłyszana-

nych od ukochanych osób w następujących porównaniach, mówi o nich, że:

„Święte—jak Muezina wołanie z wież Meki
Na które ze czcią pielgrzym przykłęka daleki;
Lube—jak nuta pieśni miła z lat dziecinnych
Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich innych;
Drogie—jak wygnańcowi dźwięk ojczystej mowy,
Będą mi wszystkie twoje słowa i rozmowy!“

Z Narzeczonej z Abydos.

Metafora jest wyrażeniem użytém nie we właściwém ale w przybraném znaczeniu, jakie mu nadajemy ze względu na podobieństwo w dwóch rzeczach lub pojęciach uderzające wyobraźnią naszą tak mocno, iż nie robiąc już między nimi żadnych wyraźnych porównań, od razu bierzemy wyobrażenie umysłowe za zmysłowe lub na odwrót, nazywając: młodość—*wiosną życia*, mały objaw pomysłowości *listkiem nadziei*, osobę ożywiającą dom cały, *duszą rodziny* i tp.—Tak mówiąc o działaniu wyobraźni pięknie ją określa Żmichowska w ten sposób.

„Na co tym slicznym dzieciom wydziierać ich złudzenia?
na co *kamieniem rozsądku* przyciskać *żywe źródło bijącej w górę fantazyi*?
lepiej niech *jój wody kryształowe* swobodnie na wierzch się wydobywają,
niech *uschłą glebę życia* orzeźwią i rozzielenią.“

A Bogdan Zaleski o pieśniach ludowych powiada:

„Pieśni ludu—*jedwabniki*,
Przędza na wiatr, *lśniąca*, *lekka*,
Któż *jój* doda *świetnej krasy*,
Umaluje *złotem* *przędka*?“

Zaleski

Skarga — cios zadany fizycznie — porównawszy z ciosem moralnym mówi:

„Miecz widomy, raz serca i najmniej dotknąwszy, koniec boleści czyni. Ale *miecz boleści serdecznej* wiele w sobie ma śmierci.“

Gdyby wyrażenia te były obrócone w taki sposób, że: na co rozsądkiem *jak kamieniem* przyciskać fantazyją, *jak żywe źródło* bijącą w górę i t. d. nazywałyby się: *porównaniem*, a nie *metaforą*, i zestawienie tych dwóch postaci z sobą mamy w następującym przykładzie:

„Pamięci! o tyś *cicha jak potoku wody*,
Gdy się w tobie odbije jasny kwiat pogody.
Pamięci! a w nieszczęściu toś ty *sępią szponą*.
Głęboko ostrza wpuszczasz i rozdzierasz łono.“

Ujejski.

Allegoryja jest przenośnią zamkniętą nie już w pojedynczych wyrazach lub zdaniach, ale w całej mowie, w której prawda od początku do końca wystawioną jest pod lekką osłoną słów, dających obrazek figurą tylko tej prawdy będący.

Allegoryją są wszystkie bajki przyznające zwierzętom i rzeczom wady i przymioty ludzkie i wszystkie przypowieści, w których prawda moralna, choć pod przybraną postacią jest już wyraźniejszą, bo tu mówią i działają ludzie, tylko że umysłowe pojęcia przedstawiają się w obrazku zmysłowym dla silniejszego oddziaływania na serce i łatwiejszego przekonania umysłu. Takich allegorycznych przypowieści pełno jest w Piśmie świętym, gdzie ziarno rzucone na rozmaitą rolę, wyobraża słowo Chrystusowej nauki padające na rozmaitego usposobienia serca słuchających go ludzi; Syn marnotrawny—żałujących grzeszników;—Pasterz szukający zbłąkaną owieczki—Pana Jezusa ukazującego

zbląkanym duszom ich drogę i t. d. a sławni nasi kaznodzieje i mówcy, prawdy najwyższego znaczenia również pod taką postacią wypowiadać zwykli. np:

„Gdy okręt tonie a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma i on ze wszystkiém co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątnością, które ma na okręcie pogardzi, a z innemi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy, dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.“

Ks. Skarga.

Taką allegoryją jest także następująca: *Przypowieść* o ojcu, dziecku i gościu wyobrażających: Boga, człowieka, i świat.

Było u ojca dorodne pachole
Posłuszne, karne i w domu i w szkole
Zgoła, że rośło pod pieczę ojcowską
Na korzyść ludzką, a na chwałę Boską.
Aż nagle dziecię zaczyna się psować
Ojca nie słuchać, szkoły nie pilnować;
Zamiast być młodszym swym braciom przykładem
Już ich do złego wiedzie własnym śladem.
Więc zrazu ojciec łagodnie poczyna:
Do serca mówi, matkę przypomina;
Niestety! próżno! nie pomogły prośby,
Więc pełen bólu przechodzi do gróźby;
Więc jako niegdyś hebrajscy poeci,
Jak nasz Pawężki, lub wielki Jan trzeci,
Zagraża karą, dniem płaczu i smutku,
Ale tak samo, jak oni, bez skutku.
Ha! więc przyjść musi chwila odwlekana.
Toż choć ból wielki serce mu zakrwawia,
Hardemu dziecku gnie ojciec kolana,
Do klęczków *z*musza i tak go zostawia,
Póki łza żału nie wypłynie z duszy,

Póki nieszczęsny upór się nie skruszy,
Któż skreślić zdoła tę ojcowską ranę
Gdy chłostać musi dziecko ukochane!
W pobliskiej izbie zaczął niby pracę,
Ale przy synu został całym duchem.
Praca nie idzie, bo serce kołace
I jak zbawienia, z wyciężonym słuchem
Westchnienia czeka, które ma oznaczyć,
Że już go może podnieść i przebaczyć.
Wtém—jakis dziwny odgłos go dochodzi,
Więc wraca, patrzy, a to gość dobrodziej
Nad stanem dziecka tak czule się żali,
Tak je pociesza i tuli i chwali:
Jak ono miłe i dobre i grzeczne;
Z czego następstwo wypływa konieczne:
Że gdy syn cierpi niesłusznie, pocziwy,
Więc ojciec srogi i niesprawiedliwy.
To téż synkowi piosnka się podoba,
I tak się w sobie zakochali oba,
Tak się złączyli w piosence i nucie,
Że już i myśli niéma o pokucie.
Bo za cóż cierpieć, za co pokutować.
Gdy dziecię takie, że tylko całować.

Karol Baliński.

Metonimija jestto rodzaj przenośni, polegającej nie na podobieństwie ale na związku jaki między wyobrażeniami zachodzi. Używa się jój dla skracania i ożywienia mowy, bo postać ta pozwala wyrzucać wyrazy i określenia, których łatwo domyślić się można, i jeden wyraz zamieniać na drugi, gdy ten, który jest tylko w związku z pojęciem rzeczy głównej, w piękniejszy sposób odda myśl anizeli ten, któryby właściwie pojęcie to malował. I tak:

1) Bierze: *autora za jego dzieła* np.:

Nie dość jest *przeczytać Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego*, ale trzeba ich *umieć pojmwować*.

2) Rzecz zawierającą za rzecz zawartą. np:

„*Baw się wesole miasto bez końca, bez miary; Ja nie po to przyszedłem, by dzielić twe gwary.*“ Syrokomla (zamiast: *ludzie w mieście*) „*Cała pomni okolica, co tu zbroił nieboszczyk.*“ Mick.!(*ludzie w okolicy*)

3) Skutek za przyczynę. np:

To cały zarobek nieszczęsnej sieroty
Ten wianek, co moja dłoń splecie.
*To dach mój nad głową, co chroni od słoty,
To chléb mój, to suknia na grzbiecie.*“

(zamiast—że z przyczyny tego wianka będzie zarobek, za który kupi chleba i suknię.)

4) Przyczynę za skutek np:

Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru“

Mick.

(zamiast—że w skutek zabicia niedźwiedzia, klasztor przez dwa lata będzie zaopatrzony w pożywienie.)

5) Znak za rzecz umówioną. np:

„Nie tyle grozą jak raczej dozorem
Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem“

Pol.

(zamiast żołnierze pod tą chorągwią służący)

6) Część ciała za uczucie np:

„Oh! gdyby to zawsze chętną rękę z mądrą głową, *tkliwie serce* z geniuszem łączyć“

Żmichowska.

O siostrzyczko mała!
Od ukochanych nie żądaj, by dali
Równy *dział serca* i tak cię kochali
Jakoś ich ty ukochała.“

Żmichowska.

(zamiast: *dobroczynność z rozumem; tkliwość z genijuszem i równe uczucie*)

Wszystkom *do piersi* cisnął kolejną
O wszystkim *krwawém sercem* zawadził,
Lecz *dłoń zdradziła, usta zdradziły*
Ah! tylko kamień nie zdradził.“

Żmichowska.

Antyteza zasadza się nie już na podobieństwie lub związku ale na zupełnej sprzeczności, jaka zachodzi w pojęciu dwóch wyrazów albo też wyrazów, które zestawione z sobą odbijają od siebie jak jaskrawe od szarych kolorów i silnie działają na umysł, gdy pięknie są dobrane i umiejętnie użyte.—Postać ta najrzadszą jest ze wszystkich i w mowie i w piśmie, choćby najwytworniejszemu nawet, bo wtedy tylko stosowna, gdy wypływa nie z wyrachowanej chęci ozdobienia mowy, ale z żywo poruszonej wyobraźni, albo naturalnego uczucia, które w uniesieniu wylewając się w słowach, przechodzi od jednej ostateczności do drugiej, aby te dwie ostateczności, w dwóch sprzecznych zestawione wyrazach, były rzetelnym tego uczucia—albo wrażenia obrazem. I tak Kraszewski w głębokim zrozumieniu boleści moralnej powiada:

„Nie jestże to *szczęście* być tak *nieszczęśliwą* i wypić *kielich żłwota cały w jednej kropelce trucizny?*“

Zyg. Krasiński myśląc o sercu nie chcąc i nie umiając się zniżyć do nienawiści i dumy, uczucie czysto ludzkie zestawia ze świętym i mówi, że:

„Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo, lecz z *przebaczenia anielską pogardą.*“

Stefan Giller—wyobraźnią swoją przenikając ducha i znaczenie naszych pieśni ludowych w ten sposób je określił:

„Jakżeś ty piękna, a jak tajemnicza!
Poważne lice krasi blask uśmiechu;
Rosa, twym oczom swych kropli użycza,
A wiosna swego oddechu!
Głowę, kwiat polny wianeczkiem okrywa,
Serce ci płonie, jak iskra żarząca;
I czasem *milcząc* jesteś *gadatliwa*
A czasem *mówiąc*, *milcząca*.“

W znanj pieśni Fr. Karpińskiego na Boże narodezenie ułożonej, cała pierwsza strofka złożona z zestawienia sprzeczności, uderzających nie już w wyrazach, ale w samych pojęciach, jest jedną—najwspanialszą antytezą, bo zebrane w całość takie ostateczne wyobrażenia jak:

„Bóg się rodzi,—moc truchleje
Pan Niebiosów—obnażony;
Ogień krzepnie—blask ciemnieje
Ma granice—Nieskończony.
Wzgardzony—okryty chwałą
Śmiertelny—Król nad wiekami i t. d.

robią tę pieśń prawdziwie namaszczoneą głębokięm pojęciem wielkiej Tajemnicy, jaką w niej opiewają.

Omówienie używane jest w starannj i poetycznej mowie zawsze, gdy wyraz zastosowany właściwie do rzeczy, o której mówić albo pisać mamy, raziłby gminnością, i gdy powtarzanie jednego i tego samego zrobiłoby mowę nieharmonijną i nieprzyjemną dla ucha; wtedy-to omawiamy czyli obchodzimy ten wyraz, przez co wysłowienie staje się wytworniejsze, szlachetniejsze i ozdobniejsze o wiele. Tak np: Brodziński mając dwa razy powtórzyć powszedni wyraz: *rok* tak ślicznie go omówił:

„Miałam ja drugą, litościwy Boże!
Oko się za nią napłakać nie może.
Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki zatruwa jój strata.“

Syrokomla—unikając wymienienia nazwiska Wilna, Mickiewicza i swojego ja, coby zupełnie pospolitém było, witając miasto woła:

„Stary grodzie Jagielly, z twego zamku szczęty!
Ostrobramska Maryjo! Kazimierzu święty!
Wam się litewski pielgrzym z nabożeństwem kłania.“

a potém pyta się w uniesieniu:

„Gdzie jesteś wielki Duchu kowieńskiej doliny
Coś nam serca rozpałał, piejąc stare czyny?“

Przybywszy do Częstochowy odzywa się znowu o Matce Boskiej, Kordeckim i Kazimierzu Pułaskim.

„Kto ramię Kordeckiego do potęgi budzi,
Co dwanaście tysięcy zgromił w trzysta ludzi?
Ty Pani z Jasnój góry!

Święty, rycerski mnichu! o dawni królowie
I ty święty szlachcicu jak cię Marek zowie!
Sławiliście Maryją czynami, modłami,
Wyście teraz Jój bliżsi— módlcie się za nami!“

Stopniowanie jest umiejętném ułożeniem—czyli uporządkowaniem kilku wyobrażeń, odnoszących się do jednego pojęcia, w ten sposób, aby one po sobie następowały kolejną ważności malujących je wyrazów, idąc od najsłabszego do najmocniejszego wyobrażenia, albo téż na odwrót, bo wtedy tworząc jakoby cień jednej jakiejś

myśli, w całej świetności wykazujemy jej piękno i żywiej przemawiamy do wyobraźni drugich.

Tak jeden z kaznodziejów w swjej mowie pogrzebowej stopniował na obydwu sposoby pojęcie poniesionej straty w śmierci zacnego człowieka, i raz od najważniejszego, drugi raz od najslabszego wyobrażenia okresy swoje zaczynając, jednym wyrazem — znaczenie następującego podnosił, np.

*Gwiazda po gwiazdzie zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc i spoglądając na te ruiny i straty, czyż nie możemy razem z strwożonymi uczniami Chrystusa Pana z serca przejętego żalem i trwogą zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. Karola Marcinkowskiego, która nam tyle innych przypomina: Panie zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił! Tak — ma się nam ku wieczorowi; bo *chmura na chmurę zaciąga, grom po gromie uderza i światło po światle gaśnie*; wszystkim nam się dzień pochylił, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce, co się nad nią litowało — już garść ziemi rzuciła.“*

W *Mogiłach Kraszewskiego* — takiego stopniowania piękny także jest przykład:

„Szmer głosu anioła lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony; inaczéj teraz spoglądałem na ziemię; z za łez, które starł dłonią białą, wzrok mój oschły, głębiej coraz *sięgał* w ziemię, *widział* jasnie i *przenikał* nietylko pod miejsca zakryte, ale w najzamkniętsze piersi tajniki...“

Inne są sądy Boże, a inne wyroki wasze; to co wam pożądanem się zdaje, tam grzechem jest może; co tu niewidzialne, tam wielkie i święte, a im *ciszéj się cierpi*, im *więcéj boleść ukrywa*, im *więcéj tai z ofiarą*, tém świetniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce.“

Uosobienie czyli personifikacyja wypływa z wspomnianéj już chęci do upatrywania życia we wszystkim

co nas otacza; do mówienia o martwych nawet rzeczach i umysłowych pojęciach jakoby o myślących i czujących istotach; do przyznawania im własności i siły działania, jakimi odznaczają się ludzie. Ztąd także jestto jedna z najzwyczajniejszych, bezwiednie używanych figur retorycznych, bo mówimy zwykle, że: *burza szaleje, gromy biją, strach ma duże oczy, nadzieja się uśmiecha, światło w oczy uderza, noc zaskoczyła* i t. d. W poezyi, opisach i opowiadaniach ustnych taki sposób mówienia, nietylko wiele żywości, ale i wiele obrazowości i mocy wyrażeniu się naszemu nadaje, np.

„W zamek ten padła trwoga z najeżonym włosem, z niespokojnym snem, z proroczymi widmami, i rozlega się w komnatach niewieścich wśród ciszy północnej przerażającym krzykiem“

Z pism L. Siemińskiego.

W. Pol ślicznie tej postaci użył, w tym ustępie z *Mohorta*.

„Kiedy to mówił zwolna sobie kroczył
I wstąpił ze mną na okop wspaniały,
A ztąd do razu—*kraj się rozkrył cały:*
Dniepr u przepaści wstęgę swą roztoczył,
A jak najdalej sięgło tylko oko
Świat się rozłożył za *Dnieprem* szeroko.
A na wzdłuż rzeki pomiędzy skałami
Mgła się poranna zwiwała kłębami.
I w téjże chwili pierwszy *blask promienny*
Ocknięte stopy z ukosa *zadrasnął,*
I świat się budził, ale *Dniepr był senny*
I spać się zdawał—jak pod mgłami *zasnął.*“

Kraszewski mówiąc o *teŝkniczy* wyraził się że:

„Ponad sercami *latała* nietoperzowemi skrzydły, *zaglądała* w nie, *siadała, ssąc* z nich odrobinę młodości.“

A dalej:

„*Tęsknica karmi się* wszystkiem, co *spotka...* tak jest *zголо-dniała i spragniona....* *ogryza* suchą korę, *pożera* liście opadłe, którychby już nikt nie tknął.“

T. Padalica—malując gwałtowność z jaką morską fala w czasie burzy się toczy, przypisuje jój i życie i uczucie, gdy tak o niej mówi:

„W płynieniu łodzią po rozhukaném morzu jest coś tak majestatycznie straszego i pięknego razem, że się to wrażenie u nas, dzieci ładu, nie zapomina nigdy: Ten *wał* dziewiąty, jakże wspaniale jeży swój kark, jak go polewa pianą złości i napada na cie!... W téj sile musi być coś żywego, co ma duszę i oczy tyle tam jest życia i gniewu. Wyraźnie piętrzy się, żeby coś zoczył;—obaczył cię i goni... Zdaje się, połknie łódź całą, zdaje się, rozbije ją swą potężną piersią i widzisz nagle—jak podrzucił ją tylko, zawarczał ze złości, że chybił w uderzeniu i rozlany szeroko poszedł skonać na brzegu!“

Postacie wyływające z uczucia.

Postacie mowy używane dla wzruszenia drugich i rozbudzenia w nich uczucia jakim piszący jest przejęty są: Zapytanie, Powtórzenie, Hyperbola, Apostrofa, Ironija, Błaganie, Przekleństwo, Opuszczenie, Przemilczenie, Prozopopeja.

Zapytanie. Postaci téj używamy w silném poruszeniu duszy, gdy rzecz dobrze nam znaną wyrażamy w formie pytania, w którym ukrywając wyrzut, twierdzenie, lub usprawiedliwienie większe czynimy wrażenie na sercu i umyśle drugich, wymagając od nich odpowiedzi potwierdzającej prawdę, głęboko przez nas pojętą. Tak w księgach prorocत्व—Bóg z rzewną wymów-

ką pyta się ludu Izraelskiego: „Ludu mój! cóżem ci zrobił lub w czemżem ciebie zmartwił? odpowiedz mi! Cóżem więcj miał uczynić tobie, a nie uczyniłem?“ Lenartowicz—zamiast przekonanie swoje w stanowczy i twierdzący sposób wypowiedzieć rzuca je w formie pytania i mówi:

„Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili...
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka co w krzakach gdzieś kwili?
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce poczciwe gorętsze?
Co bardziej jest smutne nad młodość straconą?
Nad pracę i miłość co świętsze?“

W *Felicycie* Odyńca, Kwintus w zapale swego przekonania się pyta:

„Mnież-to ma trwożyć ich groźba lub kara
Gdy celem moim, jest tylko ofiara?
Mnież-to ma wstrzymać wzgląd, że może inni
Boją się czynić, co czynić powinni?
Maż cudza słabość być méj siły miarą,
Lub duch mój stygnąć czyjaś zimną wiarą?“

Woronicz zaś, żegnając zwłoki uwielbianego wodza, również używa pytania, aby tém żywiéj dać uczuć cały ogrom bolesnéj jego straty.

„Wzywam was tu, stanciel! otoczcie ten śmiertelnością tlejący majestat wodza waszego. I także owa wasza szeroko-brzmienna sława dogorywa? Kto wasze nieocenione czyny oceni? Kto je nagrodzi? czy te słowa na papierze z wiatrem

ulotne? czy te chrapliwe jęki dzwonów i spiży w powietrzu ni-
knące? czy ta świetna okazałość powszechnym szacunkiem i za-
łobą roziskrzona, której pojutrze śladu nie będzie? czy te
wreszcie marmury i kolosy, na których modrzewy i jodły bę-
dą w czasie zarastać? Któż opłaci tyloletnie wasze znoje i po-
niewierki? ten wiek odkwitnionej młodości marnie strany?
te blizny i kalectwa nieuleczone? te członki morderczym cio-
sem odjęte? Kto pocieszy te wdowy i piskłeta po was osiero-
cone? Kto rozsądzi i wyświeci rzetelne zasługi zapomniane,
a lada nikczemnikowi podstępnie przyznane i usświetnione?
Kto te drogie imiona z odmetu niepamięci wytrząśnie? Jestżeż
który mocarz świata całego tak potężny, bogaty, mądry, spra-
wiedliwy, aby temu wszystkiemu podołał, aby was każdego
w szczególności uczcił, udarował, uwiecznił? O bracia! ja-
kimże łez strumieniem opłakaćby was należało, gdybyście
tylko śmiertelnikami byli!!“

Powtórzenie wypływa z chęci przekonania drugich
o tém,—o czém piszący sam mocno jest przekonany, lub
z silnego bardzo uczucia, które zdaje się mimo swój wie-
dzy wracać się ciągle do głównego swego przedmiotu.
Wtedy-to wypowiadając kolejno przekonania swoje,
po każdym z osobna — powraca on do tego pojęcia, do któ-
rego odnoszą się wszystkie, i powtarzaniem takim, do-
bitniej siłę uczucia,—i jaśniej obraz myśli swoich maluje.
I tak w jednej z swoich mów pogrzebowych kazno-
dzieja¹⁾ przechodząc myślą wszystko, co jest złém i na-
ganném na świecie, ciągle powtarza wyrazy, któremi to
złe potępia, aby wydać cały swój wstręt do tegoż.

„O gdybym mógł w téj chwili wydobyć z zimnego już ser-
ca twego choć jedną iskrę téj prawdziwej i pełnej czynu miłości,
gdybym mógł tym ogniem słowa moje zapalić i ciskać niemi
w serca wasze, *palilibym* i *niszczyłbym* najpierw te pęta i oko-

1) Ks. Janiszewski.

wy pychy i próżności, często nawet dziecinnęj, któremi znaczna część serc skępowana; *palilibym* i *niszczylbym* te drobiazgowe względy i uprzedzenia ludzkie, które chcą być pierwój odważone na szali zasług nim przystąpią do czynu; *palilibym* i *niszczylbym* te języki uzbrojone jadem i te sądy na wskroś żółcią przesiąknięte, które lubią kalać to, co jest bez skazy; *palilibym* i *niszczylbym* tę złość szatańską, co zrywa najświętsze węzły braterstwa; *palilibym* i *niszczylbym* tę pajęczynę hałasu i wrzasku o poświęcenie dla dobra ogółu, gdzie gardło pełne krzyku, a ręce próżne dobrych uczynków.“

Ślicznym i wymownym przykładem powtarzania wyrazów z silnego uczucia płynących jest wyjątek z Glossy Ś-tėj Teressy, która w uniesieniu duszy woła do ukrzyżowanego Jezusa:

„Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy
 Że *Ciebie kocham* za przyszłe nagrody,
 Za obiecane w królestwie Twém gody,
 Za palmy, — harfy, — i cuda — i dziwy,
 Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę
 Którąbys spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!
 Że przeboleś to wszystko, — co boli!
 Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg przez katów prowadzon do krzyża.
Ja Ciebie kocham, że Cię o tėj chwili
 Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony
 Wołać do Ojca: „O jam opuszczony!“
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
 I za śmierć więcej niż za Zmartwychwstanie.“

Zyg. Krasiński

Wincenty Pol — pojedynczym, wciąż powtarzanym wyrazem przekonywa dobitniej o prawdzie słów swoich, niżby był tego dokazał, — coraz to innym go zastępując w tym ślicznym z *Rybki* wyjątku:

„Biedni wy ludzie! że wy też nie wiecie
Co to być *małym*; gdybyś ty był rybką
Taką swobodną i lekką i szybką,
I taką *małą* jako ja na świecie,
Jakby ci dobrze było w słońcu chodzić!
Boć to tak *małej* niema nawet wędki,
Nietylko wędki, ale nawet chętki
Niema tak *małej*, aby na mnie godzić!
Więc to co *małe*, to bywa i całe
I niby święte i zdrowe i hoże,
Czyste, swobodne i żywe i Boże,
I rade sobie, i rade drugiemu,
I nie zawadza cudzemu ni swemu,
Boć rade temu, co mu padło w dziele,
A silne liczbą, boć to tego wiele,
A między *małym* bywa sojusz wierny
To i Bóg temu bywa miłosierny.
I mrówka *mała* a cały świat schodzi;
I pszczółka *mała*—a życie nam słodzi;
I ziarnko zboża *małe*—a świat żywi;
I piasek *mały*—a skała cię dziwi;
I perły *małe*—a jakie to cenne;
I kropla *mała*—a co wody w stoku;
A z wód niewielkich, to morze bezdenne.
Mała źrenica—a cały świat w oku.
Alboż i gwiazda—a światło jój czyste,
I jakież piękne to niebo gwiazdziste!”

Opuszczenie—tak samo jak powtórzenie ma na celu wyrażenie z całą dobitnością—myśli, żywo nas przejmującej, ale jest sztuczniejszą od powtórzenia postacią, bo dążąc do głównego punktu przekonania swego mówca zapowiada: że wszystkie inne okoliczności pomija, a tym czasem niby je opuszczając — jedno po drugich umysłowi czytelnika, czy słuchacza przedstawia, aby przedmiot swój wyczerpać zupełnie i z każdej dotknąć go strony—np.

„Religija onych czasów tak wkorzenioną była we wszystkie serca i uczucie, że *nie mówię* już, wszystkie czyny zaczynały się w Imię Boga w Trójcy świętej jedyne, a kończyły się słowem biblijnym: Amen; *nie mówię*, że wymówione głośno Imię Chrystusa Pana, albo Matki najświętszej najzaciętsze bitywy uspakajało; *nie mówię*, że i najburzliwsze passyje uspokojenie się swoje wpływowi wiary świętej miały do zawdzięczenia, ale nawet umysły szalone i obłąkane dawnymi czasy kończyły zwyczajnie na tém, że się przerzucały w melancholiją nabożeństwa i religijności.“

Zyg. Kaczkowski.

Przemilczenie jest jeszcze jednym sposobem wydatnienia swych myśli, przez całkowite urwanie mowy w chwili, gdy wypowiedzieć je mamy. W gwałtowném uniesieniu, — trudno jest człowiekowi znaleźć wyraz odpowiedni swemu uczuciu i wtedy wypowiada je wymowniej milczeniem, niżli wieloma słowami.

Idąc za wzorem tego naturalnego uczucia, mówca czy pisarz — takiej postaci przemilczenia używa wtedy, gdy czytelnikowi czy słuchaczowi chce dać pole do domysłów szerzej zakreszonych, niżby się w jedném wypowiedzianém zdaniu zamknąć one dały, zawsze jednak źródło téj postaci — tylko z głęboko poruszonego uczucia wyprowadzać powinien.

Tak Szajnocha — na odmalowanie zgrozy krzyżaka przerażonego mniemaném okrucieństwem Polaków zrywa wątek jego myśli w ten sposób:

„Krzyżak ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skóry obdzięra i w kościele jako pobożne zawiesza *wotum*. Miłe odkrycie zjechawszy na wesele! Nuż, który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności!... Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby..... Strach zdjął Krzyżaka.“

I. N. Jaśkowski w swój elegii nad mową ojczystą w nadmiarze uczucia takim też przemilczeniem główną swą myśl pokrywa:

„Bo widzicie i nasi bładzili przodkowie,
Byli nadto szlachetni, żyli za pocziwie,
A ścigając Rzymiany w radzie, w boju, w mowie,
Zapomnieli, że kwiaty wędną na ich niwie.
Lecz czasy były inne—czas zmazuje winy,
Dla nich grody złociste rozwierały bramy.....
Oni kordem pisali bohaterskie czyny,
Oni byli Rzymianie, a my...a my.... a my...

Tak *Konrad* Mickiewicza rozmarzony wspomnieniem ubiegłej przeszłości urywa nagle wołanie swoje o piosnkę:

„Starcel! graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie... O było czas błogi,
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże starcel! bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie..... Starzec musiał wrócić.“

Apostrofa—jestto zwrócenie mowy do osób obecnych czy nieobecnych a nawet i do rzeczy martwych, i we wszystkich pismach z uczucia płynących i do uczucia drugich skierowanych,—w mowach sejmowych i pogrzebowych, niezmiernie wiele mocy i żywości wysłowieniu całemu nadaje. Tak *Woronicz* zwraca się w modlitwie do Boga i mówi

„Boże Ojców naszych! Boże *Patryarchów* szerokowładnego w świecie rodu sławiańskiego! *Pojrzyj* łaskawie na te milionowe roiska walecznych ludów i daj im uczuć wysokie w Twoich wyrokach przeznaczenie, które od ich wzajemnej zgody, szacunku, przyjaźni i miłości braterskiej zawisło.“

A ksiądz *Skarga* wspomniawszy na żyjącego przed wieki *Zorobabela*, jakoby do obecnego tak mówi:

„O błogosławiony miłośniku bracięj twojéj! Nie ruszyło cię ono złoto i dobre mienie, i cześć ona—po królu wtórym być i świat rządzić i u ludzi tak wielką sławę mieć; wszystko to porzucił i podeptał, abys ojczyźnie i braci swéj rzeczpospolitéj służył. Wolałeś sam poniżonym być, aby ona głowę podniosła; wolałeś zostawać ubogim, aby ona zbogaciała. Darowałeś matce swéj wszystkie pociechy swoje; wylałeś na nią wszystko szczęście swoje, w jéj dobrém i powstaniu i romnożeniu wszystkie dobra swe zamykając!“

W poezyi piękny także zwrot myślom nadaje taka apostrofa, jakiej przykładem może być następujący wjątek z wiersza *Do sosny*:

„Mieszkanko bóru, uboga sosno!
Zkąd twe konary tak dzielnie rosna,
Że śmiesz unosić w obszar nieścisgły
Czoło, ostremi zjeżone igły?
Powiedz, co tobie miłość mą jedna?
To—żeś bezbarwna, żeś taka biedna,
A przecież w górę spoglądasz śmiało,
Jak ubogiemu patrzeć przystało.
Zielona sosno! za toś mi droga,
Że pierś twa nie wie co znój, co trwoga;
Gdy wiatr pogwizdem zamieć ci wróży,
Wytrwale czoło nadstawiasz burzy.
Choć biedna, w szaréj odziana korze
Rychléj grom jednak pierś twą rozporze
Niż twe ku ziemi nagnie ramiona
Zielona sosno, siostró rodzona!...“

Hyperbola jestto przesadnia której używamy wtedy, gdy w poruszeniu jakiego gwałtownego uczucia, granice prawdy przechodzimy. Człowiek w chwili uniesienia żywiéj wszystko czuje i jakby przez powiększające szkło patrzy się na to, co go dotyka, a wtedy stósując swe wyrażenia do wrażén, mija się z praw-

dą, ale daje wierny obraz usposobienia swojego. I tak gdy matka mówi, że: „*we łzach skąpaćby dziecko swoje mogła*“ niema zapewne w tych słowach prawdy rzeczywiście, ale jest prawda jej uczucia; w twierdzeniu że: *w jednej chwili wieki przeżyć można*, jest także przesadnia co do czasu, ale maluje się w niej cała siła wrażenia, jakie ją wywołało; w codziennym życiu często używamy tej postaci nie myśląc o tém bynajmniej, bo idąc tylko za swym wrażeniem mówimy: *zbladła jak śmierć; upadła jak bomba; piorunem ta wieść przybyła. idzie złotwim krokiem* i t. d. Poeci—powieściopisarze, często używają hyperboli płynącej z ich żywej wyobraźni, i może ona być piękną ich pisma ozdobą,— ale zawsze najwłaściwszą i najpiękniejszą jest wtedy, gdy źródłem jej jest uczucie. Woronicz w jednej ze swych mów pogrzebowych powiada: że „*zaleknione wiry Elstery przyjmując ze drżeniem pluszczące ranami zwłoki, ponurym szumem i jękiem odmgęły Oceanu przestraszyły*“ a w innej wspomina „*wielkoludów, którzy temi Karpatami za brzegi morzów ciskali*.“ Obie te przesadnie wypowiedziane w żywym uniesieniu zupełnie inaczej się wydają jak taka, w której ani prawdy, ani uczucia nie widać jak np. w tém wykrzyknieniu z powodu sukni ognistego koloru ¹⁾ „*Baronowo! chcesz miasto podpalić? te oczy i ta suknia, to pleonazm*.“

Śliczny przykład hyperboli z uczucia płynącej dał także W. Pol w następującym ustępie z opowiadania Mohorta:

„Nie wiem gdzie biegłem i dokąd ją niosłem
Ale nad dachy i dęby urosłem

1) Komedya: Niewinne zaloty.

*I jakaś siła od ziemi mnie niosła
I trumna w rękach ku niebu mi rosła.*“

Ironija powszechnie za złośliwość uważana i rzeczywiście ostrą i dotkliwą wymówkę ukrywająca często, częściej daleko pod postacią: żartu, pochwały, lub przygany ze wsteczną myślą użytych, jest tylko grzecznym wypowiedzeniem prawdy—i dowcipem zastępuje nieraz niedelikatność obrażających wymówek, sprzeczek, krytyk i t. d.

Ironija jako żart najwybitniejszą jest we wszystkich satyrach Krasickiego, z których śmiać się musieli nawet dotknięci niemi, jak: w *Pijaństwie*, w *Modnej żonie* i innych.

Ironija występująca jako przygana rzeczom dobrym, zacnym, lub jako pochwała dla nieuczciwych lub śmiesznych, ma na celu osoby trzecie, a nie te, o których zdaje się mówić. np. jako pochwała:

Towarzystwa przykładzie pracowite pszczoły,
Wpóśród waszych zabiegów i skrzętnej mazoły,
Któraż, chociaż ma porę dokazania snadnie,
Miód z pracą od sąsiadki zbierany ukradnie?
Nasz to tylko przywilój—więc bądźmy nim dumni
Zwierzęta złe i głupie;—my dobrzy, rozumni.

Krasicki.

Cobyś Wasza Ks. Mość rzekł, gdybym mu powiedział, że na sejmach nawet wierszami gadają? Jeżeli Opatrzność Boska nad polskim ludem zmiłować się nie raczy, proza—nawet z potocznej mowy wypędzona będzie. *To jednak przyznać trzeba, że poeci nasi w nagrodę tego, prawie wszyscy wiersze prozą piszą.*“

Węgierski do Krasickiego.

Jako przygana:

„Są inne dusze—głupcy! waryjaty!
Co wolą słomę domowej chaty;
Co wśród pomarańcz i ananasów,
Co wśród palm, pragną sosnowych lasów;
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź-tu z grubą duszą Litwina,
Co swęj dzikości nie zapomina..
Co swą lepiankę, swych borów liście,
Kocha ogniście, kocha wieczyście;
Który rwąc z drzewa pomarańcz złoty
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty.
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką tęskni—kochanek,
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach złocone szczyty,
On wolał domek słomą pokryty.
Nieuleczony, dziwny szalenie!..
On w kraju pszennym śnił żyta wieniec!“

Syrokomla.

Ironija złośliwa już nietylko z dowcipu, ale z bardzo gorzkiego uczucia wypływa, z jakim J. N. Kamiński w balladzie *Bajazzo* mszcząc się za lekkomyślność ludzi, wśród śmiechu których umiera człowiek z bólesci serdecznej powiada, że nad jego trupem:

„Noc razem ze świerszczem głuchą pieśń śpiewała,
Publiki nie było,—a malpa się śmiała.“

Jest nakoniec jeszcze jeden rodzaj ironii bolesną nazwanej, która jest wyrazem najwyższej, niemającej już łez, więc przerzucającej się w śmiech—bolesci, albo téż jest dumą i odwagą nieszczęścia, które szyder-

stwem z siebie zasłania się przed litością ludzi i tém smutniejsze robi na drugich wrażenie. np. w piosence:

Co mam nie być wesoły?
Mym majątkiem dwa doły,
A w tych dołach złożona,
Z małym dzieckiem ma żona.
Oj ta dana, ta dana,
Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły?
Spaliły się stodoły,
Grad mi zboże wymłócił,
Nie będę się już trudził,
Oj ta dana, ta dana
Doloż moja kochana! i t. d.

Przekleństwo służy do wypowiedzenia gwałtownych i namiętnych uczuć, które w uniesieniu,—lub w oburzeniu szlachetném, w tej formie się wylewając z nadzwyczajną mocą je malują i silnie na umysł i duszę działają przejmując ją przerażeniem i zgrozą. — W poemacie S. Pruszkowój: *Dwie Gwiazdy*, w tłumaczeniach Odyńca: *Czciociele ognia* z Moora—i *Dziewicy Jeziora* z Walterskotta są piękne tej postaci przykłady, z których najwymowniejszym, jest następujący:

„Hańba i biada z ojca na syna,
Kto krzyż ten widzi, a zapomina
Że rósł na grobach klanu Alpina,
Gdzie dawnych wodzów jego rodzina
Spi w cieniu drzew tych opieki.
Niech zdrajca w nędzy wlokąc swe lata,
Nicoplakany schodzi ze świata!
Prochami jego wiatr niech pomiata!
Przekleństwo ojca, syna i brata
Niechaj go ściga na wieki!

Gdy krzyż ten zacznie krążyć po klanie
Przekłeta noga, co z nim ustanie!
Przekłeta ręka, co go odrzuci!
Przekłete oko, co się odwróci,

I serce co się przeleknie!

Niech nieuczczone ziemskim pogrzebem,
Czerw zwłoki zdrajcy toczy pod niebem!

Sęp niech mu serce, kruk oczy wyje,

Jako ta ziemia stosu krew pije

Krew jego w ziemię niech wsięknie!

Jako ta wo krwi iskra błyszcząca

W nocy bez słońca, w mękach bez końca

Niech zgasną zdrajcy powieki!

Niech ten krzyż godło ludzkiej pociechy,

Co wszystkie ludzkie odkupił grzechy

Jego potępi na wieki!“

Dziewica Jeziora.

Błaganie zazwyczaj jest prośbą o upragnione rzeczy, — ale jako postać mowy, może być ślicznym wypowiedzeniem życzeń albo marzeń, choćby do ziszczenia niepodobnych wcale, ale z głęboko wzruszonego serca się rwących. I tak Zyg. Krasiński nieokreślonej tęsknocie swjej duszy daje formę błagania, i woła do przyjaciela swego.

„O daj mi skowronka głośną nutę w błękitach! Daj śpiewy słowików i noce daj mi letnie, i księżyc — lampę miłości, lub urnę zmarłych bogów, jeżeli nań patrzysz z pod bram Kolizeum! Daj mi lasy szumne głosami Boga, gdy po wierzchołkach dębów i sosen zacznie biec dreszcz wiatrów! Daj pola nieprzejrane traw zielonych lub rozbujących kłosów! Daj mi co chcesz, byleby to co dasz, było życia obrazem lub dźwiękiem.“

Zyg. Krasiński.

A Bohdan Zaleski — zamiast powiedzieć, że dla niego Ukraina jest niebem — w uniesieniu uczucia swojego

zwraca się do Boga z błaganiem wypowiedającym całą jego siłę—w tych słowach:

„ — — ... Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządky naszego żywota.
Boże mój, Boże! łzami modłę Ciebie
Jak umrę,—daj mi Ukrainę w niebie!“

Farys Karola Balińskiego w odpowiedzi na obietnice proroka, również w formie błagania wypowiada swoje marzenia, gdy mówi:

„Nie chcę hurysy choćby piękniejszej
Od téj, com niegdyś kochał na ziemi...
Lecz ja nie gardzę dary twojemi,
Ja tylko łaski błagam pełniejszej:
Za wszystkie—wszystkie twoje hurysy
Niech wstaną moi bracia Farysy!
O pozwól! pozwól! choćby na chwile
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
I w dawnéj naszej młodzieńczej sile
Pobujać orlim lotem Farysów!
I piersi dawném orzeźwić biciem
I dawném naszym zabłysnąć życiem...“

Prozopopeja jestto wyższy stopień *rsonifikacyi*—bo przez nią—nietylko że istotom i rzeczom martwym nadajemy myśli, uczucie i ruch, ale jeszcze przypisujemy im m o w ę. W mowach pochwalnych, pogrzebowych, kościelnych, postać ta wspaniała jest ozdobą, gdy mówca własne swe myśli i uczucia kładzie w usta nieżyjących już osób, kraju całego, a także i przedmiotów jakichś, aby usuwając osobistość swoją — przez pośrednictwo innych, silniej na umysł i uczucie słuchaczów mógł działać.

Tak ks. Antoniewicz na gruzach spalonego w Kra-

kowe kościoła pyta się wieży „pozostałej i stojącej jak widmo“

Ależ wieżo! gdzież dzwony twoje? „A wieża mu odpowiada:“ Dzwony moje milczą. Długo dzwoniły jęcząc groźbą i proźbą do ludu całego, aby się nawrócił: bo gniew Boży nad głowami naszymi nad miastem naszym! Ale napróżno! nikt jęku ich nie usłuchał, nikt jęku ich nie rozumiał....

W powieściach, i w ogóle w pismach głębszém nacechowanych uczuciem—prozopopeja podnosi i uwydatnia te uczucia żywo, niezmiernie wiele wdzięku i poetycznej barwy im dając. Tak p. Rautenstrauchowa w swych podróżach p. t: *W Alpach i za Alpami* w ten sposób każe brzozie wypowiedzieć własne swoje wrażenia i myśli:

„Część drogi przeleciawszy tęsknie i bez celu, błędzące oko spostrzegło przy drodze niedbale zwieszoną brzozę w białej swój szacie, z lekkimi na wiatr puszczone mi warkoczy . . . a widok tego rodzinnego drzewa nieznanego na południu inne obudził, a zatarł tamte wrażenia.

Była-to jakby na spotkanie z domu przybyła siostra . . . zdało mi się słyszeć czule wymówione słowa: „ Czyś już zapomniała rodzinną twą strzechę? . . . gdzież się w twój duszy podziały wspomnienia lat dziecinnych, . . . młodzieńczych marzeń . . . co może pod obcym nie zakwitłyby niebem! Czyż nie słyszysz tego głosu, co mówi: pamiętaj i kochaj!“

O Prozie i jój rodzajach.

Wszelkie pismo dające obraz r z e c z y w i s t o ś c i nazywa się p r o z ą, która, ściślej ją określając, ma na celu przekonać, nauczyć, i malować istotną tylko prawdę, wszelkie upiększenia, idealizowania, działające na serce zostawiając p o e z y i.

Z takiego więc określenia wynika, że ze względu na d u c h a jakiegoś pisma niejedne wiersze—choćby udatne nawet, najpospolitszą są prozą, gdy nierymowana mowa najczystsza poezją być może; ze względu jednak na f o r m ę, zazwyczaj wszystko, co nie ujęte rymem zaliczamy do prozy, a nazywamy ją piękną, gdy nietylko na rozum, lecz na duszę, serce i wyobraźnię już działa.

Przedmioty jój są różne, i pisarz—zarówno jak poeta, bierze je albo ze świata zewnętrznego, czyli materialnego, albo z wewnętrznego czyli duchowego, albo też oba te światy łączy wykazując ścieranie się uczuć człowieka ze wszystkimi wpływami i okolicznościami jakie przeciw nim występują do walki, i odpowiednio do źródła z jakiego płyną,—różne stanowią rodzaje.

Jedne z tych pism mają na celu stósunki rodzinne i społeczne, drugie—kształcenie młodego pokolenia,

inne zatrzymanie w żywej pamięci ubiegłej już przeszłości, jeszcze inne uszlachetnienie obyczajów, wykazanie prawdy, podniesienie ducha, a każde znów odpowiednio do celu i zakresu jakie im piszący naznacza, właściwą formę przybiera.

Najważniejszymi z tych różnych rodzajów prozy są: listy, rozmowy, pamiętniki, żywoty, historia, opisy, mowy, powieści, a z pomniejszych w swoim zakresie są różne broszury, recenzje, krytyki, i t. p.

Wybierając z nich co najpowszedniejsze i najprzystępniejsze dla ogółu, zajmują nas najwięcej następujące:

List.

Najpowszechniejszym i przez wszystkich uprawianym rodzajem pisma jest: list, bo poprostu zastępuje rozmowę ustną między osobami, miejscem oddalonymi od siebie. Zwyczajną treścią jego są: rodzinne i serdeczne stósunki, interesa, prośby, lub obowiązkowe zadośćuczynienie grzeczności, to jest: wszystko, co jest zwykłą treścią rozmowy, a list dobrze napisany powinien być wiernym naśladowaniem pogawędek takich: Styl jego ma być jasny, naturalny i zastosowany do okoliczności pod wpływem których się pisze i nie ma dla niego żadnych innych przepisów prócz tych, jakich przestrzegają w mowie dobrze wychowani ludzie, mający wzgląd na osobę, do której się odzywają, a także na przedmiot i cel—w jakim list do niej chcą pisać. Niema również żadnej stałej formy na początek i koniec listów serdecznych i poufanych, bo tylko w pisanych do osób starszych wiekiem lub znaczeniem, koniecznym jest zatytułowanie go odpowiednio i umiesz-

czenie na końcu kilku wyrazów zapewniających ich o takim uczuciu, jakie im od nas należy.

Zacęcie listu, do równych nam i bliskich osób pisanego, powinno odpowiadać temu pierwszemu poruszeniu serca, z jakim piszący odezwałby się do osoby stawiającej przed nim, — i niecierpliwe pytanie, czy energiczna odpowiedź, dowcipny żart, czy wykrzyk smutnego uczucia, bez żadnych wstępów, zarówno są właściwe, jeżeli z duszy, czy chwilowego usposobienia wypłyną. Dalej—tak jak w potocznej mowie, tak samo i w liście po pierwszym i nieobrachowanym słowie nastąpić powinno wynurzenie tego, co się w czasie niewidzenia uczuło i stało, a idąc za kolejną ważności tych wydarzeń lub wrażeń (bez zostawiania głównej rzeczy na koniec lub przypisek) należy przeplatać opowiadanie tu pytaniem, tam wykrzyknikiem, tak—jak to w zwykłej rozmowie ma miejsce. Choćby zaś te wszystkie wieści były najrozmaitszej i najsprzeczniejszej treści, przecież w ten sposób wypowiedane być winny, aby się z sobą wiązały jakimś—życiu naszemu naturalnym zwrotem od wesołej do smutnej, od lekkiej do poważnej rzeczy i wtedy będzie to coś nakształt mozaiki, co z tysiąca drobnych ułożona części, przecież jednolitą utworzy nam całość. Przykładem takich listów bywają najczęściej listy kobiece dla wrzaliwego ich uczucia i żywej wyobraźni, z jaką chwytają drobnostki pomijane zwykle przez poważniejsze i głównej rzeczy szukające umysły; nie brak jednakże w literaturze naszej ślicznych wzorów listów rodzinnych i poufalech wyszłych z pod pióra znakomitych naszych poetów i pisarzy jak: Zyg. Krasińskiego do swoich dzieci i przyjaciół, Ed. A. Odyńca do Korsaka, i innych.

Że główną cechą tego rodzaju pisma jest natural-

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wych.

ność i zupełna swoboda wyrażen, stąd téż wiele rodzajów prozy podszywa się pod tę formę, aby uprzystępnąć to, co z swęj treści—pod inną formą byłoby nazbyt poważném. I tak: formę *listów* przybierają przedmioty nauki, sztuki, rozpraw politycznych, bo dają pole do wypowiedzenia własnych swoich myśli i oderwanych spostrzeżeń i takimi naukowemi listami są: Ig. Krasickiego o ogrodach, Hugo Kollåtąja w kwestyjach politycznych i w przedmiotach naukowych; Kaz. Brodzińskiego o języku polskim; J. Kremera o sztukach; Zyg. Krasieńskiego w przedmiotach uczuciowych i literackich i t. d. W takąż formę *listu* oblekają się także powieści, gdy idzie o to, aby w listach kilku osób wzajemnie piszących do siebie, główne tylko uwydatnić fakta, lub pewne charaktery, wydarzenia i uczucia w jasném nam świetle wystawić, gdy każda z biorących w nich udział z innęj je strony maluje,—albo gdy w listach jednéj osoby tylko—mają się zawrzec różnorodne i oderwane, a tworzące piękną całość: zdarzenia, spostrzeżenia i myśli. Taką powieść prawdziwie nauczającą: historyczną treścią, a pełną uroku prostotą opowiadania, utworzyła Kl. Hofmanowa w *Listach Elżbiety Rzeczyckiej* a w takich jak *Krystyna* (też) jak *Piersionki babuni* (Wojnarowskiej) najpiękniejsze myśli, zasady i uczucia również są w *listach* zamknięte.

Rozmowy.

Rozmowy czyli dyjalogi jako proste następstwo pytań i odpowiedzi, odznaczające się—jeżeli można—jeszcze większą naturalnością jak listy, są nadzwyczaj dogodną formą dowodzenia jakiegóś zasady czy prawdy

przez zadawanie pytań wyczerpujących ją do dna, przez zbijanie zarzutów jej czynionych, i przez zestawienie różnych o niej i pojęć i sądów. Osoby więc do niej wchodzące muszą się różnić albo stopniem wykształcenia, gdy idzie o rzecz nauki; albo poglądem i charakterem swoim, gdy idzie o ocenienie zasług i obyczajów ludzi, i rozmowa taka w pierwszym razie: *filozoficzną* — w drugim *satyryczną* ze względu na tę—czy owę treść będzie.

Starożytni pisarze tej formy używali często, a grecy filozofowie jak Platon, Sokrates i inni, pierwsi jej wzór podali. Ignacy Krasicki na wzór Lucyana (również greckiego pisarza) pisał: *Rozmowy zmarłych* w których sławni mężowie nasi—ze sobą, jak np: Kazimierz W-ki z Bolesławem Chrobrym, lub ze zmarłymi w starożytnym świecie jak Stefan Czarnecki z Fabijuszem, Piast z Daryjuszem, wiedli te rozmowy dla uwydatnienia wzajemnych zasług swoich. W dawniejszej naszej literaturze mieliśmy także rozmowy Reja: *Wyrwasa z Dykasem*, *Plebana z kmiotkiem* i inne; Górnickiego Łukasza — *Rozmowa Polaka z Włochem* o niestałej u Polaków odzieży, w dzisiejszych zaś czasach rozmów użyto dla rozwijania w dzieciach pojęcia o cnocie i nauce, bo forma ta, czyni nadzwyczaj łatwym i popularnym wykład przedmiotów poważnych, dając sposobność wyjaśnienia ich w najprzystępniejszy sposób. Rozmowy takie pisał St. Jachowicz, Kl. Hoffmanowa przeważnie w rzeczach moralności dotyczących, a w rzeczach nauki odznaczają się: *Wieczory Czwartkowe* traktujące fizykę z przedziwną łatwością i prostotą przy całej gruntowności przedmiotu.

Żywoty czyli Bijografija.

Jak wiele pism innych tak i bijografije czyli pisanie żywotów znakomitych ludzi od Greków początek swój wzięły a upowszechniły się wielce, z powodu nauki jaką nam w żywych przedstawiają przykładach. Pamięć pozagrobowa—jest na ziemi najwyższą i jedynie może godną nieśmiertelnego ducha nagrodą lub karą za jego czyny i uczucia. Kto więc za życia miał jakieś ważne do spełnienia zadanie, tego charakter i czyny a nawet i słowa poddają pod sąd współczesnych, by hołdem mu złożonym potomnych zachęcić, lub potępiającym go wyrokiem powstrzymać ich od naśladowania tegoż. Takiemu sądowi—głównie podlegają ludzie biorący udział w sprawach krajowych czy-to mieczem, czy piórem,—czyli téż słowem żywém, a wtedy bijograf maluje epokę w jakiej żyli,—wypadki, w których czynny udział brali, pracę jakiej dokonali i z historyczną ścisłością przedstawia moralną i umysłową ich stronę. Do historii i literatury takie bijografije są konieczne; w pierwszej dla sprawiedliwego osądzenia czynów człowieka według pobudek jakimi się kierował,—w drugiej: dla sprawiedliwego ocenienia prac jego umysłu, względnie do ducha czasu, i indywidualności pisarza. Takich ludzi Żywoty, pisali: And. Trzeciński—Żywot Mikołaja Reja; Jan Sniadecki, Naruszewicz, Hoffinanowa, Bartoszewicz, Pruszkowa Wł. Wojcicki i inni.

W Cmentarzu Powązkowskim wydanym p. K. Wł. Wójcickiego znajdują się także pięknie skreślone żywoty nietylko głośnych w świecie, ale i takich ludzi, co nie występując poza granicę prywatnego, rodzinnego życia, zasłużyli jednak na bardzo chlubną pamięć, przez cnoty swoje i ciche a gorliwe spełnianie obowiązków powołania swego.

Pamiętniki.

Pamiętniki—są to pismem zebrane osobiste wspomnienia ludzi, którzy—albo wiele czuli i chcieli swemu sercu ulżyć tym sposobem, albo jakiś udział brali w ważnych wypadkach krajowych i chcieli je upamiętnić, zapisując wszystkie swe czyny i koleje życia, a także i wydarzenia, które przed ich oczyma płynęły.

Ważny-to rodzaj jest pisma, bo pamiętniki takie, mogą być bogatym dla historyi materyjałem, a w każdym razie zajmują one żywo, dając obraz życia, wyższych zazwyczaj umysłem czy stanowiskiem ludzi. W starożytnych jeszcze czasach—już zajmowano się ich spisywaniem—i doszły nas pamiętniki Julijusza Cezara o wojnie z Gallami; w naszej zaś literaturze, od XVII-go wieku coraz więcej upowszechniać się zaczęły. Z tego-to wieku mamy wysoko cenione pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, który w swych zapiskach dla siebie samego czynionych, zostawił nam dokładny obraz społecznych mu ludzi i obyczajów. Z XVIII-go wieku mamy pamiętniki: Karpińskiego, Niemcewicza, Jędrzeja Kitowicza i innych, zawierające historyczne fakta podczas panowania Augusta III-go i Stanisława Poniatowskiego zebrane,—a jeszcze późniejsze czasy dały życie wielu bardzo pamiętnikom—przez różnego stanowiska ludzi pisanych.

Formę pamiętników przybierają: charakterystyczne obrazy ubiegłej już przeszłości, — jak np: *Pamiętniki kwestarza Ignacego Chodźki* i *Pamiętniki Soplicy*, Rzewuskiego, a także i powieści głęboko uczuciowe, w których autor głównym osobom każe wszystko samym o sobie mówić, aby ich wrażenia, uczucia i myśli z najsztelniejszą ścisłością odmalować

się mogły. Do takich powieści należą: *Wspomnienia wygnanki* P. Kraków; *Pamiętniki młodej sieroty* tejże; *Pamiętniki Wacławy* Elizy Orzeszkowej, i inne, a na czele wszystkich postawić należy *Dziennik Franciszki Krasieńskiej* przez Kl. Hofmanową pisany, który ślicznym, i prawdziwie znakomitym jest jej utworem.

Historija.

Historija jest obrazem przeszłości i wiernym zebraniem wypadków składających się na losy pojedynczych lub wielu razem narodów i odpowiednio do swego zakresu jest powszechną, lub szczegółową tylko.

Początek historyi jest w kronikach—czyli rocznikach, spisanych po klasztorach przez zakonników, którzy je pisali w języku łacińskim, z powodu niewyrobienia polskiego. Kroniki te jednak kraj cały obchodziły—bo zbierano w nich nietylko dowody poczynionych klasztorom nadań i fundacyj, ale zarazem kręślono wypadki rodzinne i czyny fundatorów klasztornych, którymi, że zwykle bywali książęta i panowie znakomici wielkie znaczenie w sprawach kraju mający, ztąd życie każdego—było częścią życia narodowego i na całość się jego składało.

Te to kroniki, wraz z podaniami ludu, pamiętnikami i dokumentami, stały się bardzo ważnym materiałem do utworzenia historyi, która obejmuje nietylko już wypadki polityczne i sprawy wojenne, ale i całe życie narodowe, malując dzieje kościoła, oświaty, przemysłu, handlu i wszystkich wydarzeń wpływających na wzrost lub też upadek narodu.

Zadanie historyi jest wielkie i bardzo ważne dla

potomnych czasów; wskrzeszając nam przeszłość ubiegłą, uczy nas ona zarazem, co z niej jak świętą po pra-ojcach spuściznę przechować mamy w uczuciu, a co nam za smutną, lecz pełną nauki przestrogę na przyszłość może posłużyć. Z tego też to względu spisywanie dziejów narodowych o ile ważném, o tyle jest trudném dla historyka zadaniem. Nic-tu jego uczucie ani wyobraźnia według swój woli tworzyć nie ma prawa; wszystko na autentycznych, pod ścisłą krytyką rozpatrzonych dowodach, opierać się musi, a historyczna prawda, zarówno nienawiścią do swych przeciwników, jak miłością do kraju swojego, naruszoną w niej być nie może. Sumiennność bez granic, bezstronność zupełna, wyższość moralna nie lękająca się namiętnych sądów ludzkich, wykształcenie wysokie i wszechstronne, umiejętność wynajdywania i korzystania ze źródeł historycznych, są to niezbędne przymioty, jakimi historyk odznaczać się powinien.

Podróże.

Stósownie do celu w jakim kto podróże swoje odbywa i opisuje, stają się one: naukowemi lub opisowemi, a nawet do działu powieści zaliczone-mi być mogą.—Naukowe—dają nam tylko statystyczne wiadomości o krajach zwiedzanych; opisowe—rzucają jeszcze światło na umysłowe ich życie, na ich obyczaje, na sztuki; powieściowe—urozmaicone są jeszcze osobistemi wrażeniami i przygodami piszących.

Między podróżami jakie liczymy w literaturze naszej wyróżnia się: *Pielgrzymka do Ziemi Świętej* X. Hołowińskiego, którą przed nim odbył i opisał: Mikołaj

Radziwiłł Sierotka; *Podróż do Włoch* Józefa Kremera w której głównie miał na celu tylko sztuki piękne; *Kartki z podróży* J. Ig. Kraszewskiego; *Podróże* Kl. Hoffmanowej; *W Alpach i za Alpami* Łucyi z Gedroiców Rautenstrauchowej; *Miasta, Góry i Doliny* — (tęże) wchodzą już w zakres powieści, a do tegoż rodzaju zaliczają się: *Podróże* Ewy Felińskiej po Syberyi, i *Podróże* Tripplina — które jednak, mimo wielu zalet stylowych, mianowicie dowcipu i żywości opowiadania, nie mają wielkiej wartości dla braku *prawdy*, która podstawą takiego pisma być winna.

Przysłowia narodowe.

Każdy z osobna naród, ma swoje własne przysłowia, w których zawiera prawdy moralne, spostrzeżenia czynione nad ludźmi i życiem, a są one tak dalece objawem jego osobistych uczuć i myśli, że nigdy dosłownie na obcy język tłumaczone być nie mogą, bez zatarcia ducha, jaki się w nich odbija. np:

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Cudze ręce lekkie, ale niepożyteczne. Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.“

Podstawą takich przysłów jest, albo jak w powyższych: prawda moralna; albo jaki wypadek historyczny, albo zdarzenie miejscowe, którego pamięć lud przechowuje i umie zeń zręcznie korzystać, zastósowując je do odpowiedniej mu okoliczności. I tak z historycznych są takie jak:

Sprawił się jak rycerz z Babińskiej wyprawy.

Porwał się jak gdański burmistrz na polskiego króla¹⁾
Plecie jak Piekarski na mękach

Okolicznościowe:

Szkoda czasu i atlasu. Wyrwał się jak Filip z Konopi.
Slusarz zawinił, kowala powiesili. Wyszedł jak Zabłocki na
mydle. Znać pana po cholewach i t. d.

W epoce Zygmunto²⁾skiej zbierali te przysłowia:
Salomon Rysiński i Grzegorz Knapski; później: K. Wł.
Wójcicki, Maks. Fredro, Karol Lipiński,—i wydali je
dla przechowania wspomnień narodowych i dopełnie-
nia dziejów ojczystych, wykazaniem ducha i obyczajów
naszych.

Myśli i zdania.

Znakomici pisarze,³⁾ gruntownie pojmujący treść
życia ludzkiego, podstawę jego szczęścia,—i obowiąz-
ki względem Boga — kraju i bliźnich, w krótkich—oder-
wanych zdaniach wypowiadali swoje przekonania, za-
wierając w nich wielką prawdę religijną albo też mo-
ralną; piękny objaw zacnego pojmowania rzeczy, lub
trafny pogląd na stósunki społeczne, i myśli te wraz
ze zdaniami, jakich mnóstwo mamy w Piśmie Świętym,
stanowią głęboką dla nas naukę, jak w przytoczonych
tutaj przykładach:

Wierny przyjaciel jest mocna obrona; kto go znalazł—
skarb znalazł. Jałmużna nie zuboży; prawda nie ohydzi, sta-
tek nie oszpeci, msza nie opóźni.

1) Za Zygmunta II-go. 2) Za Stefana Batorego. 3) Za Zygmunta III-go

2) Krasicki. Potocki. Woronicz, Mickiewicz, Morawski, Brodziński i inni.

Prawdziwie mądrym jest, kto pełni wolę Boga a swojej się wyrzeka. Prawdziwie jest wielkim, kto ma wiele ducha miłości. (Z pisma Świętego)

Dobrze czyniąc innym, sobie łaskę wyświadczasz; miłsze jest czucie prawemu sercu, gdy daje, niż gdy bierze.

Wiele umie, kto nie umie nad potrzebę. Nic nie sprawi, kto serca nie ma. Dość z siebie czyni, kto wykonywa co może. Kto tylko tego szuka, co jest łatwem, nigdy tego co jest wielkiem nie znajdzie. Nie wymagaj niczego po ludziach, a wszystko ci odbiorą. Ten nie żył, po kim piękna pamięć nie została. Kto się na swój rozum zupełnie spuszcza, pyszny raczej, a nie mądry. i t. d.

Powieść.

Powieść—obszerny ma zakres i wysokie stanowisko zajmuje w literaturze tegoczesnej, ale u nas taka—jaką ją dziś znamy, dopiéro od roku 1831 rozwijać się poczęła, gdy po wielu próbach od końca XVIII wieku aż do powyższej daty dokonywanych, na właściwą drogę dla siebie trafiła. Naprzód, wzięwszy za swój przedmiot życie polityczne narodu, jego obyczaje i jego potrzeby, pojawiła się w charakterze powieści: tendencyjnych i historycznych; w następnej zaś epoce jój rozwoju—wyrobił się jeszcze rodzaj powieści: obyczajowych, moralnych i humorystycznych.

Najpierwszym pisarzem powieści był u nas Ignacy Krasicki, (urodzony w roku 1734 † 1801) który dał wzór do pisania powieści: *tendencyjnemi* (czyli *dążnościowemi*) nazwanych.

Powieść tego rodzaju ma na celu wykrycie wad społeczeństwa całego, lub jego pewnej części;—wykazanie potrzeby zreformowania jakichś ustaw lub instytucyi, a w ogóle—dąży do poprawy obyczajów i takie-to dwie powieści Ig. Krasicki napisał. *Pan Podstoli* sta-

nał jako wzór zacnego i rozumnego obywatela kraju, a *Przygody Mikołaja Doświadczyńskiego* wykazały go takim, jakimi byli wszyscy naonczas z ich lekkomyślnością, marnotrawstwem i zamięłowaniem obczyzny. W rodzaju *Podstolego* — i jakoby dalszy jego ciąg, napisał Massalski p. t. *Podstolic* — czyli *czém jesteśmy i czém być powinniśmy*.“

Z nowszych pisarzy, w rodzaju tendencyjnych powieści, Jan Zacharjasiewicz odznaczył się takimi jak: *Święty Jur*, jak: *Na krésach* ze stósunków księstwa Poznańskiego schwyconą i *W przededniu* na późniejszych wspomnieniach osnutą.

Romans historyczny — jest obszernego zakresu powieścią, będącą właściwie dopełnieniem historii ze strony jej wewnętrznej, to jest, ze strony uczucia i myśli. Przedmiotem jej jest jeden wielki ustęp z dziejów narodowych, ubarwiony dodatkami i szczegółami z życia osób biorących w nim udział, w celu odmalowania wszystkiego, o czém historia przemilcza, a co ma ścisły z nią związek jak: rodzinne stosunki, zwyczaje, obyczaje, a nawet domowe urządzenia, zabawy i ubiory z pewnej epoki schwycone. Walter-Skott, pisarz angielski, dał początek takim romansom ¹⁾ a za jego przykładem poszedł Julijan Ursyn Niemcewicz, napisawszy powieść z czasów Zygmunta Augusta: *Jan z Teneczyna*; później: Feliks Bernatowicz, którego *Pojata córka Lizdejki*, czyli *Litwini* w XIV wieku była pięknym i starannie obrobionym romansem historycznym, trzymającym się ściśle *prawdy* ze względu na osoby, fakta historyczne, miejscowości opisywane, i ten był na obce

1) Tłomaczone przez Dmoehowskiego.

języki tłumaczony. Dalej—Aleksander Bronikowski pisał także powieści, z których najpiękniejszą jest: *Hipolit Boratyński* z czasów Zyg. Augusta, a dzielniejszym od niego malarzem historycznej przeszłości był: Henryk Rzewuski w romansie: *Zamek Krakowski*—a więcej jeszcze: w *Listopadzie*; Zyg. Kaczkowski—w takich ślicznych utworach jak *Dziwożona*, *Sodalis Marianus*, *Annuncyata* z czasów konfederacji Barskiej, *Bracia ślubni* z czasów St. Poniatowskiego, — *Starosta Hołobucki* — z tychże; J. Ig. Kraszewski w powieściach: *Kordecki*—z wojen szwedzkich;—*Zygmuntowskie czasy* i innych.

Powieść obyczajową polską stworzył pierwszy Józef Ignacy Kraszewski i dał jej za tło całe życie społeczne ze wszystkimi jego cnotami i wadami,—z jego marzeniem i rzeczywistością,—zabiegami i zawodami, i odtąd to wszystko przedmiotem jest tego rodzaju powieści.

Ślicznie się ona rozwinęła pod piórem swego twórcy, a także: Zyg. Kaczkowskiego,—Józefa Korzeniowskiego, Zacharyjasiewicza, Pługa i innych—i wysokie stanowisko w literaturze naszej zajęła, bo jest obszernym polem do wypowiedzenia głębokich prawd, szlachetnych zasad i do wpłynięcia na obyczaje społeczne. Ztąd też każda powieść musi mieć jakiś cel czyli założenie będące ideą pisarza, który ją w ciągu powieści rozwija i przeprowadza w ten sposób, aby w końcu, po przeczytaniu dzieła, — była ona jasną i wybitną wśród wielu szczegółów i dodatków, służących tylko do plastyczniejszego jej uwydatnienia i zjednania dla niej przekonania czytelnika, a które to dodatki właściwie są tylko formą zewnętrzną, czyli téżże *idei* sukienką.

Wielu jednakże warunkom powieść odpowiedzieć

musi, aby była tém, czém być w istocie powinna; bo jeżeli który, to ten rodzaj pisma, w całym znaczeniu tego wyrazu powinien mieć za podstawę: prawdę, za środek do jej wykazania piękno, a za cel swój dobro, i brak jednego tylko z tych warunków odbiera jej prawo do uznania wszystkich innych w niej zalet.

I tak: w powieści wymagamy prawdopodobieństwa—co do charakterów i uczuć wprowadzonych osób, do obyczajów, wydarzeń i miejscowości w niej opisywanych; piękna—w pełnym wdzięku i uczucia malowaniu obranego przedmiotu, w obmyślaniu żywo interesujących wydarzeń i położenia działających osób, w wytwornym i ozdobnym wysłowieniu, a wystrzeganiu się wszystkiego, co razi ucho dobrze wychowanych i uczucie zacnie myślących ludzi; dobra—w uszanowaniu zasad moralnych i religijnych, w zaciętej dążeniu do rozwinięcia pojęć o obowiązkach i cnocie, do wykazania w czym wielkość i szczęście człowieka prawdziwe, a obudzeniu wstrętu ku temu, co jest ohydliwym i niskim.

Jeżeli powieść prawdopodobieństwa nie odbije w treści, to piękno formy utraci cały swój urok, bo nie ma piękna bez prawdy. Jeżeli się znajdzie prawdopodobieństwo bez piękna w jego przedstawieniu, to nie zajmąwszy, nie trafi też do przekonania i uczucia drugich; — najgorzej zaś,—jeżeli w powieści znajdzie się piękno bez dobra na celu, bo wtedy złe jest poetyzowane, a w pociągającej serce formie przedstawione, fałszywą drogę życia ukazuje, — brudzi myśl i uczucia, przytłumia głos surowych obowiązków i prawdy i do zepsucia obyczajów prowadzi; dlatego też czytanie powieści bez wyboru i umiejętnego kierunku największą szkodę duszy i umysłowi przynosi. O takich-to utworach powiedział Józef Kremer, iż „po przeczytaniu dzieł

tego rodzaju, gdy spojrzysz w siebie rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątynicy zrabowanej i znieważonej. od hordy złodziejów; ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucone, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione, albo zdeptane i sponiewierane.“

Z powieści odpowiadających wszystkim powyższym warunkom: najwyżej stoi *Spekulant Korzeniowski*, a dalej: *Garbaty*, *Emeryt*, *Wędrówki Oryginała*—tegoż; *Dziwadła*, *Świat i Poeta*, *Chata za wsią* i wiele innych *Kraszewskiego*; *Handzia Zachornicka* i *Szandor Kowacz Jeża*; *Ofycjalista A. Pługa*, *Wnuczęta Kaczkowskiego* *Marek Poraj*, *Marcjan Kordysz*, *Czerwona czapka*, *Wiktorya Regina Zacharjasiewicza*; i t. d.

Z kobiet piszących piękném piórem i w duchu prawdziwej moralności odznaczyły się: *Kl. Hoffmannowa*, w takich powieściach jak: *Jan z Czarnolesia* i *Krystyna*; *Elżbieta Jaraczewska*: *Wieczór Adwentowy*, *Zofija* i *Emilija*; *Pierwsza młodość*, *pierwsze uczucie*; *Gabryella* z *Güntherów Puzynina*, *Maryja* z *Chomętowskich Borkowska* (b. Redaktorka *Kółka Rodzinnego*) *Maryja Ilnicka* Redaktorka *Bluszczu*, *Paulina Wilkońska* autorka powieści: *Wieś i Miasto*; *Mrowin* i *Trock* i innych; *Narcyza Żmichowska*, która wypowiedziała wiele pięknych prawd i głęboko uczuciowych myśli—w opowiadaniach prozą, mającej prawo liczenia się do poezyi. Dzisiaj—odznaczają się talentem: *Waleryja Morzkowska* i *Orzeszkowa Eliza*.

Powieść moralna ma na celu w pięknych obrazkach dać młodzieży i dzieciom wzór cnoty, zaszczerpić w nich zasady moralności prawdziwej, zachęcić do nauki i pracy, rozbudzić w nich szlachetne popędy, a wy-

stawić zarazem szkodliwość wszystkich wad i nałogów ich wieku. Na tém polu nieoszacowane zasługi położyli Teofil: Nowosielski, Kl. Hoffmanowa, a dalej Paulina Krakowowa, Pruszkowa, Prusiecka, Trojanowska (Horoszkiewiczowa), Izdebska, Kamińska, Jan Kanty Gregorowicz jako Redaktor *Przyjaciela Dzieci*.

Powieść humorystyczna jest rodzajem dowcipnej satyry wymierzonej przeciwko wszystkim, nietylę wadom, ile śmiesznościom społeczeństwa, a tym rodzajem powieści odznaczył się August Wilkoński autor *Ramot* i *Ramotek*; A. Wilczyński autor *Starego komendanta* i innych drobnych powieści; Jordan autor *Wędrówek Delegata*.

Powieści ludowe,

Jakkolwiek powieści ludowe¹⁾ były pierwszą rodzimą powieścią,—uważamy je jednak za ostatni rodzaj prozy bo są najbliższe poezyi, i jeżeli formą do pierwszej, to duchem już do téj drugiej się liczą.

Powieść ludowa, z legendami, podaniami i pieśnią, jest gruntem, na którym się oparła i zakwitła czysto narodowa literatura nasza; niewykwintną formą, całe skarby uczucia i fantazyi zawiera w sobie jednakże. W swoich podaniach historycznych przechowała takie wspomnienia, jak o królowej Kindze; w miejscowych—otacza urokiem nadzwyczajności i cudów Krzyże i figury przydrożne, niedostępne miejsca lasów ś-to Krzyzkich,—wierzchołki ich gór Łysą górą nazwa-

1) Zwane *klechdami* od *klechy* sługi kościelnego, który jako najmędrszy we wsi—najlepiej opowiadać je umiał.

nych, — sterczące głązy i skały, źródelka i pieczary; w utworach swój wyobraźni dziwnie jest poetyczna jak: w określeniu szczęścia ludzkiego przez symboliczną paproć; a w opowieściach z życia swojego schwyconych, tworzy nieraz całe poemata wiary, miłości i poświęcenia, jak: w Marysi sierotce, służącej u Matki Boskiej i gotującej na Jój słowo z kilku ziarenek kaszki cały obiad dla swój pani, dla siebie, dla pieska i kotka; jak w Urocznych oczach, które ojciec poświęca dla szczęścia dziecka swojego, jak w chłopku topiącym się dlatego, by nie zanieść powietrza do swojej wioski rodzinnej.

Odgadli w nich te skarby ludzie wysokiej za to zasługi jakimi są K. Wł. Wójcicki, Karol Baliński, Michał Gliński, Żegota Pauli, Roman Zmorski, Barszczewski, Adam Czarnocki, (Zoryan Dołęga Chodakowski) Ludwik Jucewicz, i inni; oni-to jasno zrozumieli, że trzeba się nam zwrócić do owego źródła niewysłowionych piękności, z którego lud je czerpał, i że tylko po nitkach z jego piersi i myśli wysnutych dojdziemy do owego gruntu, na którym jedynie — może śmiało stanąć i wznieść się wysoko pyszna budowa, wyrobionego już słowa. Zebrali więc owe baśnie, podania i pieśni, i wydali drukiem pomiędzy 1825-tym a 30-tym rokiem, i dopiero na tle uczuć i pojęć w nich zamkniętych, wielcy nasi pisarze i poeci osnuwają swoje pełne uroku pieśni i powieści, bo wszystko to są rzeczy, z których tryskające myśli obejmują niebo, ziemię i bliźnich, i o których nasz wielki wieszcz powiedział:

„O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszemi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.“

Z Konrada Mickiewicza.

Podział stylu ze względu na epokę. (wiek)

Uważając styl za zewnętrzną formę w jaką układamy swe myśli, można go słusznie przyrównać do ubioru, podlegającego różnym zmianom stósownie do ducha czasu, czyli inaczej mówiąc: do charakteru wieku, który ze zmianą wypadków składających się na historiją kościoła, oświaty i całego kraju—kładał także cechę swoją na stroju ciała i myśli.

Zmiany te uderzające są w wieku XVI-ym, XVII-ym, XVIII-ym i XIX-ym, bo poprzedzające były tylko jakby przygotowaniem do tego, co się na nasz *Wiek złoty* złożyło, od którego-to, styl polski zaczyna swoje koleje.

W wieku tym słusznie: *złotą epoką* nazwanym, język wyrabiający się na tłumaczeniu Pisma Ś-go znalazł w swym skarbcu wyrazy na odmalowanie i pełnych prostoty obrazów patryarchalnego życia pierwszych ludzi Starego Zakonu i najwznioślejszych Objawień, — najgłębszych Tajemnic—Nowego; styl zaś nagi-nający się do wzorów Greckich i Rzymskich pisarzy, przyswoił sobie ową zwięzłość, jedrność i siłę, do jakiej nawykł, wyrażając się przez kilka wieków w ich mowie. Pisarze ówczesnie czysto *szlacheckiego* nastroju, występują jako stróże cnoty; móralskości i obyczajów narodowych; zbierają wspomnienia przeszłości, wyświełlają zasługi przodków, rozbierają kwestyje polityczne i religijne, a wszystko to były przedmioty poważne, malujące życie rzeczywiste i surowo pojęte obowiązki obywatelskie, więc styl tego rodzaju doskonale się do nich nadawał i najwłaściwszą był formą téj myśli, w jakiej się duch narodowy objawił.

Mniej od dzisiejszego gładki i ozdobny, pozostanie

na zawsze wzorem stylu dobrego, bo oprócz powyżej wymienionych zalet, cechowały go jeszcze i wszystkie inne, jakieśmy za główne przymioty stylu uznali, to jest: naturalność, prostota, przedziwna czystość pod względem wyrazów, a także: i zwrotów języka.

Wiek XVII (aż do połowy XVIII) był najsmutniejszym czasem dla oświaty i literatury naszej, a styl ówczesny daje wymowne świadectwo o upadku języka i piśmiennictwa naszego.

Epoka to przewagi *panów* w widokach własnych posługujących się szlachtą; więc rozwiały się dawne jej tradycyje,—duch narodu przestał tworzyć samodzielnie i umilkł w obec głosu podnoszącego się na schlebianie próżności magnatów, dla czysto materyjalnych korzyści. Z drugiej znów strony—system uczenia po szkołach doprowadził do tego, że językiem pokaleczonym wyrazami i całemi łacińskimi zdaniami pisaano w sposób tak napuszony i górny, że stylowi zabrakło nawet najważniejszej podstawy, nietylko zalety, bo jasności w myślach, a naturalności w wypowiedzeniu tychże. W panegirykach układanych na cześć panów, a nawet ich herbów rodzinnych, przy ubieganiu się za szumnobrzmiącemi, a bez żadnego sensu wyrazami, nie umiano się zdobyć nawet na prosty tytuł dla swych dziwacznych utworów.

Jedna tylko historyja pod formą pamiętników, prawdą i życiem na tle tej panegirycznej literatury jaśniała, a język, pełen makaronizmów w świeckiej i potocznej mowie, w ustach kaznodziejów kościelnych pięknie o własnej już sile, się rozwijał i nie oglądając się na klassyczne wzory, natchnione myśli malował przednie, w sposób nieuczony, stylem—aż rubasznym mo-

że wielką prostotą swoją—ale niemniej przez to—przemawiającym do duszy.

Świetne-to były wyjątki—ale zawsze *wyjątki* i dlatego ten wiek zasłużył na napuszoną, w skażonym języku nazwę: *scholastyczno — makaronicznój — panegirycznój* epoki.

Wiek XVIII (aż 1825) przyniósł wielkie przemiany w wyobrażeniach, obyczajach, a także i w kierunku oświaty i literatury naszej. St. August rozmiłowany we wszystkiém co francuzkie było, pierwszy daje pohop do przejmowania ogłady, mody, i etykiety tamtejszego dworu, a Konarski dojrzawszy w literaturze kwitnącej za Ludwika XIV-go myśl zdrową, zdolną usunąć czczość panującą w naszej—daje ją za wzór do naśladowania pisarzom i poetom ówczesnym.

Wznosi się więc oświata, — ale obce wpływy zawładnęły myślą i na obce nam pole niewiary i materializmu sprowadziły ducha, literatura więc czystonarodowa nie rozbudza się jeszcze, bo nie na swoim gruncie, i nie własnym uczuciem pisarze téj epoki, tchnąc życie w nią usiłują. Serce ni wyobrażenia nie ma żadnego udziału w ich pracach: historyja i wymowa, tak obszerne teraz pole do rozwijania się mająca, na podstawie: prawdy, rzeczywistości i faktów występuje w poważnej i uroczystej formie, a we wszystkich pismach w ogóle, bo nawet w poezyi, rozsądek bierze górę nad uczuciem, nauka trzyma wyobrażnię na wodzy i największy nawet talent hamuje się w swobodzie wypowiedzenia siebie, by niczém nie uchybić przepisom przez klasyków francuzkich podanym. Choć więc skutkiem reformy, przez Konarskiego zaprowadzonej w szkołach, język całą swą świetność odzy-

skął, choć myśl zdrowsza. ozdobniejszą formę przybrała, a styl wyrobił się znakomicie pod piórem Sniadeckich, Trembeckiego, Krasickiego, Woronicza, Piramowicza i innych, to jednak — że był ograniczony formami jakich za przykładem francuzkich, nasi pisarze pilnowali się ściśle, — że myśl w cudze ślady wstępując, nie miała ni żywotnej treści, ni swobody polotu w wyższe, nad materyjalny — światy, więc ta epoka znowu — wzorów ślepo się trzymająca — nazwę *klassycznej* przyjęła.

Nareszcie wiek nasz epoką *odrodzenia* nazwany — jeszcze inaczej tym świetnie już wyrobionym językiem przemówił. Zeszłowieczny styl, naginający się ku pięknu według wzorów francuzkich, teraz w całym blasku odbił nam to piękno, gdy stał się obrazem myśli i uczuć czysto narodowych i swojskich, przechowanych w bajkach, klechdach, legendach i pieśniach, a teraz *o d r o d z o n y c h* i ze mgły wieków w jasnym występujących blasku. Oparłszy się na gruncie literatury rodzimój, pierwotnej, wszyscy pisarze i poeci nasi nie tylko już świat rzeczywisty, ale świat ducha, świat pełen fantazyi i marzeń malować zaczęli, i styl swój nacechowali uczuciem całego narodu i własnej swój duszy, i tą dziwnie lotną wyobraźnią, co wysnuta z myśli ludu naszego, po-za świat materyjalny wybiega. Do wszystkich więc przymiotów jakimi się odznaczył styl XVI-go i XVIII-go wieku, stylowi naszego czasu przybyło wiele jeszcze uroku i wdzięku, bo językiem prześlicznym i dziwnie harmonijnym dla ucha wypowiada śmiało a naturalnie, ozdobnie a z prostotą, rozumie a z uczuciem wszystko, co tylko czy z świata zewnętrznego czy z duszy piszącego ma jako przedmiot do obrobienia wypłynąć. Nie krępuje się już żadnemi

formami, nie trzyma się żadnych przepisów,—ale swobodnie bieży w ślad myśli i wrażeń pisarza i wypowiadając wszystko, co jego sercu i drogie jest i święte,—co go oburza i boli, co zachwyca i w uniesienie wprawia, każe ludziom płakać od jego tęsknoty i bólu—czcić to co on uwielbia i kocha, rozmarzać się słodkiem, a burzyć namiętném jego uczuciem, unosić się ku temu pięknemu, które jego dusza na ziemi i niebiosach dojrzała i w tém pięknie szukać owęj wielkiej—i jedynej prawdy, co z Boga poczęta, ku Bogu téż i dąży—i jest jedyną podstawą wszystkiego dobra na ziemi.

WZORY STYLU EPOKI ZŁOTÉJ W WIEKU XVI.

Wyjątki ze Zwyciadła Reja.

Jakiego ćwiczenia mają życzyć poczciwy rodzicy
działkom swoim.

„A tak poczciwi rodzicowie mają to sobie iście pilnie uważać w jako ćwiczenie, a w jakie sprawy dziatki swe wprawować mają, gdyż się przyrodzenie nasze rodzi jako goła tabliczka, a co na niéj napiszą, to już tak zawždy na sobie nieść musi. Boć mądrość na świecie jest, jakoby jaki ozdobny ratusz w jakim zacnym mieście, rozlicznemi cnotami, jak on ratusz wieżyczkami osadzona. A nauki poczciwe, a ćwiczenia roztropne są jako gościńce, do onego miasta z rozlicznych stron, które łacwie, kto ma baczność roztropną przewodnikiem, doprowadzą do ratusza onego. A tam już między onemi wieżycami rozkosznemi, to jest między cnotami onemi, pewnie sobie znajdziesz spokojną gospodę do każdego poczciwego postanowienia żywota swego!

„Potém, gdy już téż ona młodość podrastać będzie, nie wadzi mu téż *poczetłszy* (poczytawszy) sobie, czego potrzeba nauczyć się: i konika osieść i jako sobie na nim poigrać, a jakoby *gi* téż czasu *potrzeby* (wojny) obrócić. A jeśli by mógł i *drzeweczko* (drzewce, dzida) znieść, tedy i to nie wadzi z nim sobie poigrać, ręką uważać, do pierścionka albo do czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu, coby się i czasem z poczci-

wym a nie opiłym towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować, bo ztąd i ćwiczenie i zachowanie na potym i znajomość roście. Niewadzi mu też czasem pouczyć się, i poszermować, i poskakać, na *lutence* pograć; wszystko to są poczciwe zabawki.

„Przodkowie nasi święci jako pychy używali.“

Zapomniałeś podobno onych świętych przodków twoich, a wielkich miłośników Pańskich, jeśliże też tak wzgóre podnosili głowy swoje, albo jeśliże tak sprośnie nadymali twarzy swoje przeciw bliźnim swoim, albo jeśli tak szukali a zabiegali pożytkom świata tego dla nędznej a tej szarej pychy jego. Mało ci znali alabastrów, marmurów, złota, srebra, pstrych opon, i innych dziwnych przysmaczków ku temu u Boga sprosnemu grzechowi. Kwiateczki, a piękna traweczka to było obicie ich: nanaiotek albo chruściana budka, to były marmury i alabastry ich: podpłomyczek na węglu upieczony, a kawalec baraninki, to były półmiski ich: miłość wierna, powinność życzliwa, sprawiedliwość, bogobojność, pomierność, to były wszystkie ubiory ich, wszystkie klejnoty ich. A zwali się sługami Bożemi, i sługami bliźnich swoich, a patrz jacy tam byli wielcy panowie, oni prorocy, oni zacni patriarchowie, daleko zacniejsi. Nie graniczyli się, nie pozywali się, nie łupili sobie oczu, dla marnych pożytków świata tego, tak jako dziś widzimy, leda dla sprosnej, a małej krzywdeczki, nie to człowieka zabić, nie to ręce mu osieć, nie to z majątności jego wypozywać go. A oni święci ludzie, nieczym się inszym nie sądzili, jedno prawdą świętą, a cnotami swojemi, a słowa ich były *jest? jest! niemasz? niemasz!*

„Ale jako nastaly odmienności czasów, jako nastaly wystawne zamki, kosztowne miasta, dziwne kształty, dziwne ubiory, dziwne a wymyślne, a śnadź i z postrachem na poly, jedla a picia rozliczne; także też pospołu z tym nastala sproсна pycha, niepobożne łakomstwo, srogie łupieztwo, okrutna niesprawiedliwość, tak iż się łzy leją niewinnych ludzi, wołając o pomstę do Pana na ty, które tu na to wystawił, aby ich dobrodziejami a obróncami byli, gdyż je pismo zowie bogi ziemskiemu, a dobrodziejami ludzi im poruczonych. A ztąd

Pan dosłepi oczu każdego takiego, że się już nie będzie mógł obaczyć w każdym z tych szkodliwym przypadku swoim, aż go dowiedzie do onych mocnych dekretów Pańskich a do srogięgo a pewnego zginienia jego.

Wyjątki z Dworzanina polskiego.

Lukasza Górnickiego.

Była przypowieść u Greków: „Tak żyj, jakoby tego nikt nie uczuł, żeś żył na świecie,“ którą przypowieść Plutarch szkaluje i gani; a wywodzi, iż nikomu w tej ciemności żyć nie przystoi. Albowiem kto cnotliwie a mądrze żyje, ten w kącie nie siedząc i przykładem i pomocą użyteczny ludziom być może; a kto zaś źle a głupie, ten, wzdry (przynajmniej) nie pokrywając swoich niedostatków, swoich chorób, na takowego człowieka trafić może, który ono wszystko uleczy i naprawi.

Jakoż ja w tej mierze z Plutarchem dzierzę (trzymam) i powiadam, iż tak mądrymu jako (i) głupiemu uledez między trupy nie przystoi, ale głupiemu, (gdyż to jest pierwszy stopień do mądrości, chcieć się dać leczyć) do tego się mieć trzeba, żeby za pokazaniem prostoty swojej ludziom, pozbył głupstwa, a mądrymu zaś to należy, iżby obmyślał dobro pospolite; a odnosząc za poczciwe sprawy sławę i pochwałę, nie szedł mileczkiem z świata, jako nieme zwierzęta schodzą.

Przymioty dworzanina.

Dworzanin ten mój sercem mężkiem a wspaniałą myślą zawždy się znacznie popisać ma. Jedno też zaś nie chcę, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochurnym wejrzaniem, postawą sroga, odętym wąsem straszyc miał, a nie umiał łagodnie mówić, jedno z fukiem, a wszystko o wojennych rzeczach, a jako zbroju najmniejsza jego pierzyna, a z przyłbice (y) najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał być, prędkobym każdemu człowiekowi obmierzył, a zasłużyłby słyszeć one słowa które poczciwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie,

powiedziała; bo gdy ten po kilkakroć poczezony (uczezony) tém był od niej, żeby się abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wždy rozmową się jaką z pannami bawił: a każdy raz dobry pan nic innego nie powiedział, jedno, iż to jest lekkich ludzi dzieło, nie jego ćwiczenia rzemiosło. Spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło waszmości jakież wždy (przecie) jest? Odpowiedział jój, uczyniwszy pierwój postawę srogą: We krwi, prawi, nieprzyjacielskiej brodzić, a swój nie żałować. Rzekła zatem pani: Mnieby się zdało, ponieważ teraz wojny niemasz, abys dał się waszmość tłustém (tłustością) namazać, a wespółek (razem) ze zbroją i z tém wszystkiém, czego waszmość przeciwko nieprzyjacielowi używasz dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abys waszmość bardziej niż teraz nie zardzewiał.“

O Języku polskim.

Z Górnickiego.

Dworzanin będzie miał we wszystkiém gracyą, a zwłaszcza w mowie; jeśli się strzedz będzie wydwarzania, której wady pełno wszędzie; podobno u nas w Polsce więcej niż gdzie indziej: albowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech to za każdym słowem: Signor; jeśli we Francyi, to: par ma foi; jeśli w Hiszpanii, to: Nos ostros cauaglieros: a czasem drugi chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granicę Szląską przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić jedno po Czesku; a Czeszczyzna, wie to Bóg jaka będzie. A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił: to powiada iż zapomniał, albo że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi: czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z Bogarodzice słowo, a z Czeskiem jakim gładkiem słówkiem nasztych je wysadzi, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał: nakoniec i z tym na plac wyjedzie, że niemal każdy w Polskim języku wymowca, Czeskich słów, miasto polskich używa, jakoby to było nazchwał dobrze.

Nie ma się co podobać, kiedy kto mając własne Polskie

słowo, zarzuciwszy ono pożyczca na jego miejsce z cudzego języka a miasto *Stanów Koronnych*, mówi: *Sławy* koronne, bo to jest nie inaczej, jedno jako kiedyby kto Polaki wyganiał z ziemię, a Czechy do niej przyjmował: w czym jakiby był rozum, widzi to każdy. Prawda to jest, gdzieby słowa Polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, albo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi, potrzebowałby cudzego słowa: nietylko tego nie ganię, kiedy z tak podobnego mowie naszej języka, jak jest Czeski, weźmie słowo, ale też i z Łacińskiego, zwłaszcza jeśliby łatwie ku wyrozumieniu, abo już nieco utarte słowa było, wziąć mu dozwalam. Takżeć podobna naszy wymowce Polscy sławni czynili. Czego nierozumiejąc dzisiejszy z onegoż wydwarzania, które tak bardzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im na to, że jęli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów Polskich stawiać Czeskie, dobrze niż nasze podlejsze. Za tym to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy; a tego, prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą.

Nie wiem czemu by inakże pisanie byź miało niż mowa; gdyż pisanie nic innego nie jest, jedno jakiś kształt a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już rzekłowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co się rzekło: a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otoż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście rychlejby się jeszcze zesłała w mowie niż w pisaniu: bo gdy mówimy, ci którzy nas słuchają, mogą spytać, jako się co rozumieć ma; ale kiedy ja cudze pisanie czytam, gdyż nie masz tego co pisał, trudno nam wiedzieć co to jest, czego wyrozumieć nie mogę. A przeto jeśli mowa nie ma byź trudna ku wyrozumieniu, pogotowiu pisanie. Zwłaszcza iż uczeni ludzie tak powiadają: że to najcudniejsza mowa, która jest podobna pięknemu pisaniu. Co jeśli tak jest, to pewnie pismu się to nie zejdzie, aby trudne byź miało, mali byź mowa każdemu ku wyrozumieniu łatwa.

.....

Co się tycze Polskich słów starych, jeżeli je odżywiać mamy tak powiadam: iż ktoby tymi słowy, których teraz używamy, zamietać, a starodawnych na to miejsce chwycić się chciał, nie inaczejby czynił, jedno jako ów, ktoby chciał wzgardziwszy chlebem, żołądz jeść, jako starego wieku ludzie jadają.

Słów używać mamy jako menice, bo której ludzie nie znają, téj nie biorą, także i słów nie rozumieją innych, jedno te, które są w zwyczaju pospolitym. Lecz gdzieby dzisiejszego słowa nie było na tę rzecz, którą Dworzanin opisać chciał, nietylko mię nie obrazi starożytne słowo, ale ja wolę, niż cudzoziemskie.

A com mowę Łacińską wspomniał, widzę byż ten obyczaj, iż niektórzy naszy, chcą pokazać, iż wiele umiejąc co trzecie słowo to po Łacinie mówią; a może je przyrównać do owéj kuffy, w której troszkę wina; albo do pęcherza, w których jedno kilka ziarn grochu; albowiem gdy zakolcesz w próżną kuffę, wielki dźwięk daje, a pełna nie; jako i pęcherz pełen grochu. Także i ci, iż kilka tylko słów umieją, więc z nimi coraz na plac: a w tym i ono głupie swoje wydwarzanie pokazują i drudzy ich nie rozumieją.

.

Wyjątek z mowy ks. Piotra Skargi.

mianej na pogrzebie Królowej Polskiej Anny Jagiellonki d. 12 Listopada 1596 r. w Krakowie.

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, przykład cnót jego ludziom zostawić, pamiątką wieczną dobroć jego uczcić, i żałować a płakać śmierci jego.

„Przed śmiercią nie chwal nikogo,“ dla odmiany i nie dotrwania, któremu ludzka słabość podległa; lecz po dokonaniu pracy i drogi żywota tego, i po skończeniu roboty „chwalmy dobre robotniki,“ aby wspomnianie ich było ku błogosławienstwu, nam do zbudowania, onym do zapłaty, Nie będziem chwalić téj białej głowy Królewskiej z urody i wdzięczności, bo to lekkie i wspólne ze zlemi dary; ale jako mędrzec każe, z bojaźni Bożej i z cnót, które z niej rosną, sławić je winni jesteśmy. Pierwój jednak włożyć to chcę do serc waszych dla zbawiennój przy pogrzebie nauki: jako śmierć wielkich ludzi płci obojój, większe w nas uzalenie nad ludzką nędzą wzbudza; jaśniej w niej na słabość szczęścia świeckiego patrzymy: znaczniejszy jest i głośniejszy ich upadek, większa w nich bojaźń

mocy Boskiej, straszliwszy do sądu Bożego przystęp, większa szkoda i żalność, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

Okrom samego w ciele żywota niewiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał, niewiele traci, i nie jest wielkie nad śmiercią jego uzalenie. Lecz człowiek stanu i szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik; póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i srebra napełniał; swojem to być mienił, i w tém się kochał i przygód żadnych się nie bał: a gdy zasnął nie znalazł w rękę swoich! Ze wszystkiego złupiony i odarty, jako pojmaniec najnędzniejszy został. Z owego rozkosznika w potrawach, w szatach, pościeli, jedwabiach, w woniach drogich, staje się brzydki i sprosny trup; z owego podniosłego i gromadnego wielkim dworem ludzi ubranych i zacnych otoczonego, staje się u grobu i w ziemi, odbieżany, wzgardzony i osierociały. Z owego możnego, przed którym wszyscy drżeli, staje się pośmiewisko i wzgarda; jako straszdyło u prosa, po którym ptacy depcą, co naprzód przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnał, zbierał, brał, zamykał, ścisnął, stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył, i z niej wszystko wysypał.

O! dziwna i straszliwa odmiano! Tak gdy Amaza wielki Dawida Króla hetman, zabity, na drodze z wyciekłemi trzewy leżał, żołnierze mijający mówili: „Onże to tak wielki Pan co chciał być na miejscu Joabowem? patrz na co przyszedł.“ Gdy Jezabelę, przed którą ziemia drżała, z okna zrzuconą i zdeptaną kopytami końskimi, psy jadły, lud mówił? „Onaż to Jezabel?“ Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich; smutne uzalenie nad nędzą ludzką pobudzają, czego na ubogich i niskich ludkach nie znać.

Na wielkich panach gdy umierają, łatwiej doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia i niepodobnej naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, mówimy: nędza go i niedostatek umorzył; nie miał co jeść, grubemi potrawami się zepsował, i robotą zerwał: nie miał się czem leczyć, ani barwiera, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. A panu wielkiemu z Indij lekarstwa przywożono, z Włoch doktory miał, co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, a przecię nie nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubogiego kmiotka zabija i wszystko po nim zginie, nie dziwujemy się i ludzkiej niepotężności nie znamy, bo mały odjąć się nie mógł, i jako robak zdeptany jest. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska i taką strasliwą moc i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i poleże, i wszystko się po nim rozproszy, dopiero mówimy: „Nie na świecie nie masz mocnego ani trwałego, odmiana i nędza najwyższe szczęście czyni, trochę się ukaże, a wnet odbieży i zdradzi.“ Gdy kto ubogi umrze, wstrząsienia, wzruszenia i odmian żadnych po nim nie masz; jakoby liść z dębu cichucho zleciał, jako o jego narodzeniu tak też o śmierci ledwie kto wiedział i nie masz po nim rozruchów ani swarów, ani niepokojów, ani odmian. Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny ogromny głos i trzask lecąc na ziemię uczynił. Wszyscy się przełękli, drudzy w niepokoję i w swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli, i jest z śmierci panów i królów większy przestrah i nauka dzielniejsza. Przestrah jest, bo jeśli lew tak poległ, a cóż szczeniátko? jeśli się dąb tak mocny obalił, a cóż z małą wierzbinką będzie? Nauka jest, iż szczęścia świata tego, nie takie są jako się widzieć dadzą, ale są, jako je apostoł nazwał, malowaniem, rzeczy samęj w sobie nie mające.

Na pańskich śmieciach straszliwsza jest moc Boska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszliwi są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im Bóg mówi: „Ucichnij! póty wylewaj, tu stój,“ gdy im koniec żywota zamierza i moc ich króci. Nie wielka siła trzcinę złamać i ubogiego umorzyć, ale żelazo przełomić, króle i pany zniszczyć, to moc jest najwyższa i straszliwa, której się wszyscy zawsze bać mamy.

Nakoniec większa jest szkoda i żalność z pańskiej śmierci, niżeli z ubogiego; bo panowie i królowie dobrzy, wielkie pożytki ludziom czynią, rządem, sprawiedliwością, obroną: pokojem i czujnem o poddanych swoich obmyśleniem. Gdy król Saul zabity jest na wojnie, kazał Dawid białym głowom płakać, mówiąc: „Córki Izraelskie płaczcie nad Saulem, który was odziewał jedwabiem w rozkoszach, który dawał ubiory złote strojom waszym,“ Pewnie ręką swą Saul niewiastom poddanym niedawał ubiorów; ale je dawał obroną i pokojem,

za którym się bogactwa i dobre mienia rozmnażają pod pany, którzy miłują swój lud. Jako był on Machabeusz i bracia jego miłośnicy narodu swego, dla którego radzi zdrowie swoje kładli; gdy w bitwie poległi, płakał lud mówiąc: „Polegli mocarze, którzy wybawili lud Izraelski.“ Nad Abnerem, gdy umarł, Dawid płakać też kazał, bo wiele wszystkim na jednym królu, albo hetmanie dobrym zależy. Gdy dobry pan umrze, słusznie jako jest u proroka mówić i żałować mamy: „Upadła korona z głowy naszej, biada nam, żeśmy zgrzeszyli.“ Acz też z drugiej strony wielka jest ludziom ochłoda i radość, gdy zły pan i niepożyteczny albo tyran umiera. Bo inaczej światby nigdy pokoju nie miał, gdyby śmierć nie pomagała. A kto go ukróci? a kto złego naprawi? a kto jadowitego lwa i wilka, który się ludzką krwią karmi, uskromi? sama śmierć, która w tej mierze bardzo jest pożyteczną, iż złym nie da na wieki grzeszyć i szkodom i niepokojom ludzkim zabiega, gdy tyrany i niesprawiedliwe morzy i zabija.

Nie o takich nam teraz rzecz, ale o tej wielkiej królowej Annie Jagiellonce, której żałośny ten pogrzeb czynim, która nietylko szkody żadnej królestwu temu i ludziom swym nieczyniła, ale osobliwą miłością narodu swego będąc, wielce im pożyteczną była; pokój, dobre ich rozmnażała i z wielkich trudności wyrwała, iż zejścia jej bez żałości i serdecznego bólu i wylania łez naszych wspominać nie możemy. Nietyle wszystkim pożyteczna i rzeczpospolitą i poddanym swym jako matką była, ale tę cnotę przelożonych dobrych z przodków swoich wzięła i ona rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła. Prawnuczką jest Jagiellą, ta Anna królowa, który Litewskie szerokie państwa z koroną tą złączył, poznaawszy Boga prawego, cały naród litewski mu uzyskał,—córką jest Zygmunta. On między wszystkimi braty swemi w panowaniu najślawniejszy i najszcześniejszy był,—wielki obrońca wiary, nabożeństwem Bogu miły, zwycięstw wielkimi sławny, nieprzyjaciółom koronnym straszliwy, domowym swym wdzięczny, miłośnik wielki ludu swojego, mądry, sprawiedliwy, cnot chrześcijańskich pilny. Między czterema córkami Zygmuntowemi, dla wielu niebezpieczeńści, które Bóg przez nią oddał, została.

Młodość i jej i wychowanie przystojne królewskiej dostojności i chrześcijańskiej było. Od starszych swoich wiary kallickiej nabożeństwa przyuczywszy się, dziwnie je rozmnażała

i statecznie w nich trwała. Na modlitwie i kościołach wiele godzin, nad zwyczaj i siłę niewieścią trawiła między pospólstwem, nieznaną, jako uboga jedna w kościele zostawała, zwłaszcza w Warszawie u Bernardynów. W postach była bardzo surowa, zwłaszcza, gdy do ŚŚ. Sakramentów przystępować miała, albo gdy w potrzebach pospolicznych jakie modlitwy nakazane były; albo gdy mąż jej Stefan na wojnie przemieszkował. Srody nigdy jedzeniem mięsa, aż do śmierci i z czeladką swoją nie przestąpiła. W ceremonjach i służbie kościelnej tak była umiętna i ćwiczona, iż sama kapłanom, zwłaszcza Warszawskim, za biskupa i wizytatora stała i na nią się w pilności służby Bożej oglądać musieli. Miłowała stan paniński i w nim miała wolę zostać aż do śmierci, by jej była miłość ku rzeczy pospolitej i ojczyzny, uspokojenie królestwa tego nie odradziło.

Po wszystkiek wiek swój żadnej nigdy przymówki, ani podejrzenia ze strony skromności nie miała i była zawdy wszelakiej nieuczciwości nieprzyjacielem, swoim nie przepuściła, i dlatego wiele przesładowania i frasunków od wyższego stanu białychgłow cierpiała. Żywot wszystkiek jej pełny był frasunków i utrapienia, na których królom i wielkim stanom nie schodzi; drudzy mniemają, że to największe szczęście na świecie królem być albo królową; a wysokie drzewa więcej wiatrom mocnym podległe, częstsze na nie troski i bojaźnie, na wyniosłe wieże częściej gromy biją. Bardziej ich każda krzywda i nędza boli, bardziej ich każdy przypadek stroszcze.

Z młodości patrzyła na śmierć ojca swego Zygmunta wielkiego, patrzyła na smutny odjazd matki swojej Bony z Polski, po której z siostrą Katarzyną zostając i ona się ciesząc, i tę pociechę żegnając ją do Szwecyi utraciła, i sama w sieroctwie wielkim została, które acz król August opatrował, jednak srogię przypadki przymieszane były, w których oczu swoich od Jez nie osuszała. Przypadła ciężka pokusa wszystkiemu królestwu, a jej najbardziej jako ostatnie osierocenie: śmierć brata jej króla Augusta, bez zostawienia potomka płci królewskiej. Sama tylo we płci swój z domu królewskiego zostając, oczy wszystkich ludzi na się obracała. Przychodziły na nią takie czasy, iż w niedostatku niemalym zostawać musiała, nie wiedząc czém i kuchnią opatrzyć. Raz nie została jeno przy

jednym kubeczku srebrnym, na który, aż do śmierci *sierotką* go zowiąc, rada patrzyła.

Na wielkie zamieszania w królestwie podczas *bezkrólewia* i rozdwojenia ludzi patrząc, gdy jedni tego, drudzy owego, niezgodnie i z niebezpieczeństwem ojczyzny obierali, jako była wielka miłośnica ojczyzny swojej, na modlitwach i postach prawie omdlewała; kapłany i inne, które mogła nabożne, do wołania ku Bogu, pobudzając. A gdy jej większa część Stanów koronnych dała znać, iż pokój i utrzymanie ojczyzny, inaczej stać nie może, jedno, żeby *wojewodę Siedmiogrodzkiego Stefana*, za małżonka wzięła, długo się rozmyślając, uczyniła nareszcie miłości ku ojczyźnie zadosyć, i na męża takiego przyzwoliła. Z czém się często i przed ludźmi nietyło przed Bogiem oświadczała, iż to z samego szczerego ku ludu swemu baczenia i chęci uczyniła. Co się nam wszystkim i koronie szczęśliwie powiodło. Bo za takim małżeństwem pokój i jedność królestwu się wróciła, i cokolwiek dobrego i sławnego, i tój R. P. pżytecznego Stefan, król wielki, dzielny i mądry, małżonek jej uczynił, to się słusznie ma przeczytać jej ku ojczyźnie miłości.

Lat jedenaście z Stefanem wojennym przeżywszy i z jego się rycerskich niebezpieczeństw frasując, a zwycięstw gęstych i mądrego królestwa sprawowania pociechę mając, wielkiego smutku z śmierci jego zażyła i nowe się trwogi dla *bezkrólewia* otworzyły, w których ona znowu do zgody lud przywieść chcąc, życzyła siostrzeńcowi swemu *Zygmuntowi*, dzisiejszemu panu naszemu jako własnemu synowi, królestwa. Do czego, za jakim staraniem i uczuciem i pilnością za kłopoty wielkimi i nakłady przyszła, wy lepiej wszyscy pamiętacie. Jakie miała przesładowania i bojaźni od przeciwników tój elekcyi, wiecie. Wojny one i obleżenie Krakowa jako ją dręczyły? U Piotrkowa z jaką się trwogą i bojaźnią do Warszawy wracała? Jednak po wielkich troskach pocieszył ją Bóg, iż ośm lat patrzyła na królowanie jakoby syna swego, iż oglądała tego potomstwo, wnuczki swoje, córeczki i syna króla *Imści* na ręku swoich piastując. Lecz po tój pociesze nastąpił kłopot nieodbyty, to jest ostatnia niemoc i śmierć bliska. i t. d.

Bitwa Obertyńska.

Stanisława Orzechowskiego (po polsku pisana)

Skoro Hetmanem Jan Tarnowski został, Piotr Wołoski Wojewoda, podniósł walkę, hołd rzuciwszy, na króla Zygmunta, hołdownego swego Pana. Posłan był na niego Jan Tarnowski Hetman Wielki z pięcią tysięcy ludu tylko, między któremi młodzików, aniżeli ćwików więcej było. Widział Jan Tarnowski, że go Wołoszyn był przesiągl ludem i mocą: wiedział téż w wojsku swoim być trwoę i rozpacz, jako to zwykło na młodziki, którzy Tyrones po łacinie się zowią. Chcąc tedy niebywalce one na nieprzyjacielu z nienagła zaprawić, a serca im dodać, u Grudca na Pokuciu z sześciu tysięcy bitwę zwiódł, i nieprzyjaciela poraził: w której bitwie, acz sam Gospodar Mołdawski nie był, a wszakże onym szczęśliwym początkiem, tak był młodziki swe Tarnowski zaprawił, że z chucią wszego wojska naprzeciwko Gospodarowi same-mu ku Obertynu obozem pociągnął. Miał Piotr Wojewoda pięć i dwadzieścia różnego ludu tysięcy: miał nakoniec wszemi rzeczami przeciwko naszym przyprawne wojsko. Który to Piotr wiedząc o małości wojska polskiego, hardzie i swobodnie nocą przyszedł na obóz nasz, urągając, wyzywając, i hańbiąc wojsko polskie nasze. Wtenczas Jan Tarnowski Hetman pokazał się czém był; albowiem sprawiwszy wojsko porządnie, sam na krzyż między wozy upadł, wzywając przeciwko mocy onój wielkiej Wołoskiej, ratunku Bożego na pomoc; polecając ziemie Ruskie, sam siebie, i wojsko swe w obronę przeciwko mocy onój, Panu Bogu. Takowe nabożeństwo niezyczliwi jemu za bojażń poczytali: co i ja im przyznawam i powiadam, że sroga tam tego Hetmana bojażń natenczas była! Bał się o Ruskie ziemie, które na bitwie onój jako na szanću były wystawione; bał się o cześć Królewską, o którą Zygmunтови Królowi z Hołdownikiem swym szło: bał się o wojsko swe jemu zwierzone; bał się sam o się, jako człowiek śmiertelności poddany. Bojażń tedy ona była, która tam wtenczas męstwo Hetmana ostrzyła. Strach ci męstwo pokazuje. A przeto Jan Tarnowski w onym wielkim strachu będąc, ku samemu się Panu Bogu uciekał, widząc nikczemne być siły wojska swojego, i to téż pewnie wiedząc, iż nie w wielkości ludu, ale w siłach

Bożych położone są wszystkie ludzkie zwycięstwa. Jako ta pokora wielkiego tego Hetmana u Pana Boga ważna była, wnet się na świtanu ukazało. Albowiem dał mu był Pan Bóg serce mężne, sprawę mądrą, rycerstwo posłuszne; przeto on oną małością wojska swego, wielkie i nadęte wojsko Wołoskie poraził. Piotra Wojewodę rannego, i ostatek wojska jego gonił, działa mu pobrał, ziem Ruskich obronił. Pokucie wygrał, sprawiedliwość Pana swego i króla wszemu światu okazał. Czego wszystkiego w wielkiej pokorze płacziwemi dziekami ku Panu Bogu używał, jemu samemu cześć i chwałę oddawał, rycerstwo swe umiłował, i każdego cnotę, i mężstwo bez zwłoki wystawił, upominki wszystkie tak od króla, jako od innych Panów sobie posłane, między Rycerstwo rozdawał, zbite ludzie znaczne, z płaczem pogrzebował. Takię ci pokorę w wielkim zwycięstwie zażywał, że go nikt nigdy nie słyszał tak mówiąc: poraziłem, wygrałem, ale: porażiliśmy za łaską Bożą, i sprawiedliwością Pana, a Króla naszego. O cnoto! jakoś ty dzielna! Paniś jest, gdy na swego trafisz!

Po tej sławnej bitwie ruszył się do Zygmunta króla pana swego. Gdy od Mohiły ku Krakowu się przybliżał, Rada Koronna, i Duchowieństwo, i wszystkie Kraków jezdno i pieszo przeciwko niemu wyszedł, witając. Toczono naprzód odbite działa sztuk kilkadziesiąt, na których były herby polskie, przez Olbrychta króla w Wołoszech na Bukowinie stracone. Więźnie też znaczne, Wołoską radę przed nim wiedziono. Lud ten pospolity Krakowski palcem sobie na działa i więźnie pokazywał, mówiąc: „ten jest Logofet Kanclerz ziemię Mołdawskiej; ten Hetman Mołdawski, Dwornik Burkulap: to wszystko był Król Olbrycht na wojnie potracił, co teraz nam Pan Bóg do naszego Krakowa wraca; bądźże Tobie Boże chwała; a ty bądź zdrów Tarnowski, bądź nam szczęśliwym Hetmanem,“ i tak tryumfując na zamek wjechał.

Tam w kościele naprzód przed głównym oltarzem na swe kolana z radami Koronnemi upadłszy, Panu Bogu dziękował, że posługę jego i królowi Panu zwierzechniemu, i wszystkiemu narodowi poszczęścił. Po modlitwach onych chorągiew ziemi Wołoskiej z wielką bawołą głową i z innymi chorągiewkami mniejszemi, na wojnie Wołoskiej zdobytemi, na grobie świętego Stanisława zawiesił, nie ku chlubie swój, ale ku chwale Bożej, i ku ludzkiej wiecznej pamięci.

Potym z kościoła z wielkimi tłumy ludzi wyszedł Jan Tarnowski ku Królowi. Gdy na pałac wchodził, tę cześć Zygmunt król, temu hetmanowi wyrządził, której był za wieku królowania swego żadnemu hetmanowi nie wyrządził. Albowiem on wielkiej powagi król z miejsca swego królewskiego powstał, i przeciwko niemu aż na ganek wyszedł. Tamże Jan Tarnowski Zygmunta, jako poddany, a hetman Króla swego z wielką uctością witał. Summa witania była, dzięki wprzód Bogu za zwycięstwo, a pokorne do Króla upominanie, aby drugi raz Bogiem nie kusił: mało ludu przeciwko nieprzyjacielowi wielkiemu na harc sadowiać. Po tym mężstwo rycerskie (a o swoim nie) opowiadał i prosił Króla, aby rycerstwo miłował. Na co Król łaskawie odpowiedział, zdrowia i szczęścia się jego radował, łaskę jemu i rycerstwu obiecał.

Wykład cnoty.

Jana Kochanowskiego.

Cnotę i w nieprzyjacielu, i w nieznanym milujemy. Ale to słowo cnota wiele w sobie zamyka. Naprzód mądrość, która czego szukać, a czego się chronić, uczy. Potem sprawiedliwość, która każdemu, co jego jest dać każe. Trzecia wielkość umysłu, która na wzgardzeniu rzeczy doczesnych zależy. Czwarta, skromność tak w mowie, jako i w uczynkach. A z tych czterech cnót, jako czterech studziń, wiele innych cnót pochodzi, które cbyczaje ludzkie naprawiają. Na rozumie zasię nauki się przyjmują, których jest wiele najpierwsze miejsce, rycerskie i prawne, po nich nauki wyzwolone mają.

Dwie tedy rzeczy człowieka szlachcią, obyczaje a rozum; obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauk: obiedwie rzeczy w sobie mieć rzecz nieprzeplacona jest człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie, niż przy nauce zostań: bo nauka bez cnoty jako miecz u szalonego, i sobie i ludziom szkodzi; cnota, choć dobrze sama będzie, chwalebna jest i pożyteczna. Miłują tedy ludzie cnotę, a przy cnocie nauki, miłują też i pożytki. A prostych ludzi nieczem rychlej nie przybawisz, jako hojnością, a dary: ale taki przyja-

ciel trwały nie jest, albowiem datek więcej, niż ciebie miłuje, a kiedy nie będzie co dać, i przyjaciela nie będzie, okrom którzy na dobrodziejstwa pamiętają, których bardzo mało.

Trzeba tedy dwie rzeczy w tej mierze. Naprzód abys tak dawał, jako być zawždy dostawało. Druga, abys tym dawał, którzy tego są godni: bo dobremu dobrze czyniąc, sobie dobrze czynisz. Ale i słowy może człowiek pożyteczni być drugiemu, kiedy mu w jego potrzebie poradzi; kiedy go z jakiej nieprzystojnej sprawy wystrzeże: za to wszystko człowieka ludzie miłują.

Trzeci sposób jest zachowania dostawać, kiedy kto komu jest ku rozkoszy; w czym tego trzeba przestrzegać, aby dla podobania komu, przeciwko enocie, a przystojności nie się nie występowało. Chwalić go nie tak w oczy, jako przed ludźmi, kogo chcesz przyjacielem mieć, dobrze.

Ale że jest rzecz niepodobna wszystkim się podobać (bo co jeden miłuje, drugi się tym brzydzi), dosyć będzie, kiedy ten który zachowania szuka, enotliwie a przystojnie się w każdej rzeczy zachowa, przeczby go każdy słusznie miłować miał. Czego jeśli dostąpi, nie jego wina będzie (bo on wszystko uczynił co mógł,) ale tych, którzy enoty nie miłują.

Ale i wiele przyjaciół sobie jednać, nie jest do końca dobrze: albowiem miłość roztargniona na wiele części, nie tak mocna, jako spólna, a spojona, a kto kogo pomału miłuje, tego też pomału miłują.

Moja rada tedy, aby człowiek niewiele przyjaciół miał, ale takich, którymby się dufać godziło.

Jednakie też obyczajaję, jednakie zabawienie człowieka ku człowiekowi pospolicie ciągną; jako żołnierz ku żołnierzowi, myśliwiec ku myśliwcowi zawdy się ma.

Ale jako złota w ogniu, tak przyjaciela w potrzebie doświadczamy. Jeśli tedy na towarzysza co przyjdzie, pomnij, że na ten czas masz miejsce okazać się, jeśliś mu przyjacielem: bo pochlebce pókiś w szczęściu, jako cień w jasny dzień, tak cię naśladują: jako najmniej fortuna zmyli, równie jako i cień, kiedy słońce za chmurę zajdzie, ani wiedzieć gdzie się podzieją. Przystoi tedy prawemu przyjacielowi, na złość fortunie, która niestała jest, przy towarzyszu mocnie stać.

Ale że fundament przyjaźni cnota jest, niech się o to czło-

wiek naprzód stara, aby co najlepszym był: potym będąc sam dobrym, u dobrych przyjaźni szukał.

Gnuśny, utratny, łakomy, zwadliwy, niedobry przyjaciel. Dobrodziejstwo, nadzieja, miłość, nauka, powolność, pochlebstwo, wszystko to nam miłość u ludzi jedna.

Dwie są przyczyny, które miłość w ludziach pobudzają: rzecz własna, a to co w sobie ma godność miłości, albo co jest godne miłowania.

O Miłości nieprzyjaciół.

Z mów Fabijana Birkowskiego.

...—I któż może być szaleństwo większe, jako chcieć być szalonym dla tego że drugi szaleje? Co mi za rozum, abys ty czynił źle, że drugi złość uczynił? Bo nieprzestaniesz ty złym być, jeśli temu któryć krzywdę wyrządził, złość wyrządzać albo równą, albo większą będziesz; bo kiedyż niesprawiedliwość w sprawiedliwość urosnie? kiedyż krzywda niewinnością będzie zwana?

Grzech grzechem nie da się się znosić: głupia tedy sztuka, krzywdę czynić, niesprawiedliwym być, chcieć grzeszyć, żeć drugi krzywdę czyni, albo czego się wielkiego dopuścił przeciwko tobie. Pytam ja ciebie, gdybyć się trafiło iść drogą błotną, i trafiłbyś na kogo, któryby cię nicobacznie kroplą jedną, albo dwiema oprysnął onego błota; a ty się rozgniewawszy, abys zemścił despektu, wskoczyłbyś w środek onego błota tym umysłem, abys go też wzajem popluskal; któżby się wstrzymał od śmiechu? i mądry i głupi—każdy śmiałyby się z ciebie, i gardziłby tobą, żeś się tak pomazał. Coś takowego podobnego temu czynisz, gdy żebyś się krzywdy twojej zemścił, drugiego przeciwko prawu Bożemu obrażasz.

Cobyś mówił o tym, gdybyś widział kogo, żeby nieprzyjaciela ranił, puinału dobywszy, naprzódby serce swoje przebil, aby piersi swoje zraniwszy, tymże puinałem obrazil nieprzyjaciela, który z trafunku za nim z tyłu stanął? Przez swoje piersi puinałem sięgasz nieprzyjaciela! Co czynisz? głupecze! Taką sentencyją wydaj sam o sobie, gdyś dla zemsty nieprzyjacielowi czei uwłókl, gdyś go z majątności złupił, a co największa,

zdrowiaś go pozbawił; bo te wszystkie rzeczy złe, iże są doczesne, nie barzo mają bydź szacowane, a zgoła mniej, niż te szkody, któreś sam sobie zadał, gdys sam nad sobą katem zostawał. Pierwężs zabijał duszę twoję, anizeliś ciało drugiego zranił; abowiem kto nie miłuje, ten trwa w śmierci. *Joan 3v, 14.*

I zaprawdę ci, którzy *zemtę* z braciej sobie czynią, słusznie pszczele podobnymi mogą bydź nazwani, która gniewem zapalona w koło lata, bęczy, i nakoniec troche człowieka zakole, ale z więtszą swoją szkodą, a niż tego, którego żądłem zraniła; bo ten trochę błota wzięwszy i przyłożywszy, prędko bywa uleczoney, a pszczoła nieszczęсна zdycha: gdy się mści, duszę gubi. Tak pszczołom swoje nieprzyjacioly słusznie przyrównywa *Dawid 1 Psal. 117s. 12:* Obtoczyli mnie jako pszczoły. Zaprawdę rozgniewanego człowieka myśli jako z Filona Hieromin S. mówi: są rodzaje jaszczurki, które jelita matki swěj przegryzają z cudownej tajemnice przyrodzenia.

Co iż tak jest, ruszyło to barzo serca szlachetnego Platona, że się nie lenił napisać prawie chrześciańskiej sentencyj w dyalogu, któremu dał tytuł *Kryto*, w te słowa: Zadnym sposobem nie trzeba krzywdzić, byś tóż i ucierpiał krzywdę jaką, abys się zemścił jako w spółstworozumie. I Plutarch toż mówi w książeczce, której dał tytuł: *De capienda ab inimicis utilitate*. Gdy się poda (mówi) okazyja pomsty nad nieprzyjacielem, puścić ją mimo się, jest to serca równego, a kto się zmiłuje nad nieprzyjacielem udręczonym, i ratunku daje potrzebny, tego wszyscy miłują, chwalą, dla ludzkości jego i dobroci. I toć jest o co spytany niegdy Dyogenes: Jako się mam pomścić nad nieprzyjacielem? króćce, ale barzo do rzeczy odpowiedział: Dobrym bądź. Nad-to gdy kto nieprzyjaciela swego chwali, więtszą ma ztąd chwałę, a niż ten sam, którego chwali. Powiadają o Cyceronie, że miał tak o Cesarzu mówić: Gdy zakazał statuj Pompejuszowych obalać, swoje utwierdził.

° Pisze *Aelianus*, iż Arystoteles Aleksandrowi z natury gniewliwemu radę dawał, aby rozumiejąc o sobie, że jest nadewszystkie, pogardzał złą mowę innych. Acz chrześcianin

nie ma tak pogardzać złą mową, jakoby lepszym był nad złorzecznika, ale że mężniejszym jest nad złorzeczeństwo. Wszelka abowiem krzywda mówi Tertulian *lib. 1 de poenit.* bądź od języka, bądź od ręki wniesiona, gdy trafi na cierpliwość, tak zginie, jako więc strzała, która trafi na twardą skałę, otrąci się, skrzywi się, i tamże zaraz upadnie, nic nie sprawiwszy; a drugdy odbiwszy się, tegoż uderzy, który ją wystrzelił: zgoła dlatego cię kto obraża, abys bolał, abowiem pożytek obrażającego jest w boleści obrażonego. Przetoż gdy pożytek jego wywrócisz nie bolejąc, musi on sam boleć, iż stracił pożytek swój. Jest to własna prawdziwej spaniałości, mówi *Seneca lib. 3 de ira cap. 25* nie poczuwać się byż uderzonym. Tak okrutna bestya na szczekanie psów ledwo się obejrzy: tak uderzony wał morski o wielką skałę skacze. Kto się nie gniewa, ten stoi krzywdą nie poruszony; kto się gniewa, już się ruszył: nie krzywdę tedy cierpieć, ale krzywdę czynić, abo nie umieć cierpieć, zła jest rzecz.

Nauczył tego nadobnie Ś. Jan Złotousty *Homil 76* „Jako (mówi) żaden nas obrazić nie może, jeśli sami od siebie obrażeni nie będziemy; tak jeśli się sami nie zganimy, żaden nas inny nie zelży. Dajmy jakiego cudownego i znakomitego męża, którego wszysecy zowią złodziejem, grobowców otwieraczem, mężobójcą, rozbójnikiem. Niechaj że się on o to ani gniewa, ani to za przykre znosi, ani na się żadnej rzeczy czuje, któraż, proszę, nagana go obrazi? Żadna zaiste. Co rzeczesz, jeśli go tak wiele ludzi w złej opinii mieli? Żadna go nagana nie obraziła: ale oni się sami zelżyli, którzy go za inakszego człowieka udawali, a niż się godziło. Powiedz mi, proszę cię, gdyby kto słońce zwał ojcem ciemności,—słońcu, czy sobie ten uwłókl? Sobie pewnie samemu, gdyż przyszedł o mniemanie szalonego i nie całego rozumu. Takimże kształtem, którzy złych dobrymi zowią, i dobrych złymi, siebie tacy lżą. Dobrze mówi Jan Złotousty: Jest to abowiem białogłowska, łajania łajaniem zbywać; bo jako Ambroży S. uczy: Kto się prędko da ruszyć krzywdzie, godnym się czyni zelżywości, gdy chce widzianym byż niegodnym. Te szkody są tych którzy się mścić pragną.

WZORY STYLU EPOKI PANEGIRYCZNEJ Z WIEKU XVII.

Oracya.

Winszuąc Imięnin J. W. Imć Pani Teressie z Wychowskich Sapieżyny Kasztelanowy Trockiey, Starościny Mereckiey ect: Fundatorce Scholarum Piarum Wileńskiego. (początek)

Obowiązana Fundatorskiemu JWW. Mei Pani Dobrodziejki Imieniowi wiecznym wdzięczności Prawem Szkół naszych pobożność, aby się na solenny Pańskich Imięnin rekurs z uprzejmą serc y affektów popisała dewocją, całe chwały y wotów *compendium* w iedney szczególnie Herbownego Abdanku literze koncentruje. N. Należałoby z dozgonnego obligu nie skąpey w szafunku Dobrodzieystw na ubóstwo nasze Pro-wizorce złotym sławy piórem pamiętne następującym wiekom pochwał pisać foliały, w trojakięy kwalitetów istności prawdziwey wieku tego *Teressie*, czyli jedney cnót wszystkich istocie należałoby jednostayną ust wszystkich harmonią, zgodnym wotow popisem solenny Imięnin ogłosić tryumf, wielkich w Oyczynzie Statystow Corce, Dam Sarmackich ozdobie, sławnych Mowcow na powinne werbować Panegiryki, ale z każde wiadoma tey władzy nabydź może niezdolność, aby wybor Pańskich kwalitetow w jakimkolwiek podobieństwie publicznemu na widok wystawiła oku? bo czyli herbowne J. W. Domu Twoiego zważam ozdoby, Rodowity Abdank dla tego podobno Polskiego na piersiach Orła wyrażony, że lubo sobie złotey

ten wolności charakter nieodmienną Regnantów miłość, stateczność Senatu, affekta sprzyjające poddaństwa chęci, wszystkich uprzejme serca zapisuie, przecież trudno mu takiey dobrać ręki, ktoraby doskonale *pretium* tego okryśliła; czyli Seraficznego w Osobie JWW. Mci Pani Dobrodziyeki wysokość miarkują Imięnia, nietylkoś tytułem, ale doskonałym cnót, i życia Patronki naśladowaniem prawdziwa tych wieków *Teresa*, to jest troista doskonałości istność przy której stogębna Krasomowcow perora trzech zliczyć nieumie.

Impety winszujące Imięnin z różnych cyrkumstancyi.

1) *Winszując komu Anielskiego Imięnia.* Luboć w sercu moim ku Osobie W. M. W. Mci Pana *nunquam tardat amor*, przecież *in expressionem* życzliwej Imięniowi W. M. W. Mci Pana aggratulacyi wyżey dnia dzisieyszego guruje affekt, kiedy Anielskie Patrona jego skrzydła wolnego mu dodaią polotu, które ażeby samemu W. M. W. Mci Pana *Signa viarum praeunte volatu* do wszelkich w honorach preeminencyi pokazały, a oraz *in tabulis* niezgluzowaney u świata pamięci *famam scribant perennem*, życzliwe *suffragatur votum*.

Respons. Tymiz Patrona moiego pióry, które życzliwej W. M. W. Mci Panu ku Osobie mojej *suffragantur* propensity wieczną na podziękowanie za winszowny appllauz *in tabula cordis* zapisuie obligacyą, *cum appendice* wzajemnych apprekacyi, ażebyś W. M. W. Mci Pan jako w affektach u wszystkich tak w godnościach nad równych gurował: *Tibi prima feratur, sparssque applaudat gloria pennis.*

2) Przy solennym Imięnin W. M. W. Mci Pana rekursie nie złotym spojone ogniem donatywy, jedynie tylko *vinculum amoris*, nierozdzielny serce obowiązane affektem *in votivum*. W. M. W. Mci Panu *ligamen* konsekruje, to uprzejmych chęci przywiązując votum, aby się W. M. W. Mci Panu od dnia dzisiejszego w niezmierzone lat przeciągi złotym do myśli pasmem fortunne snuły sukcessa, a na długim w Ne-

storowe wieki życia wątku niezbywało: *properent parcae ne-
scium rumpi Tibi destinatos stamen in annos.*

Respons. Luboć nierozzerwana nigdy od pierwszych ży-
cia y poznania początkow z Osobą W. M. W. Mci Pana szcze-
rych affektow *nunquam vincla remittit amor*, dziś jednak w ści-
ślejszy nad Gordyski związek zachodzę oblię, kiedy mię W.
M. W. Mci Pan *vinculo amoris* nowym ścisley przyiaźni tytułem
dewinkujesz, za ktorego powodem jako powoli W. M. W.
Mci Pan chodzić będą *me tua vincla trabent*, tak nim fasciculum
szczerożycliwych wiązę apprekacyi, ażebyś W. Mci Pan *in
funiculis charitatis* wszystkich sobie serc zagarnąwszy dotąd
szczęściem Tymoteusza z Państwy fortunę łowił, aż się sam
honor bliskim W. M. W. Mci Pana wyzna kolligatem.

M o w a.

Prosząc o Dainę Rodzicow przez przyjaciół.

(Zakończenie).

Pozwolże W. M. Pan Przeświętnego Domu *dextro pede
tangere limen*, przyimiy otwartym sercem w Ojcowski respekt
szczyrą do usług W. M. Pana garnącego się powolnością przy-
jaciela, razem y Syna. *et Pater esse velis* przy nas assekuracya,
że będzie *ad mensuram* wielkim W. M. P. expektatywom;
wszak urodzenie Jmci jako *dives avis et utroque Jovem de san-
guine ducens*; tak wszystkim wiadome, a innych talentow znacz-
ny wybor, czyli to *a Parente natura* czyli *a Magsitra experientia
rerum* chwalebnie nabyty głośniey nad Krasomowcow mowi sam
za sobą. *Ipsa sibi virtus laus est, nec fastibus altis erigitur plau-
sumque, petit clarescere vulgi.* A z tąd że oczekiwanych W. M. Pana
nie zawiedzie nadziei, gotowy dowód. Już że tedy W. M. Pan
to nam deklaruy miłościwie, co z łaski na darowiznę chowasz.
Tchnij w łaskawym response swoim *Verbum vitae*, ktorym
Jmć Pan N. w upragnionych chęciach ożywiony, gdy życie dla
życia, bo kochanego z ręki W. M. P. odbierze przyjaciela,
y Jego jak własne życie pieszczono piastować będzie, y oraz

z nami W. M. Panu żyć będzie w obligu wdzięczności nieśmiertelnym: *Ipsaque post verus funera vivet amor.*

M o w a.

Oddając Pannę Młodą.

(skrócone).

Nic więcej od akcydentalnego w życiu błogosławieństwa zgodniejszego, jako w miley z przyjaciелеm żyć y umierać komitywie N. N. Niechay kto na pieszczonym przychylney fortuny spoczywa łonie, niech serce w nieoschle pomyslnych szczęśliwości opływa kanary, jeżeli kochany przyjaciel troskliwych w życiu nie cukruje momentow, gorzkim stanie słodycz w gardle piołunem, oplakany wesołości smutkiem *nullius boni fine amico jucunda possessio.* Jakoż kto przyjaciela nie ma, jednym całe życie kłopotem: *sine amico omnis cognatio est taedia, omnis terra peregrinatio, omnis vita tormentum,* kto go z Boskiego odebrał Dekretu, z nim jedyne chęci *coronamentum,* serce serca *in Convictorem* życia y przygod, z nim *pretiosum et speciosum thesaurum* w którym wszystkie życia błogosławionego losy zamknęła fortuna: *amicus fidelis medicamentum vitae.* Tegoż dziś błogosławieństwa y szczęścia odbierasz Maxymę Mei Panie N. kiedy *dotibus et fortuna parem,* urodą Pulcheryą, wspaniałością Augustę, wszystkimi wdziękami jedną z trzech odbierasz Gracyi. Nietrzeba tu *verborum colore* Jmć Pannie dodawać lustru, którą tak natury jako i fortuny wyborem wdziękow łaskawe utalentowały nieba. Wszak jeżeli pięć najosobliwszych Talentow przezorna w Damach upatrzyła starożytność: *sit pia, sit prudens, pulchra, pudica, potens.* Nad tych wymiary i liczbę większa się nie równie w Osobie Jmć Panny zacnych przymiotow aukcya wynajduje. Żyie w niey pobożność, którą jako z kandorem dziecinnego mleka z piersi wysła Macierzyńskich, tak teraz *intaminatis fulget honoribus;* kwitną wstydu różę, którym purpurowego glansu bez podchlebstwa może ustąpić Jurtrzenka, tey kształt urody i symetrya, którey owe gładkości *dolum* wstydzić się może, któremu kłamliwa poety podchle-

biła Muza: *Nec Tibi par usquam Phrygiae, nec solis ab ortu inter formosas altera nomen habet.* Bierz że już Mci Panie N. *in sociam vitae* szczęścia i przygod Towarzysza Jmć! N. Bierz tak zacnego przyjaciela, ostatnią nadzieję! koronę, niech dalszych szczerze przydadają Nieba: *feliciter aevum ducite concordēs, sint nati sintque nepotes, cernat et in proavo sibimet quod pronepos optet.*

Impety winszowne Stanu Matzeńskiego.

Kiedy dnia dzisiejszego łaskawe Nieba umartwione dotąd codzienny w oschłościach expektatywy serca i chęci W. M. Pana już to *sertorum vere perenni*, już *coronide* spełnionych skutkiem obietnic koronują, i ia przy jasnych gorącego Hymeneusza pochodniach niezwiędły my przyjacielskich szczeroci explikują kandor przy winszownych doszłego szczęśliwie mariaża applauzach to przydając Votum: ażeby kwitnące W. M. Państwa młodością lata przy czerstwym długoletniego zdrowia wigorze: *in fructus, solatorium* Przeświętnym Familiom, *in Coronam* godnych potomków w Oyczyźnie kwitnely: *Blandos vobis fundant cunabula flores.*

Respons. Nie mogąc *verborum flore* za nie zwiędły W. M. Pana ku mnie affekt podziękować, ile że z owych nie jestem komputu, z których o jednym napisał poeta: *dum loquitur; ver-nas fundit ab ore rosas*, więc kwitnący serca W. M. Pana kandor *florida votorum corona* kompensuję, życząc: niech go szczęściem y fortunami Niebo koronuje, a mnie dotąd *in recenti memoria* nie przestanie kwitnąć, poki zazdrosne parki głowy o fatalny marmor nie uderzą.

M o w a.

Przy depozycyi Ciała J. W. Jmci Pana Antoniego Dunina Regenta W. X. Lit: Starosty Zahorańskiego etc.

Haec requies mea in saeculum saeculi, hic habitabo,
quoniam elegi eam. Psalm. 131 mo:

Ciekawą daleko nie zachodzę kwestyą, kto dnia dzisiejszego wybraną sobie w tutejszym szkoł pobożnych Collegium zamawia stancyą: *hic habitabo, quoniam elegi eam*; nie pytam co za gość w tym Domu Boskim długi aż do dnia Sądnego dla spoczynku oblicza nocleg *haec requies mea in saeculum saeculi* rzecz y pod czas okropnego wieczora przy zapalonych u katafalku pochodniach wszystkim jasnie oczywista stawał co mówię? dał ci by Bog, aby na podporę Przeświętnego Domu, na utrzymanie interestów publicznych powstał, y stanął; ale już upadł, y leży: *superest ex nomine pulvis*; leży w oczach J. O. J. W. Wielmożnego Spektatora J. W. W. X. Lit: Regent! Ten ci to dnia dzisiejszego twardym pióro zahartowawszy żalem, po ostatniey z życia y świata rumacyi, stancyą sobie w podziemnym zapisuie grobie: *hic habitabo* dokąd go owa na ostatnią potyczkę nie wzbudzi pobudka: *surgite mortui ad iudicium*. Ten się do ciemnego przenosi locha, ktorego honor, y sławę herbowny Łabędź rownym Orła przymiotem do jasnościwnych wyniosł splendorow: *junctisque aera cygnis carpsit iter*. O iak nie spodziana w krotkim czasie odmiana! Tey ci, tey, podpadają ludzkie szczęścia fortuny, successa, alternacie: *miscentur tristia laetis*; tak się przemieniają y przemieniają świata tego stany: *fors omnia versat*. Ale dostoy placu, do upadłej na placu gradywa niegdys stoiący Pułkownik! stoy y osądź W. Regencie, sprawiedliwy sądow Assessorskich Arbitrze czy słuszna życie za śmierć, za grob Pańskie reysteraty, pokoie, krzesła, rezydencye za trumnę, wspaniałe za katafalk kotary równie zamieniać: *quae societas lucis ad tenebras?* Słyszcie! ach słyszcie! co za Dekret z Regentowskiego wypada pióra: *aequa lege necessitas insignes fortitur, et imos*; trudno się ma temu prawu sprzeciwić, ktore równą wszystkich uymuie obligacyą: *aequa lege fortitur*; ten Dom wieczności wszystkim stoi otworem. Tu się nayıpierwsze świata tego stany, tu po woynach Hektorowie etc na wieczny się kładą spoczynek: *Haec requies mea*; tu się nietylko herbowne gnieźdzą Łabędzie, ale też koronne Orły, Jastrzębie, Korwiny, Pogoń, Gryfy, etc z krolewskich bereł na śmiertelny przelatują cyprys: *sic numina fatis volvitur, et nullo Lachesis discrimine sae-*

vi. Ale nie mogłeś się na życie tak ostremu śmiertelney przycięciu kosa, kawalerskim założyć pałaszem W. Pułkowniku? nie mogłeś surowey na gwałt fatów zawziętych rzucić kondemnaty, albo dłuższego przywilej napisać życia, W. W. X. Lit. Regencie? Niemasz, nie y podczas walnego Seymu na śmierć rady! ach iaka zuchwałość zawziętych w imprezie fatów!

Oracya.

Winszując od Herbowney J. W. IMć Panow Łuszczewskich Lilij.

Przy okropnym mroźnych czasów Decembrze *in primo vitae Aprili inscriptus Nomine Regum Flos Nasareth* pożądaną pomysłnych pociech herbownym W. Pana liliom przynosi Wiosnę. N. N. poszedł dawno ten przeświętnego Domu zaszczyt na niezwiędłą wspaniałych Imion ozdobe, gdy już ledwo nie w Dodońskie rozrosł się lasy, w Pestańskie rozkrzewił ogrody, osobliwie jednak dnia dzisiejszego *spem* nie tylko *in herba fovet*, lecz *fructus aureos* szacownych wieków estymacją, honorow *messem auream appromittit*, kiedy od Mistycznego kwiatu niezwiędłego zabrawszy wigoru *in ver gratiarum ac Purpurarum* rozwia się Centyfolie: *Lilia per vernos lucent velut alba colores*, y taki mu przynależało, który w Imperyalne korony przy najwyższych Dygnitarstwach *in titulorum fascies*, przy subselliach w złote kwiaty, *in liliatos equites*, przy latach fortunnych rozkwita: *flores supereminet omnes*, aby przy zimowych kwadrach w kwitniące rozkrzewił się kornukopie, od którego w powinney aggratulacyi niezwiędły zabieram impet apprekacyi, aby roskwitła, W. Panu prognostykując fortunę *aeviternae crescant in floribus horae*, przy hipostatycznej Perle, nie już baieczne iak Hesperyskie kwiaty, ale prawdziwie perłową W. Panu awizował wiosnę: *Perpetuum ver spiret hyems semperque, sit idem floribus honor.*

Impety winszując Narodzenia Pańskiego.

Lubo nigdy powzięty ku Osobie W. M. W. M. Pana affekt przyrodzoną żółwiowi własnością *per devia serpere nescit*, dziś jednak górę biorąc *viam superas molitur ad auras*, kiedy mu *Aquila magnarum alarum* Nowonarodzony Zbawiciel wysokim dosyć polotem bo *Coelo descendit ab alto* do uprzejmych przodkuie aggratulacyi, wyżey iednak *suffragio* życliwych chęci wygorować niemógł, iako kiedy za metę imprezy swoiey godną W. M. W. M. P. zamierzywszy Osobę ztą do stop łaskawych upada *apprekacya*, aby ten mistyczny Orzeł Infant Boski *Solis ales* požądane W. P. intencye w słońcu iasno świętych tytułów wniezgasył požądanego szczęścia stawił południu *Luce magistra sudoresque tuos ingeniumque probet*.

Respons. Kiedy się na doznane w tylu okazyach affektu y łaski W. P. reflektuję dokumenta, wyznać potrzeba, że ieżeli komu z życliwych przyjaciół to W. M. M. M. Panu ku osobie moiey *alas addit Amor*, osobliwie iodnak dnia dzisiejszego tey się na mnie prawdy wypełnia praktyka, kiedy W. M. W. M. Pan *in suffragium* nieustanney ku mnie propensyi lotnych od mistycznego Orła przybierasz skrzydeł, za co gdy z głęboką dziękuję submisją, w rewanż życzę; aby mistyczny ten Orzeł iako affekt Jego tak Samego W. M. W. M. P. w gorę pierwszych w Honorach wyniosł *preminencyi Cantando sublime ferat ad sydera Nomen*.

WZORY STYLU EPOKI KLASYCYZMU W WIEKU XVIII.

Pierwsze Lata Doświadczyńskiego.

Ignacy Krasicki

Ktokolwiek opisanie życia mego czytać będzie, niech wie zawczasu, że to ani spowiedź, ani panegiryk. Nie dla próżnej chwały, ani upokorzenia mojego, tę pracę przedsięwzięłem; ale siedząc na wsi, gdy mam czas wolny, wolę go obrócić na to pisanie, niż łamać kark za zajęcem albo w kuflu podagry szukać.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim: którego roku, nie wyrażam, bo to się nikomu na nic nie zda: do mojej historyi chronologija mniej potrzebna, a mnie téż nie bardzo miło przypominać sobie, że m stary. Gdybym się chciał zasa-dzać na świadectwach konkluzyi i panegiryków, przypisanych przodkom moim, które zbutwiały dotąd u mnie w kaplicy wi-sza, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkimi familiami w Europie; alem ja od téj próżności daleki. Nie-siecki nas w swoim herbarzu, na złość Paprockiemu i Okol-skiemu pomieścił: i mnie samego dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż podczas owego sławnego gliniańskiego rokoszu, Doświadczyński niósł buńczuk przed Rafałem Granowskim, Marszałkiem naówczas i Hetmanem Wielkim Koronnym.

Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się, nadmienić cokolwiek o tych, od których życie wziąłem, to jest poprostu o moim ojcu i o mojej matce. Oj-

ciec mój po stopniach Skarbnik, Wojski, Miecznik, Łowczy, Cześnik, Podstoli, sześćdziesięcioletnie ziemi swojej i województwa usługi, a ustawicznie na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacye, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do Podsejdkowstwa; ale przeciwna cnotcie fortuna nie pozwoliła dojść tego stopnia: prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksją nad marnościami świata tego.

Dopomogła do takowej rezolucyi nader szczęśliwa natura, był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają: Dobra dusza. Nie on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec, a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on, to też samo on nam ustawicznie powiadał; tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczerzy, przyjacielski; i choć nie umiał cnot definiować, umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkosci nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjmąc, jest toż samo, co się z nim upić. Ztąd poszło że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwyreżyło; znosił jednak podagrę sercem heroiczném; i kiedy mu czasem pofolgować, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny. Matka moja z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała poblizsze miasta: zkażdy łatwo wnieść sobie może, że jój na wielu talentach terazniejszych brakło. Nie obchodziło ją to bnajmniej; i gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maxymy i dzikosc niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerosci ducha: że woli prostacką cnotę, niż grzeszne występki.

Pierwsze lata niemowlęctwa mojego, przepędzone były w orszaku niewiast; nie dobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i nianki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdym posiedzeniu; potakiwali ziewając sąsiedzi, a nie je-

den byłby może nakoniec i zasnął, gdyby ich był ojciec nie budził częstemi kielichy. Orzeźwieni naówczas, wynurzali kolejną obfite życzenia i prorocтва, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciągu nie raz na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowej edukacyi, i zastanawiałem się nad tém, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się nadto nasłuchał; i częstokroć mimo rozumną konwikeya, muszę się z sobą pasować żebym gusłom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaje bez światła, albo na osobności.

Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaję niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bowały, wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek też przed niemi na drugich mówić, a gdy brakło okazji, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajne o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach: jedna drugiej z kobiet opowiadała, co się jej śniło; a z ich tłumaczeń i wrózek nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa w domu spodziewać się trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrywałem się pilnie wujowi memu, tym bardziej, iż wiedziałem, że go Rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc jeszcze się był nie upił; Księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał.

To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż zemną, nie tak jak drudzy bawił: a co gorsza, zapędzoną w pochwały moje matkę nie pomału, mnie zaś niezmiernie zmięszał, gdy się zapytał, czy ja umiem czytać i pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości.

Pierwszy raz obili się o moje uszy natenczas takowe słowa; matka z początku chciała o czem inszem dyskurs zacząć, ale gdy coraz bardziej nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jej dyskurs pamiętam. Podobno się zdziwisz braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest delikatne, słabe; mogłaby mu szkodzić zbyteńia sedentaryja, którą i nad elementarzem mieć trzeba. Potém, jak sam W. M. Pan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora dali, straciłoby fantazyą: ta zaś raz stracona powetować się nie może. Trudno téż znaleźć doskonałego takiego człowieka jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, jużto ostatnia rzecz, jak mówią, młode żrebię łamać.

Dobrze mówisz moja Panno, odezwał się Jegomość; świętej pamięci nieboszczyk Ojciec mój (Panie! świeć nad duszą jego) toż samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy Jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka do szkół. Opatrzy z łaski swojej miejsce i człowieka, a tymczasem wypijmy za zdrowie Jegomości, mego Miłościwego Pana i kochanego mego dobrodzieja.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno: jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyą. Co raz mowę zaczynał o szkołach; nawet kupiono elementarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak jako była bogobojna, gdy jej w tém uczyniono skrupuł, że mnie na zgubę moją pieści, uczyniła zapewne najheroicniejszą w życiu swoim ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych; ojciec albowiem upornie i z wielką natarczywością ganił domową edukacyę, dla téj przyczyny, że tego przedtem w Polsce nie bywało. Co na to odpowiedziała matka, nie pamiętam, to wiem i dobrze pamiętać będę, że po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szół wyprawiony zostałem.

Kłęska Krzyżaków pod Płowcami.

z Naruszewicza.

Po takich ułożeniach wrócił Szamotulski do Krzyżaków zapewniając o wszelkiem bezpieczeństwie, że Król świadomy dobrze ich większości, myślił tylko o porządnem cofnieniu się, aby z tak niebezpiecznego kroku swoich wyprowadził. Krzyżacy ufając powieści wojewody, jako mającego u nich wiarę zaniechali gotowości do boju: a w przedsięwzięciu tylko uprowadzenia za Wisłę niezmiernych pło-
nów z Kujaw, Sieradza i Wielkiej-Polski zabranych, poczęli ruszać się zwolna, ile przy nadchodzących już jesien-
nych niewczasach, od Prus Otton Wielki Komandor, z nie-
jakim Reus de Plauen, wyszli przodem z częścią wojska, dla
opanowania Brześcia (Kujawskiego). Druga część obciążona
zdobyczą, ciągnąc ku Radziejowu zbliżyła się ku wsi Płow-
com, czyli Blewo, i tam na noc obozem stanęła. Równiny
okoliczne, zdatne do wysworu i bitwy jezdnej, w której naj-
bardziej Król ufał, determinowały go, aby nie czekając da-
lój na tém miejscu spotkał się z krzyżakami, ile już rozdzie-
lonymi na dwa zastępy. Dnia 27 Września 1331 roku ze
wschodem słońca zbliżył się Król pod oboz nieprzyjacielski,
gdy jeszcze krzyżacy spokojnie zasypiali trunkiem całono-
nym rozmarzeni i bezpieczni. Za ostrzeżeniem Setników,
powstała w ich obozie trwoga, tém większa, że na słowo wo-
jewody nikt się nie spodziewał, aby Polacy nastąpić mieli.
Mgła straszna nie dała Królowi korzystać z rozruchu nie-
przyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słyhać
było z obu stron: strony siebie nie widziały. Nieprzyjaciel
miał czas do szyku, a Król też, nim przyszło do sprawy
wymówniejszy wiekiem i pracami podjętymi, niżeli w słowa,
po krótkim swoich upomnieniu, na czele wojska oczekiwał.
Wszakże szanowny Monarcha, w bojach zrosły i osiwiwały
niosąc szczątek życia na ofiarę dobra poddanych, uchylić się
kazał acz poniewolnie, synowi Kazimierzowi oddając go pod
straż szlachcicowi Nekandzie, herbu Topór, aby w przygo-
dzie śmierci ojcowskiej, miał naród mściciela i obrońcę.

Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów i oręż i losy
ich z pomroki wynurzył, ukazał się krzyżacki zastęp straszny

i ścisły. Albowiem komendanci i waleczniejsi bojownicy, żeby się w szykach i związku odstępując, do upadłej bronili, łańcuchami, przez pasy puszczeni sami siebie powiązali. Z pięciu Królewskich hufców poskoczył pierwszy, złożony z nadwornego ludu i przebranego rycerstwa: za nim inne kolejno ze szlachty, z różnych księstw zebranej. A gdy się zmieszaly oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy, choć od przewyższającej liczby wojska ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku dobywali. Wstąpiła w skrzepłe siedemdziesiątletniego starca członki zielona pierwszych lat jędrność. Biegał pomiędzy nieprzyjacielskimi szykami Król waleczny, zaslaniając się puklerzem od ciosów, mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając razy. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy Wojewoda obiecaną nie dawał pomocy, i wątpić poczęto o jego wierze, ukazał się on nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Świeża moc na zmordowanych i niespodziewana, wprawiła Krzyżaków w większą słabość, a dalej w utratę serca, zmieszanie i rozsypkę. Cisnęli ich tym dzielniej nasi i byłaby już wygrana zaraz, gdyby Otton z Plauenem, uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętej bitwie, uciekających swoich nie wstrzymali: za ich nadbieżeniem odnowiła się bitwa, lecz nie nadługo. Zwycięzcy nie chcieli dać sobie wydrżać wygraną: Krzyżacy też znużeni drogą i nie mogąc już do ładu przywieść swoich, podali tył sromotny. Tu już nie była równa walka, ale rzeź i zabój, mianowicie gdy Teodoryk, marszałek, w głowę cięży, dostał się w niewolę z Hrabiami de Plauen i Honstein. Do samego wieczora ściągany i bity nieprzyjaciel zasłał szeroko trupami pola. Legło wiele braci i niemieckiego rycerstwa, a więcej nierównie innego gminu. Liczba wszystkiój straty wynosiła do dwudziestu tysięcy. Z naszych zabito kilkaset, a między innymi znaczniejsi Żegota z Morawicy, Chorąży Krakowski; Krystyn z Ostrowa Chorąży Sandomierski, syn Prandoty, kasztelan krakowski, i Jakób z Szumska, kasztelan Żarnowski.

Z pamiętników Franciszka Karpińskiego.

Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem! Do 400 studentów było w Stanisławowie, cze-

muż ja do dwóch tylko Malickiego i Sosnowskiego tak jak oni do mnie przyłączyli? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w której, prócz poprzysiężenia przyjaźni, była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwój umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak natenczas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tym świecie powiedzieć. Co żeby tém mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże samej mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potem pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciała jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł; jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wypowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, to mi się nigdy nie pokazał! Tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi, czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła. Starszo klasy, jako to: Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami się modlili. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim pod czas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potracali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy poza ławki, z tyłu stanawszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i kościele biją!“ A potem poszedł do

swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kściele.

Krew żywa, która do swywoł poruszała, była mi razem pomocą, zem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej zawsze nauczył, i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydawanych, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyzał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojej religii wpojeniej przez ojca gorąco przywiązany. Nasłuchawszy się żywotów SS. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszej gospodyni, uciekłem w nocy, do blizkiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołądźią, pomału przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zrelektowany, że nie będę mógł do żołądźi przywyknąć. Różga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w oltarzu obraz ś. Sebastjana strzałami pokłutego, przysłała mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem, że Choćim miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatnimi lżyć wyrazami; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwój jak téż na cierpienie, ran jestem wytrzymały. Dużą szpilkę utkwilem sobie w udo. Z bólu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jój uczyć najusilniej; ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francuzku, na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle rozumiana religia połączona z chęcią nauczania się na instrumentacie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na

spowiedzi odradził: nie czynić zle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został. Nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nie więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na taką funkcję. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem zmarł zbieg ów u nowego pana na folwarku. Pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowym: że nie się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega, i że zapewne nie po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódka dworską chłopem wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a którego pewnie krosis choćby uspiła była) ruszać się począł a wreszcie i wicko od trumny zrzucił. Crasy to były, w których najwięcej w upiory wiercono i biedni chłopci zląkszy się, w blizkie krzaki ponciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopca kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił. Póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopci nie dowierzali; ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powrócili, gdzie on przybywszy prosił najusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo „ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc, za jego szkody.“ Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanaw-

szy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącym na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiej izby, gdzie się zamknął. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalekniiony: „Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź miz domu,“ ale przecież poznano po wszystkich przostkach co się stało, i pocziwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Wyjątek z Epoki natury.

Staszica.

Jak piękną jest natura! jak za starannością człowieka słicznie i wspaniale przybrana! on sam staje się jej najpierwszą ozdoba, on jest najwspanialszym dziełem; on swoją sztuką wyjawia to wszystko, co natura zaniedbana kryła w łonie swoim. Jak wiele skarbów było utajonych, jak wiele bogactw dobytych! kwiaty, owoce, nasiona wydoskonalone i rozkrzewione nieskończenie; zwierząt pożyteczne gatunki sprowadzone, powiększone i rozmnożone niezmiernie; gatunki szkodliwe wygubione, zmniejszone i wypędzone zupełnie; złoto i żelazo od złota nierównie potrzebniejsze, z wnętrzości ziemi wykopane; wód potoki wstrzymane, spław rzek ułatwiony, brzegi nad ich koryta wywyższone i wzmocnione; morze samo już poznane, zwiedzona i dokoła objechana; ziemia wszędzie dostępna, wszędzie zaludniona i wszędzie obfita; w bogatej dolinie ciągną się rokoszne łąki, po rozległych błoniach szerzą się żyzne pastwiska, lub miłszy jeszcze widok sprawia bogate żniwo; pagórki okryte winnicą i owocami; ich wierzchołki uwieńczona pożytecznemi drzewy lub młodocianym laskiem; pustynie zamieniły się w miasta bogate, najsłodszy ludem zasiadłe, który zawsze czynny, z nich, jakoby z powszechnego środka, rozchodzi się w pograniczne okolice; drogi otwarte, wolne i ugęszczane

ne; wszędzie przeprawy ułatwione stają się świadkiem siły i jedności społeczeństwa, tysiące innych dowodów mocy i sławy okazują dosyć jasno, że człowiek, pan ziemi, odmienił, odnowił jej wierzch zupełnie i że od wszystkich czasów z naturą pracuje wspólnie. Przecież on nie panuje tylko pod hasłem zwycięstwa; więcej używa niżeli posiada, a nie nie dochowuje, tylko przy codziennem ponawianiu swojej staranności. Niech się bynajmniej opuści, natychmiast wszystko schnie, wszystko się psuje i wszystko powraca do rąk natury. Ta obejmuje swoją władzę, psuje pracę człowieka, zasypuje popiołem i okrywa mchem jego najwspanialsze dzieła; z czasem rozwała je zupełnie i smutne tylko z nich zostawia ruiny, któreby mu tę żalną powtarzały pamiątkę, że utracił to swoim niedbalstwem, co jego ojcowie posiadli pracą. Tych czasów, w których człowiek utraci swoje prawo; tych okrutnych wieków, w których wszystko ginie, zawsze poprzednikiem bywa wojna, a towarzyszem głód i mór. Człowiek, który nie staje się dzielny, tylko przez liczość; który nie jest mocnym, tylko przez społeczność; który szczęśliwym być nie może, tylko przez pokój, zapamiętały na swoje nieszczęście, uzbraja rękę, a na własną zgubę stawia na placu zabójstwa: uwiedziony brzydkiem łakostwem, zaślepiony jeszcze brzydszą dumą, wyrzeka się uczucia ludzkości; obraca cały gwałt na siebie samego; usiłuje sam się zniszczyć i w istocie sam się niszczy; dopiero po tych okropnych dniach krwi rozlewu i wściekłej ludorzezi, gdy zniknie dym czeźej chwały, smutny obumariem okiem spogląda na spustoszoną ziemię; widzi z żalem rzemiosła zagubione, lud rozproszony, narody osłabione, własne szczęście utracone, i istotną swoją moc zniszczoną.

O języku polskim. (*)

przez Jana Śniadeckiego.

Język polski godziż się uważać w swem niemowlęctwie i w tym stanie nieokrzesania i dziczynny, jakby w nim ani rzeczy oddawna znane, dobrze nazwane nie były, ani nazwiska i wyrazy wymawiane i pisane właściwie? Oto pierwsze za-

(*) Porównaj z rozdziałem: O języku polskim Górnickiego na str. (157) i z ustępem z Kremera na str. 43.

pytanie, którem sobie robił biorąc się do pisania w tym języku. Kiedy naród cały, mówił od swego początku tym językiem, stanowiąc i pisząc w nim prawa; kiedy w tym języku ma przelożoną biblię i najszacowniejsze dzieła starożytnych i dzisiejszych narodów europejskich; kiedy tyle posiada rozlicznych wiadomości i nauk w tym języku ogłoszonych; kiedy wydał tylu prawdziwych i wielkich poetów, a w prozie po Reju z Nagłowic, Stanisławie Orzechowskim, Łukaszem Górnickim, Piotrze Skardze, Kazimierzem Kojałowiczem, miał jeszcze znakomitych pisarzy: w Ignacym Krasickim, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Dmochowskim, Hugonie Kołłątaju, Grzegorzem Piramowiczem, Onufrym Kopczyńskim, nie wspominając tylu innych dotąd żyjących: język tylu pracami od trzech wieków zubożony, tylu pięknościami i zaszczytami świetniejący, nie może się uważać w stanie dzieciństwa i niedojrzałości! — Wszystko więc, co było dawno znane, musi mieć swoje nazwisko, które potrzeba tylko w tym języku wyszukiwać i wydobywać z zamieszania a na rzeczy dawno wiadome nowych słów i nazwisk stwarzać się nie godzi.

Nie godzi się też słów i wyrazów znanych i powszechnie przyjętych wykrzywiać, przerabiać i odmieniać. Bo jeżeli chlubić się z tego, czego inne europejskie narody za sobą nie mają, że rozumiemy wszyscy język wieku Zygmunta, starać się powinniśmy, aby ci ojcowie mowy naszej, gdyby wyszli z swych grobów, w rzeczach sobie znanych mogli nas wzajemnie rozumieć.

I na tém zdaje się mi polegać stałość, ocalenie i zachowanie narodowego języka. Język nie jest strojem kobiecym wystawionym na dziwactwa mody i wymysły przymilenia, któreby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potem porzucić i zaniechać. Jest to owszem ustawa, wskazana przez towarzyską potrzebę; wyrabiana wiekami ze skłonności, obyczajów i charakteru narodu, doskonała postrzeżeniami i talentem znakomitych ludzi, a utwierdzona zgodnym przyjęciem i powszechnym całego ludu używaniem. Tak ustanowiony język jest znamieniem rozróżniającym od siebie narody i ich pokolenia tak jak imiona, nazwiska, herby i przydomki, rozróżniają osoby i familie w towarzystwie. Jeżeli więc każdy obraża się i oburza, kiedy kto jego nazwisko przekręca i kaleczy, albo co

w jego znakach i herbie odmienia: z równą słusnością urażać się powinien naród, kiedy kto ośmiela się przerabiać i odmieniać jego język i wyrazy od dawna i powszechnie przyjęte. Dla tego taki krok nieuwagi, nie wiem czy złe, czy dobrze, brałem zawsze za winę obrażonego narodu. Wszystkie oświecone Europy kraje tkliwe są na podobne wykroczenia, i przebaczać im nie zwykły. Wiemy na jak skrzętne szpiegowania, na jak uszczypliwe wyrzuty i szyderstwo wystawiona była akademija francuzka w Paryżu trudniąca się doskonaleniem języka, ilekolwiek razy chciała się odważyć na jaką w języku lub jego wyrazie odmianę!—Naród, który wydał tylu wielkich pisarzy, uważał swój język, jak ową Arkę świętą, której nie godziło się dotykać, tylko uprzywilejowanym, to jest nadzwyczajnym talentem udarowanym ludziom. W wszystkich fabrykantów nowych słów i odmian okrywano obelgą i szyderstwem, i ogłoszono jako nieumiejących języka. I lubo w tym narodzie do przesady skłonny, często zbyt daleko posuwano tę żarliwość, wszelako ostrość ta i surowość miała swoje pobudki w miłości własnej, i dumie narodowej.

Język jest skazówką stopnia, do którego przyszedł naród w cywilizacji i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny, nieokrzesany, ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli i namiętności w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach; jeżeli prawidła jego nazywania, wymawiania i pisania nie są ustanowione i dobrze oznaczone, naród nie wyszedł jeszcze z dziczyny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należeć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmunatów i Stanisława Augusta? Na co stawiamy na naszą chwałę tyle dzieł wzorowych w różnym rodzaju nauk i wiadomości? Na co w tych dziełach wychwalamy tyle zaszczytów dowcipu i umiejętności, na co uwielbiamy języka naszego jasność, bogactwo i dzielność, jeżeli w XIX wieku pozwalamy twierdzić i drukiem ogłaszać potrzebę przerabiania nazwisk, sposobu ich inaczej wymawiania i pisania, w rzeczach i myślach potocznych? Cóż nam po prawidłach grammatycznych przez Kopeczyńskiego tak pracowicie wyszukanych, tak umiejętnie i gruntownie dowiedzionych, jeżeli ich nie mamy słuchać i zachowywać w pisaniu? Na co się zda ogrom tak potrzebnych, tak nieocenionych mozołów Lindego w jego sło-

wniku na to sporządzonym, aby nas obeznać z rzetelném znaczeniem i wdroyć we właściwe użycie słów i wyrazów? Na co się, mówię zda tak ważna robota, jeżeli się utworzyła nowa i bogata mina geniuszów, reformatorów, i fabrykantów słów, którzy depreczając wszystką powagę wielkich pisarzy, podają się i ogłaszają za doktorów narodu?

Takiem sobie w bolesnem wzruszeniu porobił pytania, kiedy mi wpadły w ręce książki i pisma, w których, jak gdyby w szpitalu chromych i kalek, znalazłem wyrazy prawdziwie polskie i czyste, zmienione, powykręcane, i jak na łączu tyrańskim Prokusta, obcięte i podręczone; inne znowu bez żadnej potrzeby niezgrabnie potworzone i polepione! W innych krajach ludzie bardzo długo są uczniami wielkich pisarzy, pracowitego ćwiczenia i głębokiego rozmyślenia; u nas każdy zaraz chce być nauczycielem, reformatorem i prawodawcą! Geniusz polski jestże to twór złożony z pierwiastków nieładu i dziwaństwa: kiedy czego się tylko dotknie, wszystko mięsza burzy i wywraca, własnej nawet mowie nie przepuszczając!

Zygmunt August w Wiśniczu.

z Niemcewicza.

Królestwo odpocząwszy nieco, wyszli na wieczerzę do przygotowanej ku temu sali; poprzedzali ich z laskami wielcy marszałkowie: Kmita i Mielecki. Królestwo z senatorami u osobnego siedzieli stołu; ugiął się ten stół od pozłocistych sreber i złotych roztruchanów, usługiwali giermkowie i pokojowcy wojewody. Przy wetach ofiarowała gospodyni królestwu marcypan, zalecając, że był przez jęj siostrzenice pieczony. Kmita, jako był do kielicha sławny, napełnił małmazją szczerozłoty, ogromny roztruchan i wychylił go za zdrowie Królewskie: toż gdy uczynili i inni, zadrżały okna zamkowe od huku dział, strzelby, kotłów, trąb, i odgłosów przytomnych. Król małym kieliszkiem pił wojewody zdrowie.

Po skończonej wieczerzy Kmita, zbliżywszy się z uszanowaniem do króla:

—Miłościwy Panie, rzekł mu—mam Waszą Królewską Mość prosić o łaskę jedną.

—O cóż, mój Wojewodo?—spytał król.

—O to; byś Wasza Królewską Mość pozwolił panu Tęczyńskiemu pasować na rycerzów dwóch siostrzeńców moich, pana Barzego i Stadnickiego.

—A sąż przygotowani do tego?

—Zupełnie—odparł wojewoda—ostatnie obrządki dzisiejszej noey odprawia.

—Całym sercem—odpowiedział król; niech się to jutro stanie. Przyzwał Kmita siostrzeńców, którzy Królewską ucłowali rękę.

Dwaj młodzieńcy, kilka dni poprzednich na modlitwie i pokucie strawiwszy, w towarzystwie kumów, których jak do chrztu potrzebowano, weszli o świcie do kaplicy zamkowej dla odprawienia spowiedzi i przygotowania się do komunii świętej. O godzinie dziesiątej pokazali się królestwo i dwór cały w wyższej loży; na wzniesioném krześle w bogatej szacie, lekką tyłko mający karacnę, usiadł Jan Tęczyński. Ksiądz Podlodoski, biskup sufragan krakowski, spiewał mszę świętą. Ta gdy się skończyła, ujrano dwóch młodzieńców w odzieży białej, z mieczem rycerskim na ukos zawieszonym na szyi, zbliżających się do wielkiego ołtarza i miecze te oddających księdzu Podlodoskiemu: ten poświęciwszy je, znów je zawiesił na szyi Barzemu i Stadnickiemu, którzy ze złożonemi rękami i pobożnie spuszczonemi oczyma ukłękli przed młodym Tęczyńskim i oręże mu swoje oddali, prosząc, by ich raczył na rycerzów pasować.

—Dlaczegoż żądacie zaszczytu tego? zapytał Tęczyński.

—Byśmy się stali godnymi bronięcia wiary świętej, ojczyzny, króla i uciśnionej niewinności.

—Wyrzekaciez się—zapytał znowu Tęczyński—wszystkich czynów, któreby zaszczyty rycerstwa splamić mogły: bojaźni w boju, nieuczciwości w pokoju, obłudy, pochlebstwa i chciwości?

—Wyrzekamy!—zawołali młodzieńcy.

Tu panny dworskie podawały im kolejną zbroje, zaczynając od lewej ostrogi, dalej pancerz, naramiennik, naręczaki, nagolenniki, nakoniec miecze. Natychmiast powstał z krzesła

Tęczyński i dobywszy szpady, po trzykroć płazem jęj uderzył klęczących po ramieniu i raz dłonią po policzku, co było znaczeniem, że jeżeli chcą godnie dokonywać powinności stanu swego, gotować się powinni na cierpliwe wszelkich przykrości wytrwanie. Tęczyński raz jeszcze dotykając ich szpadą, rzekł do każdego. „W imię Boga, świętego Michała, i świętego Jerzego! bądź mężny, śmiały, i wierny!“

— Natychmiast giermkowie podali im szyszak, tarczę i kopiję. Na dziedzińcu stały już bogato przybrane bachmaty, na które młodzieńcy, nie kładąc nogi w strzemię, wskoczyli, nowem chlubiąc się dostojenstwem, toczyli na koniach, potrząsając do góry kopijami i błyskając w powietrzu głowniami ostrych oręży.

Przygotował był Kmita turnieje, lecz Zygmunt August, ogłosiwszy je także na wkrótce odprawić się mającą koronacja królowej Barbary, prosił, aby się igrzyska te odprawiły razem. Resztę poranku strawił król na oglądaniu pysznych zamku wiślickiego pomieszczeń. Lśniły się wszędy ogromne stopy srebér i złota: srebrne wanny, cebry, perłowe konchy na podstawach z drogich kamieni, dęte ze złota małe posągi i rozmaite drogich ciekawości przedmioty. Najdłużej atoli zastanawiał się król nad obrazami, wizerunki dawnych, sławnych polaków przypominającymi. Widziano tam portret Goworka, nieodstępne Leszka Białego przyjaciela; Bodzanty, arcybiskupa gnieźnieńskiego, co pradziada królewskiego na królestwo polskie koronował; Zbigniewa Oleśnickiego, któremu król ten w bitwie pod Grunwaldem życie był winien; Zawiszy Czarnego, głośno po świecie z dzieł rycerskich znanego.

Królowa Barbara prędko przeszedłszy, długo wlepione miała oczy w duży obraz, wystawiający wesele Władysława Jagiełły z Jadwigą. Jakoż przechodził on inne malowania pięknem pokupieniem figur, wyrażeniem w twarzy rozmaitych duszy poruszeń, żywością farb, bogactwem i przepysznym ubiorem, całym nakoniec sceny tój układem.

Tu Piotr Baranowski, podczasy piotrkowski i marszałek dworu wojewody, dał znać, że już dano do stołu. Wziął król małżonkę swą pod rękę i udał się do sali jadalnej. Trwała wspañiała uczta, aż do wieczora prawie. Tymczasem Kmita, nigdy hojniejszy jak przy końcu biesiady, przystąpił do króla

i schyliwszy kolano prosił, aby August na pamiątkę, że uczcił progi jego, przyjął dar mały. Był to puchar jaspisowy, na którym cyfra królowej B. R. z koroną na wierzchu w dużych dyamentach wysadzana była. Obróciwszy się potem do królowej:—„I ty Pani! rzekł—z prawa—Polski, z wdzięków—Cypru królowa, racz od sługi Twego upominek ten przyjąć!“ Tu położył przed królową Barbarą kanak z dużych szafirów, obwiedzionych perłami, mający wpośrodku pyszny onyx z wyróżnietym podobnym nader wizerunkiem królewskim. Królestwo spojrzeli na siebie: zakłopotali ich nieco te dary, lecz nie chcąc obrażać wojewody, z dobrą je chęcią przyjęli. Lecz nie tu koniec gospodarza hojności; wszyscy panowie i dworscy królewscy odebrali od niego pamiątki: ci konie, owi pierścienie, inni łańcuchy, lamy złote i tym podobne. Tęczyński przyjąć musiał zupełną zbroję i szyszak, należące niegdyś do powinowatego przodków Kmity, Zawiszy Czarnego. Była ta zbroja cała powleczona szmelcem czarnym i gęsto przesypana gwiazdami z uryańskich pereł.

—Nikommu—rzekł—zbroja ta nie należy właściwiej, jak Waszmości: jesteś bowiem Zawiszą wiku naszego.

Po obiedzie poszedł król w karty. Grano w tłusa: potrzeba było mieć trzy króle, by wygrać. Zartobliwy pan pokazując dwa, rzekł: „Wygrałem.“—„Miłościwy Panie!—rzekł grający z nim Spytak z Zakliczyna, podskarbi w. kor.—nie widzę jak dwa króle.“—„A mnieżto za nie liczysz? odparł August, —Ja trzeci.“

Zaledwie słońce promienie swe zgasilo, gdy palające łono tysięcznych światel uderzyło o potężne szyby okien wiśnickiego zamku.

Król i królowa, postrzegłszy to, zeszedli copędzej do ogrodu.

Co za widok uderzył oczy ich! Cały ogród i łączący się z nim zwierzynice płonęły w niezliczonych ogniach. Roztaczające się wśród gajów tych wody we wszystkich zagięciach swoich kilkakrotnie odbijającym się szeregiem gęstych lamp otoczone były. Ognie te tło lazuruwe niebios, przesypane tysiącami gwiazd iskrzących odbijając się o czyste wód kryształ, wystawiały zadziwionym oczom migające się pole szafirów i dyamentów. W lampach ze szkielek rozmaitych kolorów, za-

wieszonych na drzewach, kształty różnych owoców noszących, jaśniały pąsowe granaty, złoty owoc pomarańcz i inne płonące dary Pamięny. Sploty jaśminów i róż świeżych, łącząc szereg długi ogromnych drzew pomarańczowych, napępniały powietrze najprzyjemniejszą wonią. Tu i owdzie zawieszono były tarcze w gęstych ogniach, noszące na sobie cyfry króla i piękną królową.

Na końcu nieprzejrzaną tlicy z modrzewiów, nad brzegiem czystych strumieni, wznosiła się okrągła korynka świątynia, cała gorejąca w lampach; wpośród niej widzieć się dawał przezroczysty obraz w naturalnej wielkości z portretem Zygmunta Augusta i królowej Barbary.

Tu zaszyły królestwu drogę hoże dziewice i młode chłopięta w białe lekkie suknie ubrane, niebieskimi wstęgami przepasane; zawieszono u góry w postaci aniołków dziecięta, na srebrnych unosząc się skrzydłach, przelatywały przed nimi, i wonne rzucając kwiaty, śpiewały.

Naprzeciw świątyni rozbity był bogaty namiot turecki, szyty perłami i złotem; podniesione ściany jego odkrywały stół dla królestwa przygotowany. Ustały chóry, królestwo usiedli na wywyższonem miejscu; w oddaleniu dęta muzyka słyszeć się dała, wszyscy podawali się weselu, gdy nagle przezroczysty obraz naprzeciw świątyni zajął się płomieniem. Rzucono się zewsząd na ratowanie go; uratowano tylko połowę, druga nosząca wizerunek królowej, całkiem ogniem spłonęła. Królowa Barbara postrzegłszy to, zemdlała i bladą swą głowę na ramieniu królewskiem zwiesiła. Powszechna radość zamieniła się w trwogę: przelękniony król pierwszy zaczął ją trzeźwić; przypadli lekarze, za pomocą ich otworzyła królowa Barbara oczy. Ach! wszystko—rzekła z westchnieniem, potwierdza smutne me bliskiego końca przecucie.

Przypadek ten przerwał tak świetnie przygotowane gody.

WZORY STYLU EPOKI ODRODZENIA W WIEKU XIX.

Ofiara pierwszego Kwiatka.

Jeszcze zima nie zupełnie opuściła naszą krainę, jeszcze nie wszystkie pączki otwierać się zaczęły i ziemia w wielu miejscach ostrą i nierozmarłą się wydawała, kiedy razu jednego, biegło przez lasek sześciolatnie dziecko.

Mimo przykrój drogi, mimo tylko szmatkiem owiniętych nóżek, pospieszał chłopczyzna niemal coraz żwawiej, odgarniając kiedy niekiedy jasne włoski nasuwające mu się na czoło. Zatrzymał się wreszcie, zboczył już i tak z krętej ścieżki, podskoczył w lewo, to znówu na prawo, a nakoniec z krzykiem radosnym pokazał, że dobiegł kresu swych życzeń. Pod maleńkim jałowcowym krzaczkiem, był sliczny, świeżuchny, dopiero co rozwity pierwiosnek. „Ach cóż-to za radość, rzekł sam do siebie, sliczna panienska dotrzyma obietnicy i bez wątpienia, da mi jeszcze co więcej nad okrągłą, białą złotówkę. Uż ja sobie rzeczy za nią kupię... a kto wie, może... i w uniesieniu dziecięcym, spojrzawszy na przeziębło nożyny: trzewiczki! zawołał głośno,

I urwał kwiatek nadobny, a wzięwszy go ostrożnie w rękę ku udeptanej pospieszył ścieżce. I biegł znówu bez wstydzenia, póki nie ujrzał szerokiej, wysadzonej drogi, do ładnego prowadzącej dworku. Lecz tu na samym skrawie stoi kapliczka, a mimo wielkiego pośpiechu, jakże-tu nie wejść do niej, nie uczłować drogiego obrazu Najświętszej Dziewicy, którą mateńka nim zasnęła na zawsze, kochać jak drugą matkę.

kę przykazała. Wszedł więc chłopczyzna niepewnym krokiem ukląkł przed obrazem, złożył drobne rączki i modlić się, polecacć opiece Matki Boskiej zaczął, tak jak matka jeszcze uczyła; a twarz jej tak mu się wydała piękna, takim tchnęła dobroci wyrazem, że złożyć przed nią w ofierze kwiatek, tyło przed chwilą ceniony, niczém mu się teraz zdało, byłby chętnie dał co więcej jeszcze. Złożywszy pierwsioonek przed obrazem, pełen lubej radości opuścił kapliczkę, już i ponętne zabawki i ciepłe trzewiczki zniknęły z myśli, lecz nigdy jeszcze tak swobodnym, tak pełnym dobrej myśli się nie czuł.

Boska dziewczica nie opuściła dziecięcia co tak wcześniej jej opieki wzywało. Janek wyrósł zdrowo na uczciwego i użytecznego człowieka, Bóg mu błogosławił, kochali ludzie, bo pamiętał na słowa matki, nie wahał się uczynić ofiary dla tój, która mu pierwszą zastąpić miała.

Powietrze.

Była to niedziela—niedziela dzień tak ważny, tak uroczystych dla pracowitych wieśniaków; jednak nie widać radości na twarzach skromnych mieszkańców Wierzbowa. Czemuż mileżą ochocze skrzypki niegdyś do milej wzywające rozrywki? Czemuż ustal wesoly gwar zebranych kumoszek i głośne rozprawy starszych wiekiem gospodarzy? Co znaczy posępność, ten wyraz przerażenia?—Kto pozanykał te chatki? gdzie są ich właściciele?—Co przyczyną łez tój rozpaczającej niewiasty? Kto wydał Matkę tym tułającym się dziatkom? Zaraza! okropna zaraza!..

Powoli, donośnie, ozwał się odgłos kościelnego dzwonu do wieczornej wzywając modlitwy. Ucichły szmery, wszyscy jakby jedną niewidzialną pchnięci siłą, padli na kolana, i gorącymi słowy i pełnem uczucia wejrzeniem błagali litości Boga.

Ostatni raz dzwon uderzył uroczyste, żałośne, a w jego dźwięku było coś tak smętnego, tak okropnego, jak gdyby był echem konających jęku, skargą pozostałych sierot, lub nowych klęsk przepowiednią. O! długo, długo ten odgłos złowieszczy drżał w uszach słuchających, choć coraz ciszej, choć coraz słabiej, lecz zawsze z równem wrażeniem, aż nareszcie skonał zupełnie. Ale powstał jęk drugi, już nie marzeń, przewidzeń,

nie urojenia, tylko jęk boleści.—Małe wynędniałe dziecię w odartej sukience, z piętnem choroby i wyniszczenia przywleкло się do murów ementarza okrażającego świątynię—chciało postąpić dalej—zadrzały nóżki i padło bezsilne na ziemię.— Jeszcze raz wzniosło zapadłe oczy, w których ogień gorączki walczył z mgłą śmierci, poruszyły się spieczone usta jakby chłodzącego szukając napoju, podniosła się zsiniała rączka, i dziecię zawołało na wpół umarłym głosem „wody!... kropelkę wody dajcie!...

Posunęło się kilka osób—ale myśl zarazy nagle ich cofnęło, i rozpierzchł się tłum patrzących—a bojaźń śmierci o-studziła uczucie ludzkości w sercach tych ludzi, którzy przed chwilą sami tak kornie błagali miłosierdzia.

Wtém się wyrывa z pośród tłumy niewiasta—jój odzież nosi cechę kilkodniowej podróży—na licach małuje się wyraz zmordowania i pośpiechu. Ona jedna zrozumiała błagalny głos dziecięcia! Ach ten głos jój tak drogi, ledwie zachował cząstkę dawnego dźwięku—jednak poznało go serce!.. Wstrzymuje ją nieczułych zgraja,—zabrania—grozi—straszy; ona nie słucha—ona wyrывa się z rąk natrętników i bieży, bo któraż Matka lęka się śmierci na widok konającego dziecięcia?

O już są razem!.. synu mój! zawołała chwytając go z dżiką rozpaczą w swoje objęcia; synu mój! jęknęła mocnym, przedłużonym głosem i w tych wyrazach wylała się cała jój dusza.

Stanęła niema, martwa—jakby nagle rażona uderzeniem piorunu. Znowu porwała dziecię, okrywa je pieszczoty, uściski, jak gdyby chciała wspomnieniem szczęścia, obietnicą rozkoszy zmusić do pozostania ulatującą duszę—i własnym tchnieniem przedłużyć coraz wolniejszy oddech swojego syna.

Poznało nakoniec dziecię obecność Matki! chciało jój czułem nagrodzić wejrzeniem—ale lża śmiertelna zaćmiła oko,—uśmiech skonał na usteczkach—a kiedy wezbranój tklivości kropelka potoczyła się po wybladłym licu, już w osłupiałych oczkach nie płonął ogień życia!

Z Zorzy

Śpiew skowronka.

Gdy żyjące przyrodzenie budzi się ze snów zimowych śpiew skowronka jest jakby hasłem do życia wzywającym.

Dźwięczna i tkliwa piosnka jego jest niby kwileniem dziecięcia, jest jakby głosem natury, która na podobieństwo pierwotnej córki przedwiecznego Ojca, pierwszym słowem po imieniu Go wzywa, i o ciągłą opiekę nad sobą prosi!—

Lecz dla nas, co kipiącą czarę żywota już dopijamy, cośmy z niej znikliwą pianę nadziei już spili, dla nas, którym do spełnienia gorzki tylko męt pozostał, godzi się przynajmniej w tym śpiewie dosłuchiwać się głosu pocieszycielki Wiary.

Bo i powiedz tylko, jeżeliby tobie się zdarzyło, zdala od społecznej wrzawy, stanąwszy wśród niwy, posłyszć tego śpiewaka, co w górny wzbijając się kraję, zawsze miłem, zawsze rzewnem, ale coraz to słabszem do Ciebie odzywa się pieniem, jakież to wtenczas w twój duszy obudziłyby się uczucie? Za tym głosem, czyliby i duch twój, nie ulatywał ponad ziemię, coraz wyżej, coraz wyżej, gdzieś w przestwory nadziemskie gdzieś w kraję pożądaną, przeczuwaną, chociaż nieodgadniętą, w której spodziewasz się znaleźć to, co w mowie ludzkiej szczęściem zwiemy, która jest prawdziwą naszą dziedziną, w jakiej ujrzemy niebieskiego Ojca naszego?

Na głos ten baczne natężaj ucho: bo to nie dźwięk sztuczny, co przebrzni jałowo. Jakiś za nim oderwał się od ziemi, tak z nim znowu do ziemi powrócisz, i przypominisz sobie, że tu jest pole twojej zasługi, że to są szranki doczesnego bojuwania, z którego wyszedłszy zwyciężca, zamieszkaż na zawsze ową niebieską ojczyznę, do którejś tęskną duszą gonik, i którą ci przypominał, wprowadzie w zmysłowy sposób, zawsze jednak o niej do ciebie mówiący głos skowronka! Ale chodź jeszcze posłuchać śpiewu tego na innej niwie wspomnień; chodź na cmentarz. Może tam, chociaż przedwczesne, masz już swoje wspomnienia. Jesliby ci tu klęczącemu z pochylonem od smutku czołem nad mogiłą drogiej ci osoby, zdarzyło się zasłyszć śpiew skowronka, cóżbyś uzeuł w tej chwili? Są wrażenia, do których oddania nie staje głosu w językach żyjących; są to nieprzystępne ducha tajemnice; nie dająca się podzielić, wyłączna własność duszy; zmysłowem nie wystawisz jej sposobem!! My przynajmniej nie możemy tu nic innego powiedzieć jak tylko: Błogosławionas, jedyna pocieszycielko, Wiaro święta! . . .

Z pism peryjodycznych.

Poklask i Błogosławieństwo.

Czy znacie dziewicę piękną jak młodzieńcze marzenie, świeżą jak rozkwitająca róża, z myślą jasną jak jutrzienka, dziewicę nadobną, wielbioną?—Czy w tańcu lekkim i uroczym, całym skarb wdzięków swoich rozwinie, czy w duszy jej, boskiem ożywiona natchnieniem, iskra poezyi zabłyśnie, czy harmonijna z piersi wydobędzie się piosuka, czy też w towarzystwie zadziwiał dowcipem i trafnością sądu, zawsze równie powabna i miła, zawsze zachwyca i uwielbienie wzbudza.—Więc ona bardzo szczęśliwą być powinna, więc życie jej powinno być jasne, pogodne, jak jej dni opiekuńcza gwiazda, co się w nadobne wpatruje oblicze.—Dziewico! jesteś szczęśliwą? pełne jest serce twoje? na niczym-że mu nie zbywa? uśmiech igra na ust twych purpurze, oko błękitne nadziemskim jaśnieje blaskiem, ale ja nie wierzę tobie, nie wierzę tym powierzchownym oznakom zadowolenia; w twojem sercu jakaś tęsknota, jakiś smutek;—czyż nie znudziły cię hołdy, których jesteś przedmiotem? czy nie sprzykrzyły ci się pochwały, jakimi cię obsypują? czy może zdradliwy robak zazdrości nieczystym tchnieniem rumiane każe lice? . . . ja nie wiem tego, ale wiem, że nie jesteś szczęśliwą.

Czy znacie niewiastę, co często w najpiękniejszych chwilach życia swojego, opuszcza świat i ułudne jego rozkosze; zrywa związki z krainą złotych marzeń, ażeby pędzić dni swoje wśród nędzy i utrapienia? Czy znacie niewiastę, co potrzebując pociechy, wyrzeka się samej siebie, zapomina o sobie, by nieść pociechę nieszczęściu i nędzy, by zamknąć zgrzybiałego starca powiekę, by zastąpić matkę sierocie; czy znacie Siostrę Miłosierdzia? Jakże jej poświęcenie pokorne i wzniosłe, jak godne poszanowania! a jakiż jest cel tego poświęcenia, téj pracy? jaka jej nagroda?—Oto nędzarz przy którego łożu niejedną bezsenną noc spędziła, powie jej: Niech Bóg wam to nagrodzi! i to błogosławieństwo powtórzy głos tłumu nieszczęśliwych, co jej staranom ulgę w cierpieniach życia winni, a te słowa, jak echo dobroczynne odbijają się w duszy najzacieńszej niewiasty, i napełnią jej serce szczęściem nadziemskim, szczę-

ciem boskiego zachwycenia.—O! ona jest szczęśliwą! choć nie śmieją się jej lica, choć łza błyszczy w jej oku, ja wierzę jej szczęściu!

z Zorzy.

Listy Brata i Siostry.

List pierwszy. Zdzisław do Wandy.

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie kochana Wando, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tulając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u Ciotki naszej, która już za córkę cię uważa. Zaczęła swoją opiekę od przedstawienia ci twoich obecnych powinności, ona pierwsza cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie twój list, i słodką ku Ciotce przejął wdzięcznością; w samej rzeczy, rodzeństwo osieroczone więcej od innego kochać się powinno, a wzajemnym przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną rodziców stratę... Ale dla czegoż kochana siostrze, te uczucia po francuzku wyrażasz? wszakeśmy oboje Polacy? wszak w kraju polskim mieszkamy? po polsku więc pisuj do brata. Mowa ojczysta najmiłsza i najprzyzwoitsza każdemu; wyrazy przywiązania w niej kreślone, jeszcze snadniej do serca trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka słodko to serce porusza.... Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie twoją pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i te pochwały mylnymi nie były; w dwunastu leciech trudno tłomaczyć się gładziej i jaśniej, a jeszcze w obecnej mowie; wyglądam zatem z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego; wierzę mi, podwoi się tym sposobem wdzięk korespondencyi naszej, bo gdzież szukać miłszej mowy, od mowy naddziadów? i w jakiejżeby uczucia i myśli łatwiej wydać można jak w tej, którą najpierw usta nasze przemówiły?

List trzeci.

Wiesz com zrobił z twoim polskim listem? nie odczytawszy go, rozdarłem. Wybacz Wando, ale w pierwszej chwili nie mogłem się wstrzymać. Wiesz com jeszcze zrobił? oto na nieszczęście wpadł mi zaraz potem pierwszy twój list w rękę, i ten podarłem, bom się szczerze na ciebie rozgniewał. Tak dobrze na wiek swój obcym pisząc językiem, jak możesz ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; starszy od ciebie sześcioma laty, mam niejakię prawo do użyczenia ci rad dobrych; nie dziwuj się więc, jeśli do ciebie po ojcowsku napiszę; pochlebiam sobie, że i ciotka gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam cię siostró, wejdź w siebie, zastanów się, i uznaj, jaką to jest niedorzecznością przyswajając sobie obcą mowę, w niej jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną tak piękną i bogatą. Wiem niestety! że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci twojej: że pomimo pozorniej jakowéjsz odmiany, ciągle u was obcy język nad ojczystym przewodzi; wiem, że plemię wzrastających dziewcząt, nie wielkie postępy mowie naszej wróży, wiem że gdybym w téj chwili mógł przejrzyć cudem jakim wszystkie dziewczynki twojego wieku i stanu, dzienniki, listy, zeszyty, imienniki, modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuzki język w robocie, a zaledwie odkryłoby się dziesięć na sto, które ojczystą zamilowały mowę. Lecz ta ślepotą im powszechniejsza, tém więcej szkodliwa i bardziej bolesna. Język polski drogą jest po ojcach naszych puścizną; za jego jedyną pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeżby gardzić tym skarbem!....

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do ciebie jednej, ale do wszystkich rówieśnic twoich głęboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcej, gdybym już pisał dobrze, zrobiłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą; możeby moje słowa do ich serc trafiły. Ale tak, cóż uczynić mogę?..

Jan Zamoyski.

na kazaniu Melchiora Mościckiego.

p. Tańską.

Byłoto w czwartą Niedzielę Listopada 1582 roku: wielka Msza co dopiero odprawiać się zaczęła w kościele Dominikanów we Lwowie, a po pierwszej Ewangelii miał mieć kazanie jeden z najslawniejszych owego wieku kaznodziejów, syn ubogich mieszczan z Przemyśla, Melchior Mościcki: czém był, co umiał, własnej pracy był winien; ozdoba Duchowieństwa polskiego i Dominikanów zakonu, kilkakrotnie urząd ich prowincyała sprawując odmówiwszy arcybiskupstwo lwowskie, do królów nietylko wolny, ale śmiały miał przystęp. On na Sejmie piotrzkowskim, kiedy Zygmunt August pisma przeciwne wierze chciał podpisywać, pióro mu z ręki wytrącił on--dowcipu ostrego, biegły w świeckich umiejętnościach, głęboki w duchownych, niespracowany w sporach, układny we wszystkich postępkach, przenikliwy w rozwijaniu wątpliwości, dobry przewodnik w tłumaczeniu Pisma Ś-go i niezmiernie w niem wyćwiczony, młot na przeciwników kościoła, niezwalczony w zapasach z nimi, roztropny w ich przekonywaniu, przez kilkanaście Sejmów kazywał.

On i dziś, lubo już starzec siedmdziesiątletni, miał się dać słyszeć spragnionym oddawna wymowy jego Lwowianom. Natłok téż w kościele był niesłychany; wszystkie ławki, wszystkie miejsca zajęte były: troskliwe matki wynosiły niemowlęta swoje w górę, bojąc się, by ich nie przyduszono. Chociaż mróz tęgi dech prawie na dworze tamował, tu pary z ust idącej widać nie było; ganki kościoła uginały się pod ciężarem natłoczonych widzów; a ci lubo spoglądali z góry, przecież prócz kapłana spełniającego s-tą ofiarę, niczyjéj całej postawy ujrzeć nie mogli; głowy tylko rozmaitego kształtu, wygolone lub z wymuskanemi czuprynami, w kapikach, kołpaczkach, w czoln-kach, w warkoczach, przedstawiały się ich oczom; za lada pchnięciem, przez przybycie nowéj osoby sprawioném, wszystkie te głowy poniewolnie posuwały się naprzód i znowu w tył wracały, jak kłosa zbite, któremi wiatr kolysze, albo

rozbujanéj wody bałwany. Wtém przy drzwiach kościelnych wszczął się szmer jakiś: słowo Hetman, lubo cicho wymówiono z ust do ust przechodząc, o sam wielki ołtarz się odbiło, nagle obecni, i lubo tak ściśniami, jakby dotknięci cudowną różeczką Mojżesza rozdwoili się i wolną wsród kościoła otworzyli ścieżkę. Powstał wprawdzie w tymże samym czasie płacz dzieci, skargi niewiast, gniew naciskanych mężczyzn; ale odgłos ten zagłuszonym został szelestem wchodzących, szczękiem ich pałaszów, brzękiem długich ostróg, odbijaniem się butów kowanych o kamienną posadzkę; a chociaż w takiej ciasnocie ledwo oddychać mogli widzowie, wspinali się jeszcze na palce, wyciągali szyje ponad ramionami sąsiadów, ażeby ujrzeć ten świetny orszak, świetniejszego jeszcze Naczelnika. Był nim wielki Jan Zamoyski. Z zwykłą sobie odwagą i biegłością szczęśliwą prowadząc wojnę właśnie przed rokiem po zdobyciu Ostroga, Hetmanem był został, z tą samą władzą, jaką niedawno piastował tak godnie Jan Tarnowski. Po zawartym w Zopolu pokoju, jechał do założonego przez siebie Zamościa z orszakiem dworzan i rycerzy: rad był zapewne stanąć jak najprędzej w domu, ale równie pobożny jak mężny, nie chciał gwałcić święta i w Niedzielę przed odbytym nabożeństwem puszczać się w dalszą podróż bez nagłej potrzeby. Nie był mu przecież powrót do domu tak pilny, jak kiedy przed dwiema laty z połockiej wracał wyprawy; wtedy czekała na niego z utęsknieniem ukochana żona; dziś młodą, piękną, cnotliwą Krystynę zimny gład pokrywał; a bohatera, którego cały kraj witał radośnie, w domu tylko własnym nie miał kto powitać. Jak do przejścia przez kościół tak i do siedzenia Hetman nim zażądał, wygodne znalazł miejsce; jeszcze nie doszedł do pierwszej ławki, kiedy już próżną była; zajął ją; a nie tylko nikt przy nim usiąść nie śmiał, ale skoro kto z bliska stojących, siłą natłoku wepchniętym do niej został, cofał się natychmiast z tém uszanowaniem, jak gdyby stopni tronu się był dotknął. Nie mogły być niemile Zamoyskiemu te publiczne uszanowania oznaki: Kto, jak on, szabłą, piórem, radą, majątkiem zasłużył się ojczyźnie, temu nagrody i pochwały od współziomków są tylko należną daniną; nie próżną chlubę, lecz słodkie zaspokojenie w sercu rodzą, gdyż są sprawiedliwości wymiarem. Jednak to nieustanne szamotanie się, przery-

wało mu pobożne odmawianie Tacińskich modlitw z bogatjej księgi, którą przed nim jeden z dworzan rozłożył, a widząc obok ławki swojej sędziwego wojownika, już niemal zsiniałego od opierania się tłoczącej ciżbie, wskazał mu, że wejść może. Dawny husarskiej chorągwi towarzysz, okryty głębokimi na twarży krésami, skaleczyły na jedną nogę i właśnie pod dowództwem Zamoyskiego przed kilkoma laty w te godła waleczności opatrzony, nie śmiał usłuchać od razu; ale zachęcony łaskawém Hetmana wejrzeniem, wszedł do ławki: dawny wódz spojrzawszy wtedy na nogę jego, dał mu jeszcze znak, żeby usiadł. — Już temu nie chciał być powolny sędziwy towarzysz, a cała jego postawa mówiła, że nie zapomniał jeszcze do tego stopnia obowiązków żołnierza dla starszego. Lecz Zamoyski trzясając ręką jego, rzekł mu po cichu: „Siadaj bracie! wiekiem i tą bliższą stárszysz ty odemnie, przed laty obok mnie walczyłeś, dziś spocznij.“ Usiadł towarzysz i podniósł z dumą głowę siwizną okrytą; blade jego lice i poorane czoło przybrały na chwilę barwę młodości; oko pomroką wieku zasute zabłysło równym ogniem, jak oko czterdziestoletniego Hetmana; poprawił rzeźmiennego pasa i zakręcił wąsa. W téj chwili Kapłan, sprawujący ofiarę, tyle znaczące życzenie: „Pan z wami“ oświadczywszy zgromadzonemu ludowi, roztworzył księgę Ewangelii i czytać na głos słowo Boże zaczął. Powstali wszyscy, powstał i Zamoyski, a dzielną prawicą dobył do połowy zawsze zwyciężkiego oręża: nie wielu z przytomnych poszło za jego przykładem, bo już u stanu rycerskiego szedł w zapomnienie ów zwyczaj, którym od Mieczysława ojcowie nasi okazywali swoją gotowość do bronięcia wiary; ale na ten widok łzy rozczulenia stanęły w oczach starego towarzysza, i padły na pałasz jego, tyle razy w krwi maczany i także na pół dobyty.

Pasieczna

z listów ks. Karola Antoniewicza.

Jesteśmy w Pasiecznej.—I cóżto jest ta Pasieczna? zapytacie. Oto skały najeżone do koła, kilka potoków wszędy i wzdłuż, i w prawo i w lewo krzyżują się, i huczą i szumią,

i pienia się i gniewają; to znowu pokornie liżą nogi tych skał: kilka chałup huculskich, jak gniazda orle zawieszonych na górach, to i cała Pasicieczna; niby to wieś, niby obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszczyce świata ciągną do nieba wpośród łez i boleści, bo na łzach, nędzy i boleści nie zbywa tu nikomu: bięda, głód i choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały, i komorę zamieszkały w tych chatach huculskich! O! co tu nędzy! Ludzie jak bydło burzany i trawę zbierają po skałach, aby głód zaspokoić; gromady zgłodniałych dzieci, jak te polne ptaszęta, otwierają usta za okruszyną chleba, a opuchłe z głodu matki nie mają czém dzieci własnych ratować od strasznej śmierci! Biedny góral podobno najlepší, jeśli nie rozumem i rozmysłem, to wrodzonym instynktem pojął, co to jest życie wygnańca na ziemi: jak ptastwo przelotno buduje gniazda, tak i on gniazdo swoje, ot gdziekolwiek, do skały przyczepi, bo te kilka deseczek do kupy zbitych, daleko bardziej do gniazda, niż do domu podobne. I tu rodzi się biedna dziecina, i tu umiera stary hucul, i świat go nie znał, i on świata nie znał, chyba o tyle, ile ten sprawił mu boleści; i te górskie pokolenia, jak te jodły po parowach, wznoszą się i nikną; a pamięci ich ani na grobach, ani na sercach żadnego śladu niema.—Pięknie tu, i bardzo pięknie, i smutno i wesoło i posępnie i jasno, tak jak w duszy, że mi się czasem śmiać, czasem płakać chce, sam nie wiem dlaczego. Jak stare zameczyska dziwnych kształtów skały pilnują nas, abyśmy ztąd nie uciekli, a na ich wierzchołkach jak nieme straże, pojedyncze sterczą jodły. Gra chmur i słońca, które czasem nadgląda; co się dzieje w tych zakątkach, dziwna, przedziwna;—tu nie manie, ale mistrza malarza potrzeba, bo ja tylko patrzeć się umiem, jako te chmury czepiają się skał wierzchołka, podobne do biednego serca, co się Boga ująć pragnie; ale pomimo całej piękności skał, bo to polskie skały, wiatry cudzoziemskie pędzą biedną chmurę, która w rozpacz łzami deszczu się rozplynie, i tak przynajmniej na rodzinną zostanie ziemi.

Cmentarz w Pasiciecznej na wysokości pochyłej górze, na miejscu kamienistém, zasłony grobami, krzyżami, grób koło grobu, krzyż koło krzyża, kości koło kości. Biedni huculi, tak za życia jak i po śmierci! ciasno im i gorzko, ale za to dusza w przestronnych raduje się przybytkach. Krzyżyki małe,

proste dwa patyki na krzyż przewiercone, które pierwsza śnieżna nawałnica łamie, i dlatego to cały ten cmentarz temi połamanymi krzyżów szczytkami okryty, dziwny przedstawia widok: tak tu coś smutnego i tęsknego, co na innych cmentarzach widzieć i czuć się nie daje; parę drzewek posadzonych na grobach, na pół wyschłych, cała jego ozdoba.

Było-to samo południe.... Z miejsca, gdzie siedział przesliczny był widok na małą dolinkę i wieże cerkiewne, bazyliki hamerni, domki i zagrody, potoki wężykiem płynące; szmer i gwar tak rozmaity wód i lasów, ludzi i bydła, a tu tak cicho, tak samotnie, tylko bąk jakiś przyłączył się do mnie, i rczgniewany mruczał, że nie było ani jednego zwierzęcia, gdzieby mógł usiąść, i wciąż koło mnie krążył, jakby się dziwiąc, co tu żywy między umarłymi porabia!

Po wszystkich górach i skałach, z kijem w rękę i brewjarem pod pachą w Imię Boskie wędruję, wesoło lub smutno, jak Bóg da; znajomość mam tu po wszystkich zakątkach, i niejedna chwilka zbawienna spędziła się przy gawędce w huculskiej chatce: Ja ich nihyto nauczam, a tym czasem więcej od nich korzystam. Oni cierpią! ale jak cierpią... a kto cierpi, ten ma więcej mądrości jak najmędrzy filozof. O jakże się serce kraje, widzieć tych ludzi głodnych, błakających się za kawałkiem chleba, te matki, co patrzą na dzieci amierające z głodu!

Przed kilkoma dniami dwóch huculów kopało rudę żelazną do hamerni, w tém góra się usuwa, i zasypuje jednego z nich do połowy; towarzysz biegnie spieszno szukać pomocy; żona tegoż, młoda kobieta, mając w polu przy sobie małe dziecko, słyszy, że góra zasypała jednego z pracujących w kopalni, rzuca wszystko, porywa dziecko i biegnie w rozpacz, lecz gdy jęj i dziecko jest przeszkodą, zostawia je na środku drogi i przybiega na miejsce nieszczęścia, gdy właśnie ludzie zebrani ziemię odrzucali, aby ratować przywalonego; pada na kolana, płacze, ręce załamuje; napróżno pokazują jęj, że to nie jęj mąż, ona patrzy i nie widzi, słucha i nie słyszy, i dopóty się nie daje uspokoić, dopóki sam mąż nie przyszedł i nie uspokoił ją. A to mówią, że ci ludzie uczucia nie mają! Oj mają, ale wtenczas, gdy im potrzeba, nie dla parady, aby się niém popisywać; tylko że to uczucie nierozumiane, boleśnie zawsze zranione; kryje się i tai w sercu jak potok górny w skałach, ale

w chwilach ważnych z całą potęgą na jaw się okazuje, i wszystkim wykrzyk podziwienia wywołuje: Ktoby się spodziewał że pod tą lichą siermięgą bije takie serce?“ kto?, nikt ludu naszego nie zna i znać nie chce.—Tego biednego z pogruchotanemi nogami przyniesiono do domu, nazajutrz poszedłem go odwiedzić: mieszka na dzikiem ustroniu, wpośród potężnych skał i jodeł; wszedłszy na podwórze, posłyszałem dzwonek cerkiewny i zapytałem przewodniczącego hucula, na co to dzwonią; odpowiedział mi, że to właśnie w téj chwili umarła matka tego biedaka; stara, słaba już była, ale widok syna w takim stanie dobił ją; dwadzieścia cztery godzin tylko przeżyła po téj boleści. Wszedłem do izby: blady, przy trupie na ławie położony, palił się kaganek, aby ten smutny obraz śmierci i nędzy w ciemnej oświecił izbę; obok trupa matki syn cierpiący, dwoje dorosłych dziewcząt przykrywało ciepłe jeszcze ciało stariej, a gromadka dzieciak obojętnem okiem patrzyła na życie i śmierć; a jednak taki był spokój na wszystkich twarzach, zaiste i we wszystkich sercach, bo biedny ten lud nie z ksiązek, ale z własnego nauczył się doświadczenia, że ta ziemia jest łez i płaczu doliną. Zebrało się więcej ludzi z sąsiednich chat, i wspólnie przyklękawszy, pomodliwszy się przy ciele, pomówiłem z nimi i pocieszyłem jak i czém mogłem, a z błogosławieństwem ludu pogoniłem w ciemny głęboki las, skąd też późno w wieczór do chaty naszej wróciłem, bo mi dobrze było pozostać na chwilę samotnym. Mój Boże! tak historia całego życia naszego rozwinęła się w całej prawdzie przed oczyma memi. Biedna huculka przeżyła lat siedemdziesiąt, całe jej życie było pracą, boleścią i nędzą, i boleść była przyczyną jej śmierci. I oto z pogrzebu wróciłem. Gdy ciało do grobu spuszczały promienie słoneczne przez ciemną przebijając się chmurę, oświeciły cmentarz i gromadkę zebranych w okolo grobu, w poważnem milczeniu huculów i huculek; jeszcze raz uklękawszy i pomodliwszy się wspólnie, po serdecznem pożegnaniu rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Kto szuka wrażeń i pragnie wzruszeń, na co mu romansów i teatrów, niech tu przyjdzie, niech te skały odwiedza, a zobaczy: niech się z tym ludem rozmówi, a posłyszysz w rzeczywistości to, co najbujniejsza wyobraźnia w czczych marzeniach dać mu nie może.

Kraków.

przez Ks. Antoniewicza.

Zbliżając się do Krakowa, jakieś dziwne, niepojęte uczucie rozrzewnia serce, które za każdym krokiem, coraz swobodniej i boleśniej się rozwija. Są to w początku pojedyncze głosy, które na dnie duszy się odzywają; głos nadziei, żalu, tęsknoty, miłości, przechodzą w akordy i rozplywają się w harmonią przedziwną! Niewiem, czyś doznał w życiu chwil takich? Lecz jakież szlachetne serce onych nie doznało? chwil, w których myśl, uczuciu ustępuje, gdzie usta się uśmiechają, oko płacze, a serce nie może sobie zdać sprawy z przyczyny tego wewnętrznego usposobienia i rozrzewnienia. Takie uczucie o władnęło duszę moją, gdym w zmroku wieczornym dostrzegł w oddali wieże kościołów krakowskich i ten zamek na Wawelu, gdym w oddali szum wezbranej posłyszał Wisły! Była to właśnie ta godzina, tak uroczą i tajemniczą, gdzie światłość dniaowa poczyna się gubić w cieniach wieczornych, gdzie gwar życia przechodzi w błogą ciszę uspienia całej przyrody; godzina, w której dusza rzewniej czuje, serce goręcej bije, oko boleśniej płacze; godzina, która mimowolnie myśl do nieba zwracał. To przejście dnia w noc, jakże żywo przypomina nam te przejścia bolesne w życiu naszym, ze światłości wiary, w noc powątpiewania; z oroków nadziei, w odrętwienie odludzeń; z życia jasnego w Bogu, w życie świata rozwichrzone. O szczęśliwy, komu po takiej nocy jutrzienka wiary zabłysła,—komu po takiej ciszy, głos nadziei z nieba zadzwonił..

Ach! taka godzina tych przejść bolesnych, jest jakby godzina stała na zegarze życia, a w koło niej, brzęczy jak rój muszek ten czas rozdrobniony na minuty, sekundy, ciągłego ruchu! Duszy naszej uczucia są to struny lutni; już naciągnięte, czekają tylko na rękę, któraby je potrafiła, aby się rozbrzmiały śmiechem lub płaczem! O te godziny wieczorne były dla mnie najpożądanejszymi życia godzinami; ile mi one szczęścia i boleści przyniosły!

Tętniły kopyta końskie, na gościńcu z Wieliczki do Krakowa wiodącym. Poczytylion wśród wieczornej ciszy, wesole wytrębywał tony, którym gromadki dzieci, igrające pod cie-

niem na pół wypróchniałych, krzewą pokrytych wierzb, z taką się radością i ciekawością przysłuchiwały! Wiesz, jak milém i ulubioném była zawsze dla mnie drzewem ta wierzba, tak polska, tak narodowa, która niestety, musiała ustąpić w tak wielu miejscach, wysmuklęj, ale czeźej topoli; ta wierzba, która przez tyle wieków, tak wiernie strzeże, ocienia, zasłania, ograda polskie chaty. Ona zdaje się dzielić i niedolę naszą. Wyraz jój tak smutny i bolesny; w wypróchniałym pniu dzikie roją się pszczołki, a po pożółkłych listkach białe snują się motylki; odarte z kory mchem porosłe konary, gałęzie pocięte, a jednak ukrywa w sobie soki żywotne, i zielone latorośle ku niebu, jakby o pomoc błagając, wyciąga! Zbliżałem się do Krakowa i przez mglistą powłokę krzyże wież krakowskich w duszę zablęsyły, i coraz głośniej szumiały fale Wisły, i odezwały się srebrném brzmieniem dzwony wieczorne, jakby wtorując modlitwom serc poranionych.

Żądałeś, abym ci pisał z Krakowa i czynię zadość woli twojój, za ledwie z powozu wysiadłszy. Jak długo tu pobyt mój przeciągnę, nie wiem, lecz pisać będę. Jeśli sądzisz, że ci będę pisał o Krakowie, bardzo się mylisz—ja ci z Krakowa pisać będę nie to, co oczy ujrzą, co uszy posłyszają, ale to, co serce poczuje, to co Bóg do serca przemówi.

Urok, jaki Kraków wywiera, nie jest urokiem dla oka, ale dla duszy. Kto z ciekawością obiegnie to miasto i zakłady, i pamiątki jego, ten w krótkim czasie zaspokoiwszy zimną ciekawość swoją, niechaj nie żąda od starego Krakowa, aby go bawił, i nudne rozpraszał chwile; bo stary Kraków płacze, bo kocha, bo ufa: A kto od łez ucieka, kto wiarę stracił, kto z miłością wyziębił nadzieje, czego majeszce się błąkać po tym cmentarzu grobowych przeszłości pamiątek? bo Kraków stał się tą Jerozolimą, nad którą Jereciasz prorok, temi duszę wskroś przenikającemi, zapłakał słowy: „Jako siedzi samo miasto pełne ludu; stało się jako wdowa, pani narodów; księżna powiatów stało się hołdowną. Płacząc, płakało w nocy, a łzy jego na czeluściach jego; nie masz ktoby je cieszył.“

Byłem dziś na majowém nabożeństwie, które bardzo przykładnie przy liczném ludzi odbywa się zejściu! O! jakże nie kochać Krakowa, kiedy Kraków Matkę Boską tak kocha!—Ale już późno w noc; gwiazdeczki migają na niebie, a lampki

u stóp Matki Boskiej już pogasły; anioł pierwsze zapalił a drugie pogasił; cześć Maryi z ziemi wzniosła się ku niebu— błogosławieństwo Maryi zstąpiło na ziemię!

Pożar puszczy.

p: W. Pola.

Wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, wszędzie gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłóczyć z niej piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska. Najprzód gospodarzy wichry i roznosi nasiona przyszelego życia; w ślad jego zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiero podejmuje człowiek walkę z potężnym życiem roślinności pierwotnej, a jako dzikie dziecko natury, poczyna zniszczeniem serc dzieło.

Czuając się za słabym do tej walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy, wichrze roślina na ziemi, a po niej ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały letnie góry lasów, czyli pożary puszczy.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłym zjawiskiem gorejące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wichrami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne.

Z traskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzoscwin, mechów, wyschłej trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęglając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyci, potem zbiega pożar wysokim słupem po sosnie lub jodle i osmala w jednej chwili wszystką choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z traskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się żywicy.... Powoli zbiega z niego płomień tej olbrzymiej główki w przelocie, gdy wiatr silnie zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!...

Widziałem pożar taki. Z raua na milę rozciągały się dymy pod sklepianiami puszczy, równą, wąską, błękitnąwą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdąła huczało ognisko;—gorąco nie dozwalało przystąpić i cała puszcza drżała w ograniczonym powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nie nie można było widzieć. W nocy stał ogień ogromnym słupem wśród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały..... i wielka luna świeciła na niebie. Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszciami łuny takie, a co noc w tej samej stronie, a co noc szerzej, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.

Przykrym jest widok puszczy zgorzałej i wystygłej; bo nie zaraz odżywia się roślinność na podobnym spalisku, zwłaszcza tam, gdzie roślinność północna zwolna się tylko dorabia swego istnienia, gdzie ze zniszczeniem lasu znika zarazem na długo, na bardzo długo, całe podszanie roślinności drobnej, które jest koniecznym warunkiem roślinnego życia w wyższych jego potęgach.

Widziałem jak się raz wyniósł ogień wazkim oszyjkiem torfów z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciągu jednej nocy w palący trzon. Nurtnając po wyschlém torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki dzielącej się na drobne ramiona, aż całą postać ogarnał... Następnie zbliżyły się pociągami wiatru te ogniste rzeki, ku sobie, i tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdawało się całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalane, potem opadł płomień, a czarne dymy skręciły się w wielkich kłębach ku niebu.... Gdy je wiatr odniósł, poczerniało znowu całe bagno i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy po każdej wyniosłej kępinie. Paląca się puszcza podobna była do gorejącego miasta, a paląca się torfowiska po kępinach do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem....

Jeśli podobny widok jest okropnym, osobliwym będzie widok puszczy wśród ciemnej nocy odwiecznym próchnem świecącej. Miejscami wśród zawałnych lasów leżą całe pokolenia drzew obok siebie, pokrywając pokładem swym tak gęsto ziemię, że noga nie dotyka piasku.

Na pozór czerstwe pnie i zwałiska rozsypują się za stąpieniem jak purchawka, i noga tonie w nich aż do dna.

Mchem porosłe i nietknięte kłody czernieją pośród nocy, lub są niewidzialne wcale, lecz stąpieniem potarte i rozrzucone próchno rozświeca się mdłym fosforycznym światłem i idący nocą, zostawia po sobie nihy gorejące ślady upiora.... Rys tropi tak sarnę, myśliwy zwierza wszelkiego, i *nocne tropy* wśród puszczy zawałnych znane są w języku łowieckim na Litwie.

Ze stepu.

W. Pol.

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek! Rzadki dzień spokojny—tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu. W czasie upałów letnich, powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach rozpalone powietrze wali się wschodnimi wiatry—niesione spiekłą powodzią na Dniepr i cała noc niewystarcza nieraz na wychłodzenie téj spieki. Kiedy po zupełnym uciszeniu się wiatru, słychać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą—zda się, jak gdyby z gorejącego pieca, upał powionął. Tenże sam wiatr wypala także na srokatém polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata smutnym jest ich widok.

Zzołkłą, rudą mietlicą, porastają trawy, lasy bodjaków wywiędłe osypują puchy.... Oczerety spłowiały.... Na wypasionym stepie szeroko popękała ziemia. Widokrąg przybliża się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą spragnione stada do poła.... Niebo jak za mgłą.... Czerwoną strzegogą zadęte, bez jasności promiennej, stoi słońce samotnie ana niebie i step paszeje zgorzały—i odłogiem leżące ziemie jałowieją.... W powietrzu cicho—tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą,—a gdy się młynce zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosa, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu!.... Naówczas to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody niema w powietrzu, ani na ziemi, tylko po dolinach ściele się miejscami trawnik zielony, w małych płatkach. Są-to zaskórne wody, które i pod tę porę

podsycają trawy, a kopiąc w takich miejscach, napotyka się zawsze w pewnej głębokości na wodę, a niekiedy nawet na żywe podziemne źródło.

Piękną jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciśszą się wiatry.—i tak spokojnie w powietrzu—i nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiazdy.—Głęboko roztwiera się niebo—i jaśniej niż nad puszciami wyiskrza się mleczna droga.... Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i dziczą, i strzyże czujnie uszyma, a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbita!... Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu... Słychać lot dzikich kaczek wracających stadami z żeru na jeziora... Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy! Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami! Przepiórki wabią się w zbożach—bąk wodny huka po trzcinach!

Równy i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy;—nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej, a na krótkiej święto-jańskiej nocy, za ledwo zgasła na zachodzie, a już ciż świta od wschodu—i zda się, że się jój jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła....

Mgły lekkie ślać się poczynają—gwiazdy blednieją—ognisko popieleje.... Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi—a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichry stepowy od wschodu!...

Egzamin w gimnazyjum Krzemienieckim.

(z „Ramot“ starego Detiuka)

Otworzyły się publiczne egzamina. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapalem oddawała się naukom. Poписы, szczególnie z fizyki i chemii, objaśnione doświadczeniami, z wymowy i literatury, okraszane przytoczonemi wzorowemi przekładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczów zachwycały. Zadololeni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiej doznawał radości, i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. Biblioteka jeszcze ukończoną nie była, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób zbierających się na ten akt uroczysty, w gmachu więc wspaniałym, w kościele gimnazjalnym, uroczystość każdą podobną obchodzono. W środku kościoła, po prawej ręce od wehodu wzniesione siedzenie biskupa, po lewej tron z portretem Cesarza, wokół krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów. Jeszcze niema Czackiego, Komisarzów i senatu nauczycielskiego. Klasami rozstawieni zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy gromada celujących, należnej nagrody oczekujących. Kursa osobno stają; wszyscy w mundurach, wszyscy weseli, czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących przynajmniej listu pochwalnego, wpośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nie tylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpuste nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczyścić się pragną. Od drzwi wehodowych dał się słyszeć szelest; wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły, wszystkich usta szepnęły: „idą.“ Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa; dwóch ostatnich nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za nimi dyrektor i prefekt, dalej komisarze: Michał Sobański, Wacław Boreyko, ks. Maksymilijan Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisji, Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski, na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła; na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. Biskup zaintonował „Veni Creator“ po którego odśpiewaniu Czacki zagał posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choński w uczonej rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomii politycznej.

Nastąpiło rozdanie nagród: od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu, każdemu, oddając list pochwalny, coś stósownego, coś przyjemnego Czacki powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnie na akcie rodziny, oddawali tę nagrodę ks. Biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniej Król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale jeżeli matka była obecną, Król zostawiał jej pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił. „Zaszczyć tę nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!” przemówił Czacki. „Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorosłszy lat do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś młodzieńcy możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czciwego krewnego ten znak waszjej zasługi odebrali i starajcie się być jemu podobni. Izidor i Piotr Sobański byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezsronniej złoty medal nauczyciele przysądzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu. „Synu mój Józefie!” rzekł ojciec, „ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś nanią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewnijają; wierzę więc, z prawdziwą serca uciechą zasługę twoją uznają i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam dostojni nauczyciele o przełożeni tej szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulacją. Czém on będzie na świecie, wasze to dzieło; a za trudy około niego podjęte nagrodą, moja ku wam wdzięczność, która do grobu serca mego nie odstąpi. Ale mój synu! ukończywszy zawód naukowy wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły!

Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega.

Na tobie mój synu cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz moimi względem téj szkoły uczuciami; ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić téj szkole, tym czcigodnym współziomkom, téj ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła. Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całym twym życiu, postępując drogą wiary i prawości staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego Monarchy, godnym imienia ucznia gimnazyum Wołyńskiego; na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń swoją! ”A ująwszy syna pod ramię, a drugą ręką medal:—„Pójdź—rzecze—synu kochany, nikt godniej nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swoim przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości kraju! ” Nie mógł już więcej mówić, lzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolano; drżącą ręką staroscina przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową i gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca, i lzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te lzy były łzami radości, niemi tłumaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy staroscina przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed splakany Pasterzem, który go ojcowskiem sercem na dalszą kolęj życia pobłogosławił. Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. Biskup hymnem św. Ambrożego i powszechnym błogosławieństwem.

Wakacye rozproszyły uczniów i nauczycieli; tamci do domów własnych lub rodzin, do własnych kątów się udali; nauczyciele znaleźli przytułek pod gościnną strzechą naszego czcigodnego obywatelstwa.

Jezioro Leman.

Zyg. Krasińskiego.

O miłą jeszcze przed Lausanną odkrył się mojemu oka widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzył

może wzniosłego i pięknego. Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca, jak massa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snły się jedna za drugą nakształt splotów ognistego węża, a części jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych podobne były do roztopionego *Lapis lazuli*, w którego łonie osadzono świetniające farbami tęczy drogic kamienie. Ten ogromny obszar wody lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je, to na szyby lodu, to znowu w fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr unoszący się ponad wodą zwalniał, odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kapać się w przezroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżać w zwierciadlanej toni. Zieloność trawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu wieńczącego wyżyny, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wioski po bokach rozsypane pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy;—tu lipa żółtkłemi szeleściła listkami za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwiały białe żagle statków jeziora;—tu modrzew ciemną zielonością ocieniał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne, wijąc się, rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Dalej znowu dziksza poczynała się okolica; naga skała śmiało czoło pod chmury dźwigając, wydaje się jak olbrzym, pogardzający murawą i kwieciami;—strumień huczący spada z jej urwisk i pianą biegnie w dolinę, gdzie pośród umajonych wybrzeży spokojniejszym już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą, której białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka wije się od jej drzwi, aż do skał wyższych. Czasem człowiek po niej dąży, czasem krowy dzwonekami u szyi zawiązanemi brzęczące, przesuwiają się powoli wśród dołów i przepaści, i z schyloną głową na wzniesionych gór piętach, żują ostatek jesienną trawę.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasma gór wiecznym lodem skrzepłych cią-

gnie się po dragięj stronie jeziora:—mgła i pośród najczystszej pogody zaciemnia ich ściany; chmury w fanta stycznych kształtach się snują po ich szczytach, to jak czółgające się węże, to jak skrzydlate smoki. Śniegi od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach jak sztaby ze srebra przykute do piątr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy znizona zapowiada zachód czerwona w barwę swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka i patrzeć i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niezém są rubinu blaski przy jasnościach rozlewających się po górach, które otaczają jezioro genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane; wierzchołki gór purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie,—o ile to może istnieć na ziemi, — tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczowych skrzydeł serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu gromadząc się razem rozwijają pyszny baldachim nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę w oddali, lasy i gaje—a utworzy się obraz, który łatwiej uczuć niż opisać.

Za stopniowem niżaniem się słońca, słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różowej farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tyłu świetnościach i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie kratowane śnieżnymi pasami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Lemanu odbijającą. Księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiej odznaczone. Nie tak rażące światło jasnieje nad okolicą, miłszy czułem sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przegłądać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistej nie znikną oddali. Uroczę Helwecyi wdzięki, opuszczają nieco z swojej wzniosłości i powagi zstępując do rzędu widoków, między którymi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpływa się serce. Księżyc rozsyla srebrne promienie, by uwieńczyć gór

szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwiają i mieszając się do śniegów, zdają się między niemi roztopiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Urywki z Listów Zygmunta Krasieńskiego.

„Młodość jest Boską rzeczywiście sferą, jest zapowiedzią tego, co ludzkości kiedyś daném być ma; jest rajskiem marzeniem, ale marzeniem dopiero. Młodość jeszcze się nie rozbiła o rzeczywistość, jeszcze jest pełna nadziei i wiary; ale nadzieja i wiara są płonne, dopóki ich rzeczywistość nie sprawdzi. Wiara i nadzieja są lekkimi cnotami, póki przebywają w marzeniu—ale ciężką cnotą jest miłość.

Tak Konstanty gdzieś napisał: „ciężką cnotą jest miłość.“ Nic piękniejszego o miłości nie powiedziano nigdy—ona dopiero sprawdza w rzeczywistości to, co wiara i nadzieja zapowiadały; ona dopiero żąda od nas tego, co tamte obiecywały nam. Jeżeli młodość nie rozbiła się jeszcze o rzeczywistość, to też z drugiej strony nie dała jeszcze o sobie w rzeczywistości świadectwa; jest-to piękny poranek, ale sąd dnia wyrzucić się może dopiero u schyłku jego. Nie ubliżajmy młodości, niech wie, że w rękę swoim posiada skarby społeczeństwa, niech wie, że jest jego nadzieją; ale niech nie zapomina też o tém, że życie jej powinno być miłością tego, czego się spodziewała, że koniecznie powinno oddać przyszłym pokoleniom wiare, którą w początku chnęła. Biada człowiekowi, narodom, ludzkości, jeżeli młodość w nich umiera, ale biada im także, jeżeli wiecznie jednostronnie żyją jako młodość, to jest jako: zapowiedź, nadzieja, marzenia!

W istocie, za dni naszych świat nadewszystko młodość wynosił pod obłoki; śpiewał o niej, mocą ją uznawał pierwszą, a starością pogardzał; ale nadejdzie czas, w którym może naj-

1) Konstanty Danielewicz, kolega uniwersytecki, przyjaciel i towarzysz Z. K.

piękniejszym wiekiem stanie się starość—właśnie starość taka, co nietylko, że nie straciła wiary młodości, ale tę ze stanu błędnego nadziei,—przeprowadziła do stanu widomego rzeczywistości.

—To jeszcze powiem, że bez wielkiej energii—i wielkiej, miłości niema—, „bo miłość jest ciężką cnotą“—więc dla przeprowadzenia jej przez życie całe, nie lada energii potrzeba.

Ona wymaga ofiar bez liczby i końca; wcześniej czy później ona zażąda największych poświęceń; a jakże poświęcić się, jeśli marmurowych posągów hartu i blasku zarazem niema się w duszy swojej. Taka miłość na ziemi jedyną podporą, jedynym życiem wśród podłości i zbrodni, wśród mąk i trwóg, wśród niepewności i szarów świata. Tylko na Bogu się oprzeć,—tylko na ukochanych,—a zresztą na niczym, bo wszystko zdradzi, wszystko się usunie, wszystko się odwróci, wszystko szydzić będzie i odmówi pomocy, ratunku, sprawiedliwości. Ale kto kocha, ten silny; komu serce nie umrze w piersiach, ten czoło nadstawi gromom losu spokojne i dziarskie, bo w nim pała iskra życia. A nędzną byłaby miłość, któraby nie przetrwała wszelkich boleści: nie sztuka kochać, gdy za kochanie co chwila wzrok przytomny i słowo obecne nagradzają; ale kiedy czas, przestrzeń, ból, niesprawiedliwość, gorzka ironija dzielą — wtedy kto kocha ten kocha, a wcześniej czy później muszą mu oddać sprawiedliwość.

Nie inaczej się dzieje i w historii ludzkości z tymi, którzy ludzkość nad wszystko ukochali. Płacono im zrazu gwoździami, cierniami, octem, żółcią, później nieskończoną miłością. I oni też w danej chwili, wiele bólu obecnej ludzkości sprawili, i oni też ją przywodzili do rozpacz, przymuszali ją płakać, pościć, bić się w piersi, najśłodszych ułud ją pozbawiali, a sami jakżeż nieszczęśliwi byli! Tylko ojciec, który jest w niebiesiech, wiedział, do czego to wszystko prowadzi.... To, co nie przeszło przez żadną próbę, choćby najśliczniejszymi łezkami przyskało, nie wie samo o sobie czy żyje; to—co dotknęło się próby a nie wytrzymało jej, tém samem umarło: to tylko prawdziwie żyje co próbę odbyło i z niej pod wyższą jeszcze postacią się wy dostało. I ta prawda tyczy się wszelkiego uczucia, wszelkiej idei, wszelkiej powszechności, wszelkiego indywiduum; jedynym tylko prawem wszechświat rządzony—lecz wszechświat z wielu

części i cząstek się składa, a każda według właściwości swojej podlega temu samemu i jednemu prawu. Niechaj-że więc ukochani błogosławieni będą i za szczęście dane, i za sprawiony czasem ból—jedno i drugie wspólném życiem jest, jedno i drugie miłością; miłość albowiem ma się do szczęścia jak duch do ciała i duszy—jest wyższą od obojga, a oboje wiecznie są jej członkami, narzędziami, cząstkami składowemi. Biada tym, co z jednéj strony ciało za całego człowieka, a z drugiej szczęście za całą miłość poczytują; cząstkę oni za całość biorą i prędko téż życie ich wymiera—bo tylko *całość* nieśmiertelna jest i być może.

.

Samotność dobrém mi jest nieocenioném. Gdy to piszę, z okien widzę wielki widnokrąg już nagi, już szary, lasy zdaleka już płowe; pogoda cicha, światło słońca blade, żegnające się z tą ziemią, bo za dni kilka chmury śnieżne roztoczą się na długi czas między nią a niém. Jesienny to dzień prawdziwie smętny i spokojny; jakieś umieranie rozlane wszędzie, ale chrześcijańskie, pełne wiary i zdania się na wolę odchodzącego słońca, tego zbawiciela i pana natury. Taką śmiercią chciałbym kiedyś skonać, w taki dzień jesienny podobny dzisiejszemu, ale ukryte są ścieżki Pańskie, co wiodą człowieka od modlitwy do jej urzeczywistnienia.

Chodziłem wczoraj po ogrodzie i przypatrywałem się jak wszystko widnokrewnie zagasa i kona, począwszy od drzew, które sypią liście żółtkłe, aż do słońca coraz mniej krążącego na niebie. I widziałem, że wszystko w naturze umiera z instynktem zmartwychwstania: słońce wie, że wróci na wiosnę przyszlą; drzewa cicho płaczą i szumią, lecz nie było w nich rozpacz; lekko zewsząd podnosiły się mgły i błękit niebios otulały, jakby chciały zachować go do pory odbłękitnienia. Wrony tylko czasem przelatujące krakały obrzydłe; w ich krzykach nie znalazłem nadziei, one jedne wąpią zupełnie; to są filozofy przemądre, poważne, flegmatyczne a szpetne, lubiące się zbierać tam, gdzie leży zgnilizna i karmić się pozorami śmierci w świecie. Ale prócz wron, wszystko wiedziało, że życie powszechne nie ustanie, i że znów będzie na wiosnę tym polem, tym wodom i niebu temu. Dziwne uczucie, w najwyższém zna-

czeniu religijne, mnie ogarnęło; byłbym w tej chwili zapragnął spowiednika. któremubym się mógł wyświadczać ze wszystkich bólów żywota mego... Święta, błogosławiona samotność.

XVII.

Monachium 25 Decembra 1841.

Sam, zupełnie sam wczoraj wiliją jadłem u Otta, gdzie zawsze jadam. Skończyło się na dwóch forellach i naleśniku jednym; a bez opłatka,—a bez siana pod obrusem,—bez nikogo.

Gdym kończył, już pierwsza gwiazda zagładała przez okno, a wkrótce potem i duży księżyc przyszedł. Wnoc księżycową, bardzo srebrną, roily się tłumy czarne po ulicy; wszyscy spieszyli na mszę. Jam znów około 10-tój wyszedł od siebie i szedłem do Konstantego. A oto! wszystkie dzwony miasta zaczęły wołać do siebie dobrą nowinę, że się Chrystus narodził, i z moździerzy też pukano i z dział strzelano za miastem. A mnie było gorzko, żem był sam,—sam taki jeden na tej ulicy, w tém świetle miesięczném. Nie wiem czemu bardziej sam, o tej chwili zstępującego Boga na ziemi niż innych dni życia? Bo ta chwila, która ma się do całej ludzkości razem, wymaga zgromadzenia się jej członków; nie jest to chwila samotności! I gdy te dzwony grzmieć zaczęły, jak one w noc dnia zadusznego, co tak szły za mną, wszędzie po tych ciemnych polach, aż mi się w sercu cudownie tęskno, nieopisanie tęskno stało do dnia tego i chwili onój, w której Chrystus na tym planecie się rodził. A gdym spojrział w niebo i w te wszystkie światy, w drogę mleczną, w ogrom, w bezmiar—aż zadrzałem, bom uczuł jakby drugi raz—oto—szedł z niebios ku ziemi i miał stanąć na niej! powiadam ci, coś nadziemskiego mnie zdjęło. Spójrzałem na kręcących się koło mnie ludzi, co biegli do kościołów grzmiących, zdało mi się, że widzę w nich wszystkich *jednego Ducha*.

Wyjątki z Listów z Podróży.

Padalicy.

Któż nie wie, iż na ziemię własną patrzymy zwykle innym okiem jak na cudzą; że widzimy ją przez uczucie, przez

serce, i tego pryzmatu nie przynosim nigdy na miejsca nam obce? Z latami co przeszły na rodzinnych błoniach; ze słońcem, co nas oświecało, z powietrzem, co dmuchało nam w lica; z lasami, co szumiały nam do uszu niewysłowioną piosnką zadumy; słowem—z tém wszystkim co nas wykarmiło i z nami rosło, jest pewna święta pokrewność uczuć, coś—czego nie oddamy za najpiękniejsze widoki Szwajcaryi, ani klimat włoski! Nie bierzemy w tej chwili uczucia tego w znaczeniu jego najwyższém i mówim niejako o jego pierwszych związkach, o tém dziecięcém przywiązaniu, które nas łączy instynkownie z piastunką i domem. Przywykliśmy widzieć kraj nasz obleczonym w tę majestatyczną a świętą szatę pustyni, gdzie jeszcze poezya zdaje się uosabiać ducha Bożego gospodarzącego w jego lasach i stepach; gdzie człowiek podrzędną miał rolę, a jak wyraził się jeden z naszych poetów „niewidome siły jego samego pilnowały, jak dziecka.“ W takim stosunku człowieka do przyrody, czegóż tu nie tworzyła wyobraźnia, jakiemiż dziwami nie zaludniała kraju! Złotym deszczem pieśni i bajek ludowych oblewały nas w kolebce; przeobrażały się na cudackie postacie w dziecięcój wyobraźni, potem gadały niewysłowioną mową do serca młodzieńczego, aż rozwidnione dojrzałszym umysłem oblekły się w idealne kontury poezyi. Kto lata swe najpiękniejszego, bo młodego życia, przekołysał w tych przemianach, żadna już siła niwelującej cywilizacyi nie zatrze w nim tych wspomnień i nie zmusi go ukochać ją, jak tamte. W wagonie na żelaznej drodze, w pałacu wystawy powszechnój, wśród rozmaitych cudów przemysłu i sztuki, jak skoro gwar nużący zmysły, opuści cię na chwilę, ta „mizina,“ serdeczna struna zadrunka w sercu i robi ci się tęskno za tamtym obrazem!

Tom I str. 48.

Śliczna to droga z Żytomierza do Zwiala! Lasy, błonia, wioski, zmieniają się w kolej jedne za drugimi, a wszystkie inny mają wyraz od ukraińskich. Nie mogiły już ani stepy, ale sine taśmy boru wszędzie tu obramiają widnokrąg. Co chwila najeżdżasz na jeziora drzemiące malowniczo wśród lasów, obezYTE łoża i wodném zielskiem, oplecione nierozplataną siecią powojów. Tam młode brzozy tulą się pod ścianą gęstój jak płót sośniny; tam burzany i kwiaty opłotły ogromny tułów

zwalonego dębu i koralowemi główkami zagląda ją bojaźliwie do wnętrza; inne po gałęzi suchej wspięły się na sam wierzchołek, i jak motyle świecą się ku słońcu, gdy tymczasem z pod próchniejących bioder olbrzyma, przegląda łysa głowa grzyba. Tam drożyna wyjrzała z lasu, stoczyła się wdzięcznie na łąkę, zadrypała się i zamoczyła po kółkach i faszynach grobelki i znów pobiegła szybko przez ukwiecone błonia— a oto rozstały się lasy, i poleska wieś siedzi sobie cicho w pośród trzebieży.

Zerdziowe płoty opasały jej ogrody, częstokoły obramiły chaty, słomiane dachy siedzib mieszają się z sobą i w miarę zbliżania zbiegają się, rozstępują, rosną, aż scharakteryzuje je cerkiewka, dom obywatela o białych ścianach i karczma siedząca przy drodze. Tu las zbliżył się do przyczółka wioski; tam dał miejsca na kawałek łąnu, a tam znowu rozstał się i przyjął w ciemne swe łono zieloną i potoczystą łąkę, która Bóg wie, jak daleko się ściele. Na takie wioski i okolice patrzałem dzień cały, widziałem je w blasku słońca, o zmroku wieczornym i przy promieniach księżyca. Stósownie do wyrażu miejscowości, obudzają w podróżnym rozmaite myśli. Tam, w tych zarosłach, jakież miejsce cietrzewi i słomek! w tych oczeretach lisy być muszą, na tych jarzębinach wieszają się zapewne co rana jemiełuchy i jarzabki, a te same massy boru,— a te szerokie knieje na łosie i dziki! Wieś poleska, to jedyna jaką znam ustron dla cichego, a kochającego serca; to nieoceniony zakątek dla hodowania uczuć rzewnych; tu je można wyczerpać do dna, przesiąknąć niemi, zniekorować od zbytku. Wszystko tu kocha się, kwitnie, cieszy tym niekłóconym pokojem życia, jakie daje tylko pustynia.

Tom. I str. 52.

O czwartej po południu wyjechałem z Warszawy, a o dwunastej w nocy stanąłem w debarkaderze częstochowskim, ubiegłszy w ciągu ośmiu godzin 32 mil polskich. Odebrawszy mój podróżny tłumoczek, wynająłem doróżkarza, który mnie odwiózł do miasteczka leżącego o ćwierć mil od debarkaderu, pod górą częstochowską.

Noc była pogodna; księżyc nie wiem dobrze czy już był zaszedł, czy jeszcze niewschodził, dość że nie świecił i li przy

blasku gwiazd odrysował się przedemną zarys góry i mury klasztorne. Na tle ich matowém pełgała prawej z strony lampka, którą palą ustawicznie przed zewnętrznym ołtarzem Matki Boskiej i wyznają, iż owe tajemnicze światło oblekało dla mnie to miejsce cudowne w urok pełny religijnego charakteru. Wieża klasztorna biała cokolwiek, a krzyż na jej kopule ozłacał się na rąbkach i wysoko górował nad okolicą, jakby zadzierzgniętą zasłoną czarną. Ponad tym płaskim pejzażem zalanym jedną masą cieni, widniała przedemną ogromna tafa nieba, po którym szybko chodziły chmury i rozwełniając się na środku, zgniatały się potem w masę brunatną i ciężką na krańcach horyzontu.

..... !

Tom. I str. 137.

Przecisnąłem się nie bez trudu do kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej. Już zciemniało zupełnie i tylko świece pełgały przed ołtarzem i w rękach modlących się. Kaplica, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej jest przedzieloną na dwie części wysoką, posrebrzaną kratą mosiężną.

Długo rozpatrywałem się w obrazie i ozdobach go otaczających, potem modlić się zacząłem i nareszcie pograżyłem się w myślach, które pod wpływem obecnej chwili zaczęły mnie jakimis fantastycznemi nakrywać skrzydłami. Widok rojącego się do koła mnie ludu zaczął robić na mnie szczególne wrażenie... Kościół i wnętrze tej kaplicy zdały mi się zupełnie innemi od tych, jakie przywykłem widzieć dotąd. Świece i lampy pod ciemnymi łukami sklepienia malowniczo oświecały grupy modlących się wieśniaków. Głos kapłana ginał w tym tłumie, a natomiast z rozmaitych punktów, z głębi ciemnych kątów, leciały przed ołtarz śpiewy pielgrzymów, rozlegał się szept modlitw, płynęły cicho pacierze i westchnienia. Zlewało się to wszystko w monotonny i wrażliwy szum jeden i nakształt wiosennego, ciepłego deszczu w nocy biło o sklepienia świątyni. Wsłuchawszy się, odróżniało ucho jak z lewej strony ołtarza odzywały się co chwila monotonne, litanijowe wołania wieśniaczek: „Synu Maryi!“ i tą tęską, melancholijną nutą pokrywały wszystkie inne śpiewy. Nie zapomnę, o! nigdy nie zapomnę tej nuty i tej litanii! Za kratą, grupa

wiesniaków w szarych siermięgach z podniesionemi rękami klęcząc, wtórowała im zgodnie; obok mnie leżeli krzyżem dwaj starcy o białych włosach i klęczała kobieta pod lampą, od której światło kładło mocne cienie na wychudłą jej twarz i spracowane ręce; nieopodal, kilkunastu parobków oparłszy palce o marmurową tablicę czyjegos nagrobku, szeptali „Wierzę w Boga“, a pomiędzy tym tłumem tak dziwnie i malarsko zgrupowanym, tak gorąco pochwyconym i jakby skryzalizowanym przez ducha modlitwy, tu i tam stali jak posągi Górale Krakusy, Szlązacy i przesuwały się w głębinach białe postacie Paulinów, przestępując leżących krzyżem, obchodząc klęczących, niby duchy zwiedzające pod czas nocy pobożowisko.

Ten oryginalny wyraz modlitwy przed obrazem Boga Rodzicy, ta świątynia istic ludowa, gdzie kapłan i msza tonęły w massie, ta gorąca prosba posyłana do stóp ołtarza melancholijném, rodzierającym serce wołaniem ludu, ludu, o którym wiesz jak wierzy,—wszystko to robi wrażenie tak silne, że żyły tylko i modlitwa ulgę ci istotną przynieść mogą....

I długo jeszcze potem oparty o kratę, wpatrywałem się w tę gromadę pobożnych i zachwycałem się tym cudownym obrazem zbiorowej modlitwy, który zdarzyło mi się widzieć po raz pierwszy w życiu i uczuć, i podzielić ją raz pierwszy!..

Ten sam lud, na który gniewałem się z rana za gwarne nachodzenie kościoła, który nie umiał przyzwocie jak my pod dozorem kościelnych szwajcarów, stanąć przed ołtarzem i modnym sposobem przeszeptać pacierza,—tu cały zamienił się w modlitwę i—o Boże! z jakąż wiarą patrzył się w obraz Boga Rodzicy i spracowaną rękę wyciągał do Niej, żebrać opieki.

Tak czytelniku! ze wszystkich osobliwości Jasnogóry, ze wszystkich jej skarbów i pamiątek, tę wiarę czystą a silną polskiego ludu, rozumiem być osobliwością najwyższą, którą żeby pojąć, żeby ją uczuć i podzielić, umyślnie tu przyjechać trzeba. Raz poczuwszy ją sercem potrafimy zrozumieć wiele tajemniczych zagadnień historyi naszej, źródło istotnej naszej siły, a może i szczęścia na przyszłość.. Podczas gdy cały świat wyziewa jej ducha lub okazałemi formami stara się wyłącznie uderzać na zmysły,—szczęśliwym się czuję, że oto w tej kaplicy, w tej gromadce ubogiego ludu, Wiara Ojców naszych żyje w całej swój pierwotnej prostocie i czystości,

i istotna potęga cudu, rozplómienia się w symbol Nadziei i Miłości. Mamyż żądać bardziej widomych łask i dowodów opieki? Czujemyż potrzebę dotykać trędownych, i chromych lub ślepych, ażeby w zeznania wiarogodne mnożyć prawdy i tradycyje Kościoła? gdy oto tu, prawie codziennie i w naszych oczach, spełnia się cud wielki, chrześcijański, — cud Wiary i Modlitwy!

• • • • • Tom I str. 147.

Montmerency.

Był to sliczny wiosenny poranek, kiedyśmy wyjechali do Montmorency. Kółko nasze było niewielkie ale serdeczne, przyjacielskie. Otaczają go sady i winnice, a domki malowniczo lepią się na pochyłości góry. Kiedy wam mówię o jakiej wiosce francuzkiej i opisuję jej położenie, nie dopełniajcie tego opisu stosunkiem do miejscowości naszych. Nasza wioska a tutejsza, zupełnie odmienny mają wyraz. Sadyby nasze zwykle są rozrzuconemalowniczo nad brzegiem stawu lub ruczaju; chatki leżą odosobnione, obejścia ich umajone w sady, słomiane dachy przegładają tu i owdzie z masy zieleni, co je nakrywa jak parasolem, a białe facyaty domków ożywiają ten sielski krajobraz; tu wsie jak miasteczka są spojone dom z domem, ściany murowane i piętrowe; zamiast naszych chróścianych płotów i częstokołów, parkany z kamienia lub cegły, obejścia ciasne, ulice wąskie, słowem już—wsie wyglądają na miasta i są właściwie miastami, tylko na drobną skalę. Kiedy się te facyaty domów poubierają w kwiaty; parkany oplotą w powoje i troskliwie opatrzą w wiejskie ozdoby każdy drobny kawałek ziemi; kiedy się to umiecie, przystroi i ozdobi gustem i opatrzeniem, jak to umieją robić Francuzi—ma to wdzięk i powabny wyraz, ale dla nas nie przypomina nic naszego; owszem, przypomina te pejzaże z ruinami zamków, które ze sztychów przeszły już na transparenta, tabakierki i tace.

Uwagi powyższe dadzą się zastosować i do Montmorency. Kościółek, co go zdobi, stoi na przesliczném miejscu, z kądem szeroki odsłania się krajobraz. We środku, na lewo od drzwi

głównych we framudze frantowej ściany, leżą obok siebie zwłoki Ursyna i walecznego Kniaziewiczza. Nasz Oleszczyński wy-ciosał dla nich z marmuru pomnik pełen prostoty i prawdziwie artystycznego natchnienia. Wyobraża on anioła zlatującego na węzłowiach tych starców z rozpostartemi rękoma, jakby niósł im z nieba pokój, łzę westchnienie. Co to za postać! ile tam poezyi i prawdziwego uczucia! ile tam myśli wcielono w te szlachetnie a tak prosto zarysowane kontury!

Za miastem, idąc w górę znajduje się cmentarz kościoła opasany murem. W szeregu prostych grobowców polskich, leży głaz kryjący zwłoki Mickiewiczza: Skromny napis i kilka gałązek cyprysu pokrywa kamień. Ma to być grobowiec tymczasowy. Później mają przenieść zwłoki do kościoła, Oleszczyński ma wykonać pomnik i stósowny umieszczać nad nim napis. Lecz czemuż pomnik ten nie będzie w kraju, na ziemi rodzinnej! Tadeusz i autor Tadeusza, to są dwie tak wielkie i tak ściśle narodowe postacie, że dla nich trzeba rzucić po garstce własnej ziemi i nasze, sławiańskie, usypać na ich prochach mogiły. Dla wieszczą, co był poetą w najwyższym znaczeniu tego wyrazu, co umiał przetopić na wiekopomne słowa cały złoty pokład uczuć, łez i cnót narodowych, dla wieszczą takiego, powiadam, nie o marmury kararyjskie starać się potrzeba. Albo dać mu rodzinną ziemię na zwłoki i nasze niebo na pokrycie, albo ten prosty i ubogi zostawić kamień na nich, — prosty i ubogi jak był on i całe jego życie...

Któż dziś niema marmurów, nagrobków, szumnych napisów i kamiennych sklepień w kościołach? Magnaci i bankierowie zdobią się bodaj czy nie w najlepsze, a godziź się przy-mierzać go do nich? Nie dla tego go czcimy, że był genialny jak Göethe, potężny jak Bajron, wielki jak Milton, lub głęboki jak Dante; nie, — nie mierzym go według modły krytycznej; ale oceniamy według siły tego ducha, przez który uszlachetnił swych czytelników. W nim się uwidomił naród z całym bogactwem cnót jego rodzinnych i wielkich. Oddziaływał on na nas nie harmonijnym brzmieniem wierszy, nie mądrém sformułowaniem okresów, ale tą jakąś siłą co jak bóstwo w ziemskie oblekła się szaty. Żaden krytyk, dziś nawet, nie odszuka w jego dziełach téj siły, gdy próbować ją zechce na osełce rozumu; ale z uchem przyłożoném do ziemi dosłyszysz wyra-

źnie jej pulsacyi. Jakże opiszą takiego człowieka marmury i nadpisy, bodaj najlepsze? Kiedy pewien podróżny przeczytał napuszony nekrolog na grobie Rafała, zawołał: „Czemuż nie napisano po prostu: „*Tu leży Rafał*“ powiemy podobnie o Mickiewiczu: Czemuż nie przestaniemy na tym prostym głazie, co go widzimy w Montmorency?

Otoczywszy grobowiec, przeszliśmy pod wpływ myśli nie smutnych ale wzruszających. Płakać, że umarł,—żałować, że nie żyje przez wieki, nikt z nas nie był w usposobieniu. Owionął nas żal nie ten, co się we łzy rozpada, co pojmuje boleść rozłączenia; ale ten cichy, który porównałbym do dni spokojnych jesieni, osiadających niekiedy na kraj cały; do tych momentów uroczystych, które według wyrażenia poety, zwiastują przelot anioła milczenia.

W wędrówce mojej po obczyźnie na ileżto już patrzałem grobów! Bodajby najtkliwsze serce, jużby się wyekspensowała z czułości i nie odbierało wrażeń. A jednakże głaz Mickiewicza, owa pięćdziesiątka ziemi, pod którą w proch się obraca to serce, robi na nas wrażenie nieznanne dotąd, bo promienie jego geniuszu przesnuły nas i przez ich przyzmat patrzymy dziś na ten kamień.

Listy Padalicy.

Tom I str. 378.

Wyjątki z Listów Kremera.

O wspomnieniach.

Młodości poranniej wspomnienie, to zielnik stary, bo w niem wszystko przechowano z dawnych lat; co serce niegdyś ukochało, co szczęśna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułomkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły roze jak miłości młode; zbladły zawczesne trymfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fiołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały

się same jedne pamiątki cyprysowe, owe niezabudki młodych łąz. Młodości lata—one rajskie ogrody strojone kwiatów rodem, pejone niebios rosą, one dziś głuchym rozłożystym omentarzem; wśród jesiennej szarugi życia, na grobie czarodziejskiej uludy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada.

One radosne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyswiecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek w tęsknocie swojej tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy cichą stopką po niebie chodząc słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą dróżką swoją na niebos przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonj sścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie rozjaśniając ciemne ducha tęsknicel! Więc patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doezesne, umarło; co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystek twój wiek.

Tak; komu zacnego ojca uśmiech był jutiznią ducha, a nieskażona cnota wzorem; kto jego błogosławiącą modlitwę wziął posągiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka miłości pełna prawila o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożej, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałym na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiautowały zacność i święty obyczaj domowy, ten zaiste nie będzie samotnym na świecie. bo nieśmiertelna jest spuścizna miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie; choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ckliwych, cofnio się w siebie, zamknie się w sercu własnym jakby w przenaświętszej świątynicy istoty swojej; w cichocie uroczystej; sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczj treści ducha swojego da posłuchanie,—i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie;—i stanie przed nim matka i pochwali, i przytuli, zcałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne

BIBLIOTEKA

Wyższe; Szkoły Politt. - Wych.

od ziemskiej niemocy odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem—i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jej radośne obrazy wypłyną z przepaściwych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopiących lat, a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmią światłem i cieniem, barwą i harmonią jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiście, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniem szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zruci z siebie żebracze szaty, i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobierzesz, bylebeś je w imię Boże zaklął miłością i zagna a niestrudzoną nigdy pracą. I tak— pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, skąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? Skąd im ta wieczna młodość, co nigdy nie starzeje, choć się zjawia w najgłębszej życia twójgo jesieni? Skąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiła, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twójgój? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twójgój Matki wizerunek święty i to jej ostatnie pożegnalne spojrzenie, co utoneło na zawsze wiekiowości promieniem w duszy twójgój, już i sam siebie widzieć będziesz w owczesnej młodocianej, prawie pacholęcój postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owiej boleści pełnej a uroczystej chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie;—ten spoczął w małej jeszcze trumience, tamtego znów wysoko podrzucił świecisty los, ów przepadł gdzieś w młaku; owemu znowu dawno na skon „zadzwończy konie kopytami a wojacy ostrogami—a wypila oczy wrona z dalekich stron.“ (Stara pieśń).

Pytasz skąd te dziwy?—pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknnością, ty sam w nie

technałeś anielskie wdzięki poczęte we własnym duchu twoim. Tyś sam własnymi oczarowany czary. Ot patrz, w cichój istocie duszy naszej składa zewnętrzny świat wizerunki swoje; wmykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiej, więc też nie dziw, że te postacie a obrazy tak są ni-by prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i wdzięku; one tam gdzieś na dnie ciemnej otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swoim, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radosne świata rozbudzą dawne, oniemiałe w sercu wesela; wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza; wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione jakby na kryształowych szklach malowane figury latarni magicznej, przepromienione teraz poświęcą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwając się będą poprzód oczy istoty twojej wiekuistej; będziesz je widział pływające we falach nieskończonej niebiańskiej piękności. Tak—jest-to twoja własna sprawa; te uroki jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiański obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się modlił. Nie pytaj przeto już skąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, skąd one tak anielskie, tak przezczystego uroku;—oto w duszy rzewnie i uroczyście. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian przetłomaczoną na język ziemski.

Tom. II str. 5.

O wrodzonej poezji.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyją; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i pociechy jego; a póki lud jest samym sobą, póki jest świadkiem siebie, póty téż i ta wewnętrzna poezycja nie umiera, a żyje życiem pełnym, choć ją głuszą

światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Tą poeziją jest ona fantazyja powszechna, wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich latach i wiekach; a ta fantazyja choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inna a inna; ona tak mu własną, jak mu własna krew, i uczucie i myśl. Więc choć powiey przyniosą pieśni uroczę ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznej wiosny przyniosą dźwięki cudowne ale cudze, toć przecież w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane z daleka pieśni a dźwięki uleczą jak woń zbladłej róży, jako liść laurowy oderwany od gałązki rodzinnéj.

Gdy atoli z własnej kości, z własnej duszy, z własnych borów i gór i z własnego nieba urodzi się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń,—wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdej śpiewno, wrząco, uroczysto, świątecznie i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtoruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najcześnieji włoką się ich dni i lata w ekliwéj życia prozie; lecz i w tych szarych, powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom téj poezyi swojej, byleby był zdrow na sercu i myśli znajdzie tę poeziją swoją, tę fantazyją sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niej się dopatrzy rozpląnnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszysz głosów niby wołania dzwonka z za boru, co zwywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne. Przecież i każdy pojedynczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubém z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baję i powieści, co mu tak błyszczą tak świecą, jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciste. Wtedy znów cudem fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno zmarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów uludy; a co wspomnień człowiek uniesie z téj życia wiosny, toć już jego własnością, a skarbem złoży się do grobu;

a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie młodo i tkliwo.

Tom II str. 195.

O miłości do natury.

Miłość do natury i jej pojawów stanie się dla każdego człowieka i mistrza i niemistrza jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepła serca tę naturę i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczków brzęczących po ziołach i orłów tatrzańskich loty; gdy się nauczy mowy lasów ojczystych, co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew; gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty co mu rosną po łąkach ojczystych i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swoim, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukołi zadane od ludzi serca rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na której zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych, utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojej zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie, chroniącym serce od skazy.

Tom I str. 84.

Widok z Wawelu.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste w swych szatach niezmiernych przybrała się w co miała najstrojniejszego a tak jej

téż dobrze i ładnie w tych sukniach świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze.

Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby rozmaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry czarnym borem poważne,—i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie; i wyteżone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równinach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łąków. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów

Osiadły téż tu cizbą wioski i pałace; klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnem sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię czarami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile, osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki,—potoki i zwierzęta, góry, ludzie, i dzwony śpiewają weselem: ale już primadonną téj wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją.

Tom I str. 233.

Wielki Piątek.

Oniemiały dzwony krakowskie; całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, by po staremu cześć oddał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje i jasném spojrzeniem rozplynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię, a w serce ludzi nadzieją świecą.

Bóg umarł—a potęgą przyrodzenia uspiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka niby dzwonek poranny natury ogłosi mu przebudzenie i świt.

Bóg umarł, i duch nasz niesmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie, póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemności utworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy tej ziemi, i jej biedy, i jej płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onej wielkiej zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota i jakby Bożem imieniem pukają rok rocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niem tęskne obrazy upłynionej młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce miłowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go: by się policzył z życiem, ze światem, i z sobą; by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile tłum złocistych zagasło. Ale im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tém jaśniej wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki jakby harmoniją niebiańską wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną, a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niem płomień nieskończonej miłości i jakby organy zabrzmiały samotne duszy nabożeństwo.

Tom I. str. 173

Kościoty krakowskie.

Z drugiej strony Sukiennic w głębokich cieniach przykleknął do ziemi skromny kościółek Świętego Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownej nocy, zamknął się w sobie; boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczana gwiazda; tam jaśnieje światłość wiekuista widna dla oczów duchowych; z nie-

go wyszedł dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościoła wyszło niegdyś wołanie Anioła głosząc ludowi śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościołka zamknięty kamień z którego niegdyś męczennik święty siał w lud wiarę zbawienia. Wkoło świątyniczki wianek zielony topoli, tych cyprysów i mirtów naszej północy. Spadają i odradzają się ich liście, a świątyniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jej drzewa, a pokolenia po pokoleniach same odradzając się, dochowują staręj czci i na miejsce zwiędłych, sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Ponad rynek i miasto,—ponad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto kościół Maryjacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twarde, straciły tu ciężkość swoją; materyja bezwładna, tu uskrzydłona pobożności uczuciem zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki Dziewicy na tle głębokiem nieba; on ku nam zwrócił stronę cieniem zalaną; ztąd postać jego, podobna do tajemnicy wiary, co niby okryta urokiem świętym a przecież rozwidniona serca poczuciem, jest wiekuiści zwiastowaniem! Wzbija się wieża jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką, a przecież tak poważną, a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy i w nich się nurzy i płynie i pali jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdzę napowietrzną wiary. Znowu wyżej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga—Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżej korony i u podgwiazdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, światła godło; nad kulą, nad światem chorągiew, miłosierdzia sztandar; na niej imię Maryi Pośrednicy Ziemi i Nieba! Świątynia czuwa nad miastem jako Orędowniczka jego; w niej złożone jego nadzieje i miłości i ciche marzenia; w niej nas krakowian uświęcają chrztem na żywot, w niej wiążą ślubem „aż do śmierci,“ w niej nas Bogu

oddają. W tym Przybytku zamknięte Alfa i Omega wszystkiej naszej ziemskiej wędrówki.

Kościół oblekł się szatą uroczystą, nocnych cieni; wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu rozplynęła się rosa niebiańska a po rosie tej księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwiła, jakby w liliją śnieżną, w drobniuchną eteryczną świątaniczkę gotycką: ścianki jej przejryste z marmurowej koronki—cała ta kapliczka zwita z kwiatów, z liści słupków i wdzięcznym spletem przerosła dach, i bieli się i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia.

W Kapliczce próżno; w niej nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam Gospodyn, jest! tylko nie widny z dołu; tam w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają Aniołkowie na straży małych dziełek naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na ziemi. Gdy dziecię chore, matka chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, huśta i płacze i wstrzymuje tchy i przemaga łyzy, by nie przebudzić śpiącej dzieciny; tak! matka chodzi, huśta, do serca je tuli, a nie wie, że już umarło, że aniołek z bieluchnej kapliczki już całuje i pieści jej dziecię ulatując z braciszkiem aniołkiem do nieba.

Tom 3-ci str. 160.

Noc księżycowa

Cicho, spokojnie w izbie;—noc głęboka—słyszać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru uciekają do wieczności; małe pacholátko śpi w kolebce, a tu księżyc miłozłotem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę, aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołysek: bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w tej jasności smętniej takie blade, jakby umarłe; trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jej dziecinie i nie wyszała oczek niebieskich.

Co do mnie, jestem mu rad z całej duszy, bo widzisz, ja

mam z dwóch powodów serdeczną słabość do niego. Zważ tylko—księżyc jest dla nas istną *przypominajką*; jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką, dobroduszną twarz swoją zwróci do biednej ziemi naszej i jasnym spojrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy i płacze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiej—a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli okliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz—ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby zarównem kochaniem, jasnością uroczą ustroił i mogiły i świątnice, żyjących i umarłych. On mogiłom i świątnicom, żyjącym i umarłym, na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń o innych światach, kędy niema łez i lęku skonania. A tak, gdy wśród tej pieśni jego, w sercu i w myśli usnie troska dzienna, gdy choć na chwilę spojrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselszych, szczęśliwszych żywota twójego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara genijuszów nocnych, skocznych, lekkich, krząta się, zwija i lata i biega; ciała ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i spieszy i lata i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kórtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi,—a już i gotowa scena z dawnych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojej występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odgrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich; i patrzysz, i weselisz się, i poklaskujesz wdzięcznej komedyi, której sam jesteś widzem i autorem. Tak—niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy i raz jeszcze, choć na chwilę nawracamy do uczty weselnej, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi: „nie prawdaż? tak samo ci się uśmiechałem—tam! wtedy—pamiętasz? Tak jest,—ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stoją przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy, gdy równie świat się ubierał w te czary

jasności nocy magicznej. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i ludzi, jednakże pieści a koi.

Tom III str. 154

Wiosna.

Gdy słońce opuści tamtą nam odwrotną kulę naszego planety, gdy pożegna nieskończone jej oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata; gdy jego tarcza, ta pani światłodowca, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spojrzenie swoje po naszej północnej połowie ziemi, już wtedy ogrzane jej promieniem duchy natury obudzą się po długim śnie zimowym, i—przeciągając się, leniuszki ziewną, spojrzą w około siebie i zabiorą się ochotczo, rzeźko do wydzielonej im pańszczyzny. Jedni z tych duchów wyrobników imają się łąk, gajów, i gór, i roli, i chuchają na wszystko co rosnące, kwitnące, więc: na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i przędą cieniutko włókienka i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tchną na nie wonią—a wnet Karpaty co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jej objęciu śpieszą na Bałtyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodziły wiosną i z wysokości swojej patrzą kwiatkami na błonia i gaje i na grody stare. Ba! wszak i na jednej z zsiwiałych baszt krakowskich, na jej samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jej bukiet ślubny.

—...A cóż dopiero dzieje się w sercu młodym, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodziuchny podrostek trzyma fijołki w rękę, oddycha ich wonią i duszą rada im się wypowiedać, ale jej słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fijołki w jej piersiach urosły, że to są wróżby; że to one senne obrazy, co jej się w nocy przyśniły; że to owe marzenia, co ją dniem pieściły, rozbiegając serce rzewną, tkliwą tęsknotą—nieskończonem proroctwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha; a ducha przyrody po krzewach, po gajach, ukryły

słowiki, co wyspiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne. aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jej sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jej duszy nie rozsadzą. Nadleciał też i mały wietrzniak, siadł tuż przy niej na kwiatku i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jej hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać—i duma—i myśli i tęskni. Któż jej rozwiąże owe wróżby i przecucia, owe wonne i śpiewające proroki? Kto jej przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify popisane na skrzydełku motylém?

Tom III str. 437.

Babia góra.

Znasz Babią górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku krakowskiego nieba; ta góra—to od czasu do czasu gospoda onej stariej czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radosne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyczajona i czyha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziejesz, okryje się płachtą z brudnej, ciężkiej mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednej nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Daremnie broni natura te swoje dzieci lube, wnet i ona urzeczona od stariej złoŃnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatkach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jej nie przebudzi powiew wiosny młodej.

Teraz zima broi na dworze i ziębi; słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ekliwo, bo nam podobno gorzej jeszcze niż naturze drogi bracie mój; przecież do niej wrócą światła i kwiaty, wrócą i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz choć ci czasem samotno i ekliwo, zaprosz w goŃcinę inną czarodziej-

kę, dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczor zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani: te biedaki są jój oddane w jętwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzynią! Ale pozwólno jój stroić sztuczki, pozwól gadać, bająć, i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jój figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwiniami za gościńcę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadać niekiedy kropli na odmłodzenie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszczęj pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne, lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj tój bałamutnej psotnicy, pozwól broić tój wróżce figlarnęj; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym:—ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazyja podobna do świerczka w kominie; póki się odzywa, toć znać, żeś nie przemarzył do szczeru, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń tój psotnicy lubej progów twoich, owszem, niekiedy pomóż jój dokazywać i broić! A jeźliby ci brakło weny a jejmość fantazyja miała się zdrzemać na piękne, to zrzuć pychę z serca i siadaj między dziatwą, poigraj z pacholętami, a fantazyja znów się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz niejedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to iście pany na zamkach czarnoksiężkich; ona to w królestwie cudów i dziwów jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządný w świecie ład, w ich duszy złocisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz co się dzieje w ich duszy, gdy sosienka przyniesiona z bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złocone, gdy na gałązkach jój zamiast szyszek zahustają się wiarusy wąsate, warkoczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki i świecą barwiste stoczki, a w pudłach

i pudełkach pełno dziarskich ułanów i groźnych piechorów. Posłuchaj co się tam migoce, mieni w tych główkach małych. W oczach, w myśli przosuwa się światek, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszechnego ładu świata; więc też one tak chciwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dlatego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia, siadaj między dziatwą i praw im historykę.

Tom II str. 351.

Cmentarz rodzinnego miasta.

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby przeżywszy już znacznieszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianej, rzewnej tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniém; tych chwil,—w których serce zachodzi bólami całej naszej przeszłości i nabrzmiwa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych,—i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata, a często umarli uleczą zboliałe dusze żywych.

.....

Śmierć—to wielka nauka dla żyjących! jakoż kłopotki i zmartwienie codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy znienacka spadnie na ciebie całym brzemieniem skon drogiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojej topiele,—i z głębin ich wyrzucają na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy, co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją, co ziemskie, doczesne, zblednieje, skurczy się w karła, zniknie, nleci. Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bog

nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzającej gwałtownej boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodczy rzewnej. Ale to dopiero wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoji troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota. Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na tej wczorajszej wędrowce mojej, po tym krakowskim cmentarzu!

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarzała te jasne nieba błękity; jej wichry obdarły z krzewów i drzewów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gry — mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta, kłębami przewalała się po świecie, w niej jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy rozplywając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, — i stary Kraków uderzył w swe kościelne dzwony i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żaloby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubej mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu; na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czaray rozmazany słońcem; obok szedł woźnica, — on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obsłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarły — i woźnica — i ja — składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, — czasem trumna stukła, czasem zaklekołały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było pod dostatkim; więc w rychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospodarzy na tej świętej roli Bożej. — Blizko niego stos liści żółkłych, nawianych wśród grobów; one, chwyczone wiatrem, nagle się zerwały, skrzyły się w ślup, a ślup

wierząc się i szumiąc poleciał daleko ponad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty żyjącej. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub owdzie zgrzytły drzwiczki blaszane na starych pochylonych krzyżach; niekiedy na grobie sykły zioła zwiędnięte powiewem poruszone, westchnął zwiędnięty listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stęкло pod ziemią —zapewne załamały się dawne spróchniałe deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych.

Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywej; zdawało się jakgdyby te długie rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały naprzeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać, że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój,—i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich łzawem zaprawdę pismem wyryte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi.—Obejdzcie się już bez pomników; wszędzie ta ziemia jest święta. Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika téj cichéj historyi rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłej skromnej scenie domowej, nieznanéj od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł nappełnić księgi całe.

Tom 2-gi str. 254.

Wyjątki z „Mogil” Kraszewskiego.

—...I nie czułem jak padłem, nie wiem jakem tak leżał, nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę

w bieli i promieniach, która białem ramieniem objąwszy mnie, tuliła głowę zbolałą i z cicha szeptała słowo pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdym się obejrzał odrywając zrenicę od blasku oczów, które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągniętą szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dolatywały uszów moich, i z za chmur świeciło na nią słońce godne poranka.

Cisza wielka owiała nas, a głowie mojej tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonej do czystej piersi, w której nic ziemskiego nie było, zem ust nie umiał otworzyć by snu uroczego nie przerwać. A nie był to sen; ale jaw zachwytu.—Bolesć podniosła mnie nad ziemię, a anioł, który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowo jego ziemskie nie powtórzone, powoli balsam łąły na rany długiego żywota i potargane myśli sploty i rozranione serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła a nie słychał nic było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szepc ust jego, tylko oddech śpiewny, i szatę, którą powiew lokki poruszał—a szata szmerem się swym modliła.

Między niebem a ziemią, nie ubłogosławiony jeszcze, ciałem śmiertelnym i nieoczyszczonej podnieść się nie mogąc wyżej, czułem już spokój szczęścia lepszej krainy, której byłem bliżej, i widziałem cały zastęp białych aniołów, unoszących się w różne strony koło mnie.... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię a z ziemi ku niebu.

IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, cicho a żywo przesuwały się białe postacie, posłańcy Boży.... i oko moje rozeznawało powoli braci tego, którego ręka podtrzymywała mnie nad ziemią w połuspieniu potrzebnem biednej zbolałej duszy mojej.

Wszyscy braciszkwowie witali się z uśmiechem i spotykając, czystym na chwilę łączyli pocałunkiem. Kładąc sobie ręce na ramionach—wszyscy podobni byli do siebie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach, i szczęście z nich promieniało i spokój ich otaczał. Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przeznaczoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych

i przyciskał ją do piersi, jak matka tuli dziecinę, skroń jój ocierał z potów śmiertelnych, lzy ustami osuszał, krew szaty dotknięciem obmywał.

Inny na promyku leciał z naczyniem rany gojącego napoju, gdzieś ku czarnej naszej dolinie, a spieszno mu było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się radością.

Inni polewali ze złotych konewek świeżo zasiane pola deszczem urodzaju, rosą użyźnienia, inni szaty swe białe rozpościerali osłaniając łany od burzy, inni odgarniali niewidome duchy złoczyńce mieczem ognistym i krzyżem jasnym, ci ścią-gali promienie, tamci rzucali cień chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, patrząc po morzach i łądach, po lasach i polach z założonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc się po dwu do siebie od chłodu, którym na nich wiała ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecięciu, co śpiewało chwałę Bożą i śpiewając, w niebiosach po niej tęskniło, a sam Bóg mu się litował;—drugi z obrazem matki na szacie, leciał ku dziecku do nieba.

Inny z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystusowego, rozpiętego w niebiosach, dźwigał co żywiej, podnosząc się wysoko, a szata biała migiała na nim długą wstęgą.

Trzeci prośby i modlitwy zabrawszy w połę dalmatyki, jak zniwiarz z pola wracający, spieszył z niemi do Bożej stodołki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte—prośby ust ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podziurawiły namiętności, drugie splamiły lzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i blahe.

Anioł nad jednymi płakał, nad drugimi wzdychał z litością, a ciężko mu z niemi było, i zginał się pod ich brzemieniem, aż zbliżył się do strumienia łaski i obmył w nich modlitwy i poniósł je czyste i świecące.

Byli—co niesli palmy zielone na ziemię i krzyże na ziemię, i krople pociechy.

Był jeden, co promyk nieba jak kwiat jasny piastował w rękę, aby nim czyjaś boleść oświecić i wonią niebios ją orzeźwić.

Był—co lzę jak perła czystą niósł na dłoni do góry.

Był—co pot pocziwój pracy do Boga odnosił, inni niesli słowa dobre na czystych kartach złotemi głoskami pisane. I spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia mi się mniej straszna, i życie nie tak nierozwikłaną zagadką wydało, gdy ząstep duchów zobaczył—i zapytałem Anioła: zawsze ci jest tak?

X.

Usta jego uśmiechały się z politowaniem marzycielskiém.

—Biedne dziecię rzekł całując wypłakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o-Bożej mądrości i opiecel przez jakie przeszedłś próby? ileś cierpiał po cichu i niesprawiedliwie?

—Ja rzekłem—ja? a cóżem ja jeden? maluczki pyłek na małej ziemi naszój... jedno nic wśród tego tłumy, co eierpi cały! serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, zwątpiłem o świecie, pojąc swiata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, łez tyle... a tak krótko trwa wszystko?

—Wolałzebyś, by boleść dłuższą była?

—Ale jedna ona nie ustaje nigdy—a co najszlachetniejszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednej... powiedz mi, dlaczego wszystko ściiera się i ginie.

—Aby żyło i odrodziło się w niebiosach. Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jój znikomością... a sam ten ból twój jest nieba pragnieniem i stopniem do niego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają; ztąd na nią patrz ze mną, a inaczej ją zobaczysz. Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żalobą pokryta, tak bólem przesiąkła i ciemnościami osnuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądaj nieba bez chmury i z ludzi czystych aniołów. O! niema u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosą dać mogą? Chodź ze mną dziecię moje, a inaczej swiat zobaczysz; ja cię prowadzić będę.

XI.

A gdy to mówił anioł, podniosłem głowę nieco; pokrępił mnie uśmiechem, uczułem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku; powieki jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacją spojrzałem teraz na kolébkę naszą, na cmentarzysko... Skrzydła Anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi, a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

Wszystko tu zmienne, przechodzące, niestałe, smutek wieje od chłodnego oblicza matki waszój, ale nie rozpacz... Patrz jak z więzienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu wszystko splata się, spaja, słońce i burze, uśmiech i smutek, nic niema trwałego, ale i boleść nie żyje na wieki. Całe życie wasze to chwilka, i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda, co sądziłeś wiecznością gdys cierpiał. Nie maszże, czém się pocieszyć choć chwilę? Z tych serc skalanych, strzelają niebieskie uczuć kwiaty; w najzepsutszém jest jeszcze białe ziarnko poprawy... tęsknoty... zgryzoty... A taż właśnie młodość cała jeszcze niebiosami woniejąca, a téż serca i oczy płaczące-towarzyszów podróży? a toż przywiązanie ofiar pełne? nie sąż-to obrazy złociste, którym się i anielskie radują serca? A boleści wiele i kału wiele... ale możnaż rozpaczać o ziemi... i odpychać to pobojo-wisko pogardą? Nie— dziecię moje... niebo jój strzeże... czuwa nad nią... a żadna łza nie ginie, żaden się jęk nie rozprasza.

Widziałeś ten rój duchów ulatający nad nią w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzyć w chwilach, gdy cała dusza oderwana od świata wpłynie w rozszerzoną zrenicę, jak w białej jasności słońca nie widzi siedmiu tęczy kolorów, póki mu ich łza nie rozłoży na siedm wstęg oddzielnych. Ale duchy są wszędzie; otaczają was, wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknie wasze i zawołane stają w pomoc niewidome. Człowiek sobie to przypisuje co im winien... i woła: zkąd mi ta siła? i pyta zkąd mi myśl taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj, jaki rój istot różnobarwnych zwija się nad wami. Wasza posługa to ich życie; są to siostry miłosierdzia niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są aniołami ziemi., nie żyją dla siebie, służą drugim. Te duchy

jasne, zesłańcy niebiescy, słyszycie ich mowę w szumie drzew, ich śpiew w tej pieśni, którą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z nimi rozmawiacie, mówiąc z sobą: oni wam odpowiadają pociechy uczuciem na modlitwie, przyciskają powieki wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niej łza wytrysła; zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszą do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom znużonym do trumny. Od jednych ulatują, płacząc, w niebiosy, gdy czarni niemi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści. Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po częstce przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorzkie wspomnienie i goi powoli ranę serea głęboką. Nie wdzięczni odpychacie ich często; a zapieracie zawsze.

.....

Stała się noc gwiazdzista i spokojna... niebo nad naszymi głowami osypało się milionami różnobarwnych światełek, które wisały bliżej i dalej do koła, drząc wśród fał powietrznych promykami, które ich życie zdradzały. Gdziekolwiek jak pasy srebrzyste i drogi wysypane były po niebie, jak pył dżamentowy uścielał szlak jakiś bez początku i końca rozplywający się w ciemnościach... to znowu po kilka świateł błyskały jak znaki drożne tu i owdzie różnemi blaski;—i niebo wyglądało jak tajemnicza karta, na której głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad świateł różowych, zielonawych, krwawo i sino błyszczących, kiedyniekiedy jakby na znak życia wśród nieruchomej jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to począwszy, kończyć je musiała gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę, jak warkocz rozpleciony w przestrzeni, rozplywała się, rozwiewała i gasła. Dalej biały obłoczek wędrowny, mieszkaniec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik powoli się przesunął i ospale szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokregiem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębiny powoli wschodzące gwiazdki i postępujące ku górze coraz jaśniej błyskały, jako duch, co się ku niebu podnosi. Widok niebios wśród milczenia był majestatyczny i wielki,

a ta sieć ogni rozwieszonych na nich, nieprzeliczonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie—przestrach... Ni początku, ni liczby, ni końca... Im trwałej zagłębiało się oko, tém więcej tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności.

.....

Nie wiem co się ze mną stało, alem się zbudził, gdy na wschodzie jaśniała jutrzienka różowa, której krąg światła roztaczał się powoli krwawiąc obłoki, rozlewając strugami po chmurach, rozpromieniając i roznosząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy nocnej powstał szmer téj jutrzni dnia, a żeśmy się spuścili ponad samą ziemię i kapali w jój ciepłym wyziewie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów, co się budziły gałęzmi, strumienie wiatru przelatującego po nad polami na dzień dobry i swiergot niespokojny ptasząt, i nakoniec jęk boleści ludzkiej.

—Spójrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stworzenie, jako raduje życie; jeden tylko człowiek mający przecucie lepszej ojczyzny, otoczony nawet szczęściem, tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. Dla tych istot niema śmierci, bo jój nie widzą ani przeczuwają, niema postrachu przyszłości, bo ich byt cały zamyka się w garści ziemi i prochu;—w człowieku drga dusza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnańcem.—Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a jęczy i pragnie; przychodzi do źródeł z pragnieniem i odchodzi nienasycony; kosztuje wszelkiego owocu, a głód mu dokucza; próbuje miejsc wszystkich, i wszędzie mu tęskno,—i zawsze czémś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń gdyby się byt jego kończył na ziemi, ale w tém znamieniu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką...

Niepokój duszy—jest pokoju niebios zwiastunem.

.....

Al uradowałem się matce ziemi, bom jeszcze cząstką do niej należał, i przyrosłym się czuł do téj kolébki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju, jakim ta chwila jaśniała.

Obraz wielki i piękny stał przed oczyma mojemu.

Mgły ciemne i obłoki czarne kupami rozegnał wiatr, pędząc na drugą półkulę; rzadniały coraz i rozpieczęły się powoli, stały w półprzezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrzucał je drząc w wyziewach — malując je w barwy nieskończonej różnaitości. Tysiące tęcz kołami swemi malowanemi porozpinały się nad głowami naszymi, i nikły i znów wytryskały a mgła coraz to radsza, coraz świetlejsza i bielsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakimś świetle dziwnem, jakby oblaną płynem, który jej obrazy ruchomemi czynił. Niekiedy złoto, lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znówu rozbił ją lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obłony spadły, ostatnie obłoczki białe i leciuchne odleciały po-za nas, a wielka przestrzeń odsłoniła się przed oczami memi. Ujrzałem znów kolébkę moją, ukochaną dolinę łez i żałoby, ale razem wesela i uśmiechów, i uradowało się serce moje... a łza na oku zawisła.

Pięknaż to była wieśnia... jak umie być chwilami, gdy ją oko Boże opromieni... są dla niej dnie jasne, w których świeci cudnie; w taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przydziała się dla mnie wiosną, zielonością, złotem, lazurem wód, wszystkimi klejnotami, co jej krasę zdobią... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kcbierzec u stóp tronu Bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednéj strony na strażnicy ze swemi ostremi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami, strumienie szumiące płynęły z ich wierzehwin ku dolinom zasypanym głazami, i wonnemi porośłemi rośliny. Dalej ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyzny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnemi. Maluczkie ztąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki Bożej; ale im bardziej zbliżaliśmy się ku ziemi, tém widniejszy był na niej pan i mieszkaniec. Ujrzałem szerokie drogi, któremi chodzi człowiek; miasta dymu pełne w których mieszka, wioski w których się tuli, i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko co zbudował człowiek.

Westchnąłem mijając widoki różne, które się co chwila

odmieniały: tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane ogrody i sypane mogiły. Wtém duch jakiś biały unoszący się pomiędzy niebem a ziemią przesunął się u stóp naszych i powiewną szatą błysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, żebym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał srebrzystych, i czarny warkocz rozplątany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie ziemskie przywiązywało ją do doliny łez, choć anioł nie był nad nią czystszy i jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożenemi rękami jakby na modlitwie, a potem zstępującą na ziemię.

W kolébce spało dziecię sierotka, i nikt nad niém nie czuwał... duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jój saméj być niewidzialnym aiołem-stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła;—wymodliła sobie niepokoje i boleści dla dziecięcia, które się obawiała powierzyć duchom nawet niebieskim. Wiemyż my co się w koło nas i z nami dzieje, kto niewiedomie nas wospiera? kto myśl przynosi? kto zasiewa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy siłę co nami rządzi, której się wypieramy często i zaprzeczamy jój w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błądzącym w cieniach, widziałem ztąd jasno. Nikt z ziemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo, by z dzieckiem swoim pozostać, a ofiaręby jój policzono, bo duch jój z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności Jego, skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u wezglowia sieroty.

I widziałem życie ducha, co zawisł nad tą kolébką dziecięcy, jego pracę i łzy, ruch każdy policzyłem.—Sierotka opuszczona szła jedna, widząc cień matki nad sobą; ludzie go nie postrzegali. Z drogi dziecięcia kamyki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała, broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidomój wytłomaczyć jój nie mogąc. Było to życie, które pospolite oczy cudem zowią... rzucona bezbronna sierotka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka przesładuje:—chorobom, wypadkom, zdradzie, przesładowaniu, uciskom; zdawało się, że stęrać się musi, że zginąć powin-

na, że w głowie jęj mysl zagaśnie na wieki, w sercu złe tylko rozkrzewi się bujnie.... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka; szedł za nię krok w krok cień jęj, i gdy spoceęło, usiadł nad sierotę, szepeząc jęj do ucha myśli poczciwe, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, odgarniał co w nię złego wyrosło, wypielał chwasty, a ludzie dziwili się podrastającęj dziecinie, która kwitła pięknej, niż inne ziemskimi pielęgowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nie opuszczał dziecięcia, czuwał nad nię nieustannie, szedł krok w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbrajał, bronił, ogarniał i zsyłał moc Bożą na podźwignienie.

—Patrz, rzekł anioł, to najwyższa, najczystsza miłość na ziemi; bo w nię największe poświęcenie, nięma nad nię świętszęj, ani trwalszęj, ani silniejszęj,—jedno serce matki tak kochać umie, jak Bóg kocha dzieci swoje; jedna to miłość co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmożona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odplacona, płacze, ale przebacza; odepchnięta, powraca; zdradzona, wznaga się, życie traci i z za życia jeszcze promienieje. Dlatego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelnęm.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tęm tylko, co ciała dotyka, nie rachują tajemnych sił co ich otaczają. Takiemi dźwigniami są miłość, modlitwa, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie silne ku jednemu wymierzony przedmiotowi. Znaćcie ich moc i potęgę! widzicie cuda czasem, i te zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mocniejszém jest od rąk stu ludzi; jedno wejrzzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza lub skupia. Niebacznici, szafujecie tęm, co macie najdroższego, nie znając skarbów swoich; zdaje się wam, że rychlęj może podścignąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił, że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył, wycię Mu nie uwierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, któręj skutki widzieliście dokoła,—przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

Wyjątki z pism Gabryeli.

Obraz wioski polskiej.

Ciężko mi było i duszno, a w około nas rozwijał się precudny, prawdziwie polskiej wioski krajobraz. Przechyłone ku wieczorowi słońce z poza rozigranych obłoków rzucało smugi to światła, to cienia, na całą, jak serce poczciwego człowieka, okolicę. Z jednej strony gościńca woniała świeżo skoszona łąka; nad dużym stawem, czyli nad wałem, jak tu mówią, jeziorem, roje komarów i drobnych muszek cieniutką piosnkę dzwoniło, a chrabąszcze warczącym basem jej wtórowały, lub raz po raz uderzając ciężkim swoim lotem o drzew nadbrzeżnych gałęzie, głuchy takt biły, niby owęj zmieszanej, milijonowych brząków, muzyce. Z drugiej strony, rozległą przestrzeń wieley artyści nasi, chłopci rolnicy, pokratowali w różn wzore, jakby umyślnie dobierane kobierce. Między ciemnozieloną pszenicą, a jasno-zieloném żytem, kilka morgów gryki białutkim śniegiem przypruszać się zaczynało; wzdłuż złocistego rzepaku wstążka lnu błękitnego jak niebo kwitnęła; przy dużym płacie różowej koniczyny, płat jeszcze większy górującego nad młodym owsem habru się szafirował, a tu i owdzie, jak tło uwydatniające jaskrawość innych przedmiotów, łąny całe świeżo zaoranego gruntu ciemniły się owym sobie tylko właściwym, prawdziwie pożywnym kolorem, co im daje podobieństwo do wielkiej skiby razowego chleba, na wyżywienie wszystkich dziatki Bożych odkrajanéj. Za łąkami, za polami część widnokregu łączyła się ze stropem dotykającego ją nieba, a część znowu jak półkole dworskiego płaszcza wystrojonej księżniczki, w wypustkę szmaragdową majowej brzeziny objęte, strzępiło się jeszcze sutą, aksamitną, sosnowego lasu falbaną. Od téj brzeziny, od tego lasu, echo w zmięczonych tonach niosło ku nam nawoływania pastuchów i przeciągłe ligawki zadęcia. Wszystko to razem składało się w jakąś piękność swobodną choć uroczystą.

O pięknie natury.

Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że piękność natury wcale od pewnej, umówionej piękności krajobrazów nie zawisała. Kto wie, czy ta właśnie, co się nigdy pędzłem pochwyścić nie da, czy ta z powietrza i przestrzeni złożona jedynie, najgłębszych wrażeń duszy nie zostawia? Cóż było nad Liwcem do widzenia? Świeżo pożęte rżysko, skoszone łąki, wąska i dość błotnista rzeka; a jednak ogarnęła mię dziwna, bezprzyczynna, od ludzi i zdarzeń niezależna błogość, uciecha jakaś młoda i czerstwa wprost do serca płynęła. Im mniej przedmiotów nas otacza, tém wierniej wszystkie ich szczegóły na mózgu się odbijają i w precudownych pryzmach tęczą.—Po stokroć niegdyś widywane przedmioty nagle: „zobaczyłem,” zrozumiałem, uczulem piękniemi. Oh! bo piękność jest we wszystkiem, co wyszło z ręki Bożej, tylko nam do jęj ujęcia talentu, lub téż pewnego przysposobienia brakuje. Gdzie góry, skały,—wawoży, potoki, tam wszyscy już wiedzą, że myśl głębiej spromienić trzeba i ducha odpowiednio wrażeniom nastrajają; lecz gdzie owych uprzywilejowanych składowych części nie dostaje, tam bacność mniej pilna, zastanowienie się mniej samemu sobie przytomne, i tam częstokroć, bezświadomie przyjętych wpływów, źródła nawet nie znamy. Serce drży nam miłością ku ziemi pod naszymi stopami rozesłanej, lecz wyobraźnia, jakby nie wiedziała wcale, że kochamy każdy jęj zagon falujący po niwie, każdą jęj morgę odmienném zbożem zasianą, odmiennym smugiem światła lub cienia pokrytą. Jest nam spokojnie wśród boleści, pogodnie wśród wichrów, ogarniamy czasem wiekiuistość jakąś bezbrzeżną wśród najciaśniejszej terazniejszości chwilek, a niepamiętamy, ile się na te jasne duchowe błyskawice złożyło i takich uroczystych sierpniowych wieczorów, i takiej gwarnęj ciszy na ziemi i takiego pogodnego błękitu na niebie.

Tom 4 str. 78.

Siła uczucia i wyobraźni.

Pamiętam, było-to po śmierci ojca i po przebytej choro-

bie; nie zupełnie jak widać otrząsnęłam się z jej skutków: co dusza czuła, to bezkarniej na jaw się wybijało.

Całe domowe towarzystwo siedziało w bawialnych pokojach, a mnie drżemiącą na sofce zostawiono spokojnie w odległym, na ogród wychodzącym, gabineciku. Gdy się zbudziłam, głęboka cichość panowała do koła; przez okno otwarte lały się wszystkie promienie lipcowej pełni dorastającego księżyca; ze świeżym chłodem wieczoru falowała w powietrzu jakaś woń upajająca róż pod oknem kwitnących, i te—liści na drzewach ogrodowych i trawników rosą zwilżonych, te zapachy, te promienie, ta cichość nadewszystko, oczarowała mnie zwolna, dałam się jej zamagnetyzować; wszystkie myśli niewolnicze wypuściłam na swobodę i sama z siebie uciekłam daleko.

Zdawało mi się, jakobym występowała po-za własne ciało, ja druga, ja prawdziwsza, zarysem kształtów zupełnie sobie podobna, tak blada, i tak czarno ubrana, ale giętsza, lżejsza, sprężystsza, bogatsza skarbami uczuć i władz niepojętych, doskonalsza nadprzyrodzonym zmysłów rozwinięciem. Czujęłam się wszędzie obecna, piłam nektar z kielicha floxa, kołysałam się na białej jaśminu gałązce, płynęłam z technieniem wiatru nad ciemnym szpalerem, ale mi było smutno, smutno, bo chciałam mieć ojca przy sobie, bo i ojciec tęsknił do mnie, a był daleko, wysoko, wyżej niż księżyc, niż gwiazdy. To co przedstawiam w obrazach—dla mnie nigdy obrazem nie było; nie złudzenia wzroku, lecz w poczuciu mojem rozgrywające się opowiadam fenomena; istotnie—przytomność rozsądkowa nie opuściła mię ani na jedną chwilę; wiedziałam, że leżę na sofce, że o kilka pokojów odemnie matka herbatę nalewa, jednak żyłam pod dziwnym wrażeniem innych miejsc, innych zdarzeń. Jak pajak na wiotkiej nici, którą z własnej piersi ciągnie, tak ja na smutku moim zawięłam w przestrzeni i wzmagałam się, wzmagałam, by do góry ciągnąć, a mój smutek, moja nić pajęczna, to był niby srebrny promień księżyca między mém sercem i niebem drgający. Ojciec zstępował do mnie na tym promieniu, ja się do niego zbliżałam i byliśmy już razem, razem przez siłę wzajemnej tęsknoty; przez miłość naszą, przez promień księżyca. Gdyby mnie ojciec mniej kochać począł, lub gdybym ja go coraz więcej kochać nie mogła, tobyśmy się rozłączyć musieli; czułam postrach takięj groźby

w przyszłości; jasna przedza chwiała się czasem pod niewidzialnych postaci brzemieniem, lecz we mnie czucie potężniało i nie ojca ściągałam ku sobie, tylko sama za ojcem wzbijałam się coraz wyżej; wtém niespodzianie chmura przeciągnęła; wszystkie promienie księżycy wstrząsnęły się od razu i doświadczyłam rozpaczliwego zwątpienia: zaczęłam się osuwać, czułam, że ziemia blisko, że ojciec znów daleko i gorzkie łyż twarz mi zalały...

Biała Róża str. 321.

Wyjątki z Poganki.

Życie rodzinne

Już wiecio pod jakim wpływem,—w jaką atmosferę niejako, dostałem się na tę ziemię—zstąpiwszy według dawnych, wstąpiwszy według nowszych—a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tém cieple uczuć, w tej pogodzie szczęścia,—jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej, oh! gdybym mógł pamiętać!—ale ja nie—nie nie pamiętam—a jednak to było już życie moje—to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tém, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą.

Każdy mnie kochał,—ja się ocknałem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je,—pije;—przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku; lecz nie dosyć na tém—ci wszyscy moi po-za mną kochali jeszcze wszystko w różnych objawach—w różnych jej kształtach, a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów; każdy coś kochał na swoją własność szczególną.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie, —a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego są-

siada,—a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawę się trudił, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane,—a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę dwururkę,—a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo,—a mój brat Cypryan kochał obrazy,—a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi—i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

.

Nie pamiętam która to już była rocznica mych urodzin; przypadała jak widać w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś zdala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnozielonej przestrzeni, jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza, albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi,—unoszących się orłów.— Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczymi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie, bo i czegoż ja tam nie widziałem! aż siostra wzięła mię za rękę.

—Benjaminie, rzekła, czy słyszysz?

—Oh! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże-to łąki i drzewa tak grają.

—Benjaminie, czy widzisz? spytała znowu i wskazała do góry.

—Oh patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypryana obrazki.

—Benjaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? i przyłożyła mi rękę do serca.

—Ja czuję, odpowiedziałem po chwili, że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weź-

mie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi,—i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę, i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkim jednem objęciem uściskać i wszystkim jednemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czém to jest siostrzyczko...

—A ja ci powiem Benijaminie—tylko pamiętaj na całe życie swoje:—to co słyszysz w tej chwili,—co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie,—to wszystko—śpiwne, piękne, jasne, szczęśliwe, to wszystko jest Bóg

I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała na całe życie moje; i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i niemądrych,—kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze; lecz w każdej chwili i po każdym przejściu, wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego: zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im.

Byłem zmartwiony a bolejący—lecz choć nie czułem, widziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiwne, piękne, jasne i szczęśliwe,—to Bóg; że mądrość—to Bóg; że szczęście to Bóg; że miłość—to Bóg

.

O moim ojcu jużście słyszeli; mój ojciec—taki poważny, taki uczony,—taki dobry i łagodny.

W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem tak wszystko cicho dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć.—Ja w tém wzrosłem—i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał.—Kiedy ojciec książkę stworzył, matka szła na palcach przez pokój, siostry i bracia wychodzili najeżęściej, lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciku zasiadało.

.

Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne czemu dotychczas o matce mojej nic nie nadmienilem jeszcze. Ah! bo dla mnie w każdym wspomnieniu, ona tak była obecna, tak ją czu-

łem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko, albo do niej mówił.—Matka Czy wy wiecie dla czego ja z takiem uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? —czy wiecie wy dlaczego nieraz w kościele, a nadewszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościółku, mnie się łyzy w oczach zakręca, gdy postrzegę zdaleka przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? Czy wy wiecie dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął,—koło smutnego—bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka—bym go wyrazem pieszczoty nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał, lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę! . . bo w każdej chwili podobnej zawsze ją widzę przed sobą, tkliwą, anielską, błogosławiącą . . . tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem.

Z Książki Pamiętek.

Wpływ wielkich boleści.

Dla wybranych Pańskich, dla serc czystych i żywo czujących, śmierć ukochanych jest chwilą boleści wielkiej, straszliwej, ale nie może być nigdy całego życia zmartwieniem. Przez tę chwilę śmierci oni na dalsze trwanie swoje tu na ziemi wradzają się do naszej istoty;—gdyby umarli nie zostawił po sobie nikogo, coby go uprzytomnił wspomnieniem, nikogo coby miał pamięć jego jako natchnienie, przyczynę, dopełnienie wszystkich zdarzeń późniejszych, toby taki umarły drugą śmiercią umarł wśród ludzi i zostałoby mu tylko wieczność nieokreślona, nieznaną. Lecz on odżywa ciągiem miłości—i on nie zginie, i nie zginie, póki my żyjemy,—bo póki żyjemy, póty kochamy, a póki kochamy, póty wszystko ukochane trwa, prawdą i rzeczywistością jest.

Umarli nasi trwają w nas;—każde spełnione dobro, każde poczucie piękna, każda przez nas osiągnięta doskonałość

ich doskonali, ich wznosi, ich wzbogaca, a ciąg żałoby naszój jest dalszym ciągiem zaczętej przez nich pracy, dalszym ciągiem ich cnót, ich myśli, ich duchowego życia. Ja takim stosunkiem, taką modlitwą nasz związek z umarłymi najlepiej pojmuję, a ja mam prawo mówić o tém, bo ja na dwóch płakałem już grobach, bo ja straciłem ojca....

.....

Gdyby człowiekowi nie było dano smucić się, toby nie miał tyle łez do krwi swój wsączonych; ale on może, więc — musi płakać; bo może, więc musi oddychać; bo może, więc musi widzieć—bo może—więc musi żyć, gdyż zawsze musi, to co może. Ale martwego cierpienia, płonnej boleści niema w prawie Bożém, tylko się czasem zdarza—w złości ludzkiej woli. Boleść święta, boleść z nieba idąca, nie marnieje w cześć skargi, nie kamienieje w bezużyteczność;—nie jest ani namiętnością, ani grzechem, ani złém żadném; ona tylko między dobrem co minęło i między dobrem, co ma przyjść, kolebką dla ducha naszego, zawisnęła. Z téj kolebki zawsze geniusz myśli lub anioł cnoty się wykołysze. Smutno było Mojżeszowi na puszczy, nim krzak cudu rozgorzał; smutno Chrystusowi w Ogrójcu nim ludzkość męką swoją zbawił,—smutno nam wszystkim wysokim i drobnym, póki mamy w przecuciu jakies myśli niewcielone, póki siły nie skierowane, póki czyny zamiarem jeszcze drzemiące. Tobie—dziecku jeszcze wiekiem i postacią, może na przygotowanie jedynie innych, potężniejszych zdolności, tak wielka zdolność cierpienia w samym wstępie do życia wydzieloną została. Powiedz, czy nigdy nie zadrzało ci serce objawem pięknej, wielkiej przyszłości?...

.....

I taki żal nie będzie nieszczęściem; przypomniemy sobie zawsze, że ci, którychesmy ukochali, naszą pamięcią i naszym życiem żyją. Wtedy nie skalamy serc naszych bezcelném rozkwileniem, nie zmarnujemy naszych myśli na ciągłe powtarzanie przeszłości, ale miłość, w której oni przez nas kochają, roztoczymy na okoł po świecie i wzbogacimy wszystkim co piękne, dobre, szlachetne; ale myśl, w której oni przez nas pojmują, wypełnimy światłem, poznaniem, mądrością,—

i będziemy, czém oni być chcieli—i w godne czyny przesnujemy dalszy wątek ich własnych wydarzeń.

Z Książki Pamiątek

Wiara kobiety.

Nie mówcie do mnie, wy, których usta brzmiały ciągle słowem wiary, a jeszcze imieniem Boga nie zabrzmiały, nie chcę waszego przekonania, nie chcę waszój wiary, ja nie umiem długim dowodzeniem przeświadczać was, że są potrzebne kościoły na ziemi,—duchy światłości w niebie,—ale czuć umiem i czuję, żebym żyć nie chciała i w najszczęśliwszój stronie świata, gdzieby mi drzwi przybytku Pańskiego otworem nie stały, gdzieby nie mogła ufną prośbą niebu się pomodlić o żadaną pomyślność, o odwrócenie przeczuwanego nieszczęścia; nie chciałabym wiedzieć o przyszłości, któraby mi nie świeciła koroną Świętych, ku którejbym iść musiała bez anioła stróża niepokalanego przewodnika méj duszy;—nie chciałabym nieba, na którego wysokościach nie byłoby ani tronu Boga ani promiennych cherubinów, ani Matki Dziewicy z Synem swoim na ręku, usmiechającój się litością i pociechą do nas kobiet, co jak Ona kochać i siedm mieczów boleści w sercu nosić musimy; oh! nie mówcie do mnie;—ja chcę wierzyć tą wiarą, którój mnie matka nauczyła; chcę się modlić tą modlitwą, którą w dzieciństwie na kolanach za jój głosem powtarzałam z uwagą,—zostawcie mi moją wiarę i modlitwę moją! zostawcie mi religiją cudów, pieśni i wonnych kadzideł, co z przed ołtarzy ku Bogu ducha naszego czystym obłokiem unosi,—zostawcie mi ją—ja was słuchać nie chcę!

Z Podróży kobiety.

Wyjątki z Obrazów Litewskich Ig. Chodźki.

— „Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy zdaleka

Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie
Dziś dla starca zmarłego dał pod głową w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka lza nie ciekła
Księżel! kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!“

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc po długim oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie zalało się łzami miłego rozrzewnienia na wspomnienie osób, których w tych samych już nie oglądał w izbach, a które go niegdyś z pieśczętą tuliły do serca? Komuż nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego gdy był dzieckiem, piastunka lub stary dziadulek go karmił? Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu błogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości! z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie i uczyć się na nowo tegoż wszystkiego, na co dziecinnem kiedyś poglądał okiem! Przybywam do domku mojego dziadka:

„ Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami i te od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinną moją niegdyś biegła stopa, a co najbardziej—tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwrócenia pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek, który tu był zamieszkał ogalając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał—głazu i te jedynie przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Piękną jest szeroka Litwa nasza! zawołałem ja w serdecznym a głębokim uczuciu przywiązania do ziemi ojczyźnej i w rozważeniu piękności, jakimi Bóg ją obdarzyć raczył! Oh! któż bo nie kocha kraju w którym się urodził, gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda sto-

pa ziemi urocze mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których obłąkana myśl jego przepływa cicho i spokojnie, kojąc natrętnie troski życia, lub gorzkie serca cierpienia!

Lecz te tklliwe, pełne słodkiego rozrzwennienia uczucia nie zależą bynajmniej ani się wzbudzają wspaniałemi ani pięknemi krajobrazami zdobiącemi ziemię. Pod niską strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował, w ogródku wiejskim, w którym cię nianka do gałązki gronem rumianych wisien bogatej podnosiła; na małej łączce na którejś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiejś samotnej drożynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy każdego poczciwego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiem, objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwemi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężyc będzie na sercu!

Miejsca takie, są to miłe dziedziny rozkoszy, wydzielane cząstkami dla ludzi, do codziennój dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jój wyższego wzniesienia, dla jój swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się poznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszym dziełem rąk Jego.—Mysł wzniosłą ku Niemu rozwija, poznaje Go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepęlnioną rzeźwém zyciem oblewającém go do koła.

W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza.... Przed wieki cała pokryta i zarosła lasami, w dzikiój swój i ponurój piękności mocarzom swoim pasującym się dzielnie ze srogiami zubry, odkrywała ona co dzień nowe i coraz piękniejsze miejsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom.

Dzisiaj otwartzsza i roztrzebiona kraina w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyznym urodzajem odkrytych, i siół i dworów tu i owdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wycielających ziemię, przedstawia nader częste widoki i krajobrazy zachwycającej piękności szczytnego rozmiaru lub niewymownego wdzięku.

Brzegi Wilii płaskie dotąd i równe, zbliżając się ku Żodziszkom coraz się podnoszą i piętrzą; podrywane wiosenną

powodnią poformowały się w rozpadliny, szczyrby i urwiska, które nakształt skał wydatnych długą i wysoką ścianą sterczą z obu stron. Ścianę tę rozdzielają w niektórych miejscach głębokie i daleko w przęgi zachodzące parowy; po dnie ich biegną szumne i bystre potoki z nadbrzeżnych krynic wynikłe i spienione swe nurty do Wilii wlewają. Wąwozy te na wzniosłych swych i nierównych bokach nawisłemi jodły, karłowatą brzezina i krzakami gęstą leszczyną porośłe, świeżą zawsze i różnie cieniowaną pokryte zielonością w rozmaitych swych zakrętach, przepaściach, wzgórzach i kątkach, zachowują tysiące miejsc powabnych, tysiące niespodziewanych, a tak prawdziwie pięknych widoków, że od nich oka i serca oderwać niepodobna, że ich obeymyśmy zazdrościli krajom... czemuż we własnym nie znamy?...

Byliśmy natenczas o sążni kilkanaście wyżej nad Wiliją i o tyleż może od brzegów odlegli, na małej równinie na wierzchołku góry, na którąśny się wdrapali, a u podnóża wyżej nad nami się podnoszącej. Góra ta wyższa, wyraźnie ręką ludzką szeroko aż do dna wydrążona, z wysokich boków swoich zlewa kilka czystych strumieni. Z nich utworzyła się u spodu okrągła i obszerna sadzawka, która jak zwierciadło optyczne na dnie kalejdoskopu zbiera w jeden obraz rozpięchłe po bokach przedmioty. Teraz w głębi jej na tle błękitném, jaśniała twarz księżycy, a z pomiędzy dokładnie odbitych zrysowanych nadbrzeżnych drzew i krzewin, błyszczwały gwiazdy, jak topazy zdobiące malowidło jakiegoś świętego oblicza.

Woda z sadzawki roztwartym przekopem toczy się obfitą strugą przez równinę, na której staliśmy; przebiega ją i szumną kaskadą spadając na dół, rozbija się i rozpryska w milionowe krople, o stare mchem okryte belki i pale, jakby na umyślną tam zawadę rzucone i white; a na dole znowu w rzeczku zebrała wbiega do Wilii, która cały ten uroczy krajobraz szerokim na prawo i na lewo obwodzi szlakiem, lecz go nie ogranicza wcale, bo wzrok rzucony za jej biegiem długo jeszcze i daleko łamie się po parowach, zawisa na drzewach, przekrada się drożynami wijącemi się po brzegach; uderza gdzie nie-

gdzie o rzekę, aż nakoniec gmatwa i tonie w odległej i zamglonej mieszaninie.

Noc jasna, miesięczna, nie kryła tych wszystkich piękności rozwiniętych przed nami; blada je tylko oblewając światłością, łagodziła ostre kształty załamów i łagodnym także zadowoleniem napawała zmysły.

.

Gęsta mgła ranna, rozwlekła nad ziemią i nad rzeką przyjmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wpadały w nią z góry i tonęły, lecz przebić jej i rozproszyć się nie mogły. A tak my, jak w obłoku utajeni, posuwaliśmy się po wodzie spokojnie i cicho, szepcąc każdy poranną modlitwę i nie widząc ani rzeki, która nasniosła, ani jej brzegów. Kiedyniekiedy tylko rybołów szerokiemi, białemi i błyszczącemi skrzydłami rozciął horyzontalnie jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął.

— Tymczasem mgła się w górę unosiła i wzbijała się w powietrze; ranek letni z całą pięknnością, z całą świeżością i wdziękiem zajaśniał; z wdziękiem tylekroć opisywanym, tylekroć malowanym, a zawsze w istocie miłszym nad wszystkie opisy i malowidła. Któż bowiem wydać potrafi tę wesołość i świeżość orzeźwionej spoczynkiem natury? Kto wyda to mnóstwo i bogactwo jej powabów blasku i cieniów, farb i woni, łagodnego szumu drzew otrząsających rosę z gęstych gałęzi i głosów ptasząt w nich ukrytych, brzęku pszczołek, pluskania rybek, mgnień motyli?.. Któż to wszystko razem i w jednym wyda obrazie, tak, jak wszystko razem i w jednym zlanym harmonijnym uczuciem, chórem czy źródłem napływa do serca, ożywia krew naszą, krąży z nią, i też samą wesołość i świeżość przenosząc do głębi naszego jestestwa, szczęściem rozkoszą, i uniesieniem nas poi.

Zakończenie Obrazów Litewskich.

Dopisawszy ostatniej kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro.... i spojrzałem na cały ich zbiór z zadowoleniem obejmującym zwykle każdego pracu-

jącego, po skończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myślałem o pobłażliwem przyjęciu przez ziomeków tej mojej dla nich ofiary i tkliwem, a jakby ostatniem wspomnieniem zegnałem się ze snujacemi się po mojej wyobraźni osobami, pod których—to opieką, to wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja,—i których z za grobu po kolei do siebie wywalałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom.

Lecz czyliż pisma te moje dojdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu głodu *utile dulci* 1) ale najwłaściwшему każdej podobnej książce i zapewniającemu jej długotrwałą między ziomekami pamiętkę? Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich!... to niepodobna! do serc przynajmniej wybrańszych, nie zarażonych wpływem mętnych idei—i takich, którym cnoty nadziadów, ich wiara i prostota miłe są i drogie; którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną i którzy pojmą i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercem się także swojego radził. Serca—w którym miłość przeszłości poczciwiej z gorącym życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomeków ściśle połączone. Ta wątpliwość, to pogńębienie moją miłość własną, to na niej wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewne myśli moje jakby ojca, usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: pierwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie,...

I ujrzałem się w domku mojego dziadka.

Taż sama niska strzecha, téż okna rożnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegła stopa. Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste gwoździki i nagietki, zdobiące dawniej w Niedzielę i uroczystości głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach.

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło.

1) Pożytek z przyjemnością.

Dzień zniżał się ku zachodowi i w oddaleniu dawał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego. a bliżej w domku, jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych, to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojej i które pamięć moja i serce kończyły...

A co najbardziej, tenże sam krzyż, pod którym tylekroć z dziadkiem moim proste a gorące odmawiałem paciorki i pod którym teraz... jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu, w tej postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnej swój podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwym okiem oglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu niesmiało... „Czegoż się trwożysz moje dziecię?“ rzekł on „chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a niespokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich.

Czas wielkiej próby przyszedł na plemię wasze moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło wewnątrz was i trawi tam wszystkie wasze cnoty rodzinne, przy których gdybyście w tej próbie wytrwali, wyszlibyście z niej z niepokolaną duszą, czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypadków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie na ten świat sprowadza!

Dlaczegoż ten domek mój, w którym cię wypielegnowałem stoi dotąd mocno i wytrwale? bom go na dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo ich nie wyruszyłem z głębi ziemi do której wrosły; bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gliną, któraby się już dawno rozsypała i domekby mój upadł.

Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmieniają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzieja i losy... Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy zmienić nie mogą, których płohe usiłowania ludzkie nie wzruszą, bo one są pod opieką Ducha Bożego, który jest duchem prawdy wieczystej i nieodmiennej,—którego my, wyznając i wielbiąc w szczerości serca i duszy, prostaczkowie w porównaniu z waszém rozumném pokoleniem, nie odstępowałyśmy właśnie tych odwiecznych zasad Jego mądrości, danych ludziom, dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach szczęścia. Nie poniewierajcie więc

przykładami naszymi. W doskonałości waszej, coraz jakoby wyższej, którą się chlubicie, nie zapominajcie, że my—w gorliwej wierze naszej, w cnotach z niej wypływających, to jest w miłości powszechnej i braterskiej między sobą, w skromnej mierności i prostocie domowego pożycia, w szlachetnej prawości postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność umysłu, —w biedach i przygodach to zaufanie w opiekę i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach waszych i w wątpliwem mędrkowaniu nigdy nie znajdziecie!...

b. inw. 2507

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

II

PYTANIA Z KURSU CAŁEGO.

Stronica.

O sztuce pisania.

- Zkąd wypływa miłość do piękna w ogóle,—i do pięknego wypowiedania swych myśli? czy wszyscy ludzie mają zdolność tworzenia pięknej mowy? jaką nauką chcieliby brak zdolności zastąpić 1.
- Co było dawniej—a co jest dzisiaj podstawą téj nauki. Jak działa na człowieka wykształcenia umysłowe, a jak—estetyczne? 3.
- Jakie są korzyści wykształcenia naukowego, a jakie estetycznego? 4.

O Stylu.

- Co jest głównym warunkiem wypowiedania swych myśli? 6.
- Czém styl był dawniej, a czém jest dzisiaj właściwie? 6.
- Jak i z jakich względów styl dzielili starożytni pisarze? 7.
- Jakich warunków wymagał styl: naturalny, ozdoby a wzniosły? 7.
- Jak dziś styl dzielimy i z jakich względów? 8.
- Co nazywamy indywidualnością pisarza? 8.
- Co się składa na charakter narodu? 9.
- Dlaczego ze względów na przedmiot najwięcej jest rodzajów stylu? 10.
- Jaki jest główny warunek stylu sądowego i urzędowego w ogóle? 11.
- Czém się odznacza styl naukowy — czém historyczny? 12.
- Co się zowie stylem obrazowym: wiernym, pięknym, a poetycznym? 14.

Czém się cechuje styl liryczny—od czego liryzm zależy?	18.
Z czego styl patetyczny wypływa—kiedy go się używa—iloraki jest?	23.
Co nazywamy stylem sarkastycznym? kiedy jedynie jest dobrym?	24.
Kiedy się używa stylu krasomówczego? co jest jego podstawą?	26.

O Wewnętrznych stylu przymiotach.

Jakie są najgłówniejsze przymioty wysłowienia?	28.
Czém jasność jest w mowie i piśmie—czego wymaga?	28.
Co się zowie znajomością przedmiotu?	30.
Z czego wynika potrzeba dzielenia mowy na okresy?	30.
Z jakich zdań okres się składa? ile ich bywa zazwyczaj?	31.
Czém się zdania łączą w okresie?	32.
Jaka jest zasada używania zaimka względ nego w okresie?	33.
Jakie są warunki dobrze ułożonego okresu?	35.
Czego wymaga jedność okresu? co jedność rozrywa?	36.
Na czém całość okresu zależy? kiedy jej nie będzie?	37.
Oprócz całości i jedności, co jest jeszcze w okresie ze względu na uczucie potrzebném?	38.
Od czego miara długości okresów zależy?	83.
Z czego się tworzy styl peryjodyczny? w jakich pismach używany?	39.
Co zowiemy stylem ucinkowym? kiedy go się używa?	40.
Na czém polega znajomość języka?	43.
Czém się oblicza bogactwo języka?	44.
Co nazywamy duchem wyrazu? czego duch ten wymaga?	48.
Kiedy niewłaściwość użytych wyrazów jest ozdobą mowy?	50.
Ze względu na czystość języka, które jedynie wyrazy cudzoziemskie przyjęliśmy za swoje?	52.
Z jakiej przyczyny weszły w użycie wyrazy: łacińskie, niemieckie, francuzkie, wschodnie i inne?	53.

Jakie wyrazy cudzoziemskie stanowczo są złe?	55.
Co nazywamy językiem poprawnym? co się poprawności sprzeciwia?	56.
Co to są prowincjonalizmy? co archaizmy? kiedy wolno używać wyrazów przestarzałych?	58.
Co stanowi cechę języka? jak obce zwroty zowiemy?	60.
Co zowiemy naturalnością wysłowienia?	62.
Jakie pisma prostotą odznaczać się powinny?	66.
Z czego zwięzłość mowy wypływa? w jakich pismach potrzebna?	68.
Co zowie się harmoniją mowy? od czego ona zależy?	72.
Czego się w mowie wystrzegać należy ze względu na harmoniją?	73.
Z czego wypływa harmonija naśladownicza.	75.
Co zowiemy wadami stylu? z czego wynika zawziętość stylu?	77.
W czym jest rażąca przesada czyli affektacja?	79.
Z czego powstaje napauszoność stylu?	80.
Co to jest rozwlekłość stylu—i co z niej wynika?	81.
Kiedy styl zowiemy kwiecistym? dlaczego kwiecistość liczymy do wad stylu?	81.
Jaka wada wypływa z braku poczucia piękna—czy może ją co usprawiedliwić?	82.

O ozdobach stylu.

Co nazywamy ozdobami stylu? dlaczego są one potrzebne?	84.
Co zowiemy wzniosłą myślą? Na czym polega wzniosłość?	85.
Czém się odznacza myśl śmiała?	86.
Z czego wypływa dobitność wyrażen i na czym polega?	88.
W jakich pismach lekkość jest przymiotem—i z czego wypływa?	89.
Z czego wypływa powaga stylu?	91.
Dlaczego rozmaitość uważamy za ozdobę? od czego zależy?	92.

Czém żywość jest dla pisma i mowy? gdzie jest jej źródło	94.
Dlaczego indywidualność stylu do przymiotów pisma się liczy?	97.
W jakich pismach charakterystyczność jest pożądana? jakich warunków wymaga?	99.

O postaciach retorycznych.

Gdzie jest źródło postaci retorycznych?	101.
Co to jest wyobraźnia? jakie figury z niej wypływają?	102.
Co to są przenośnie? od czego ich nazwy pochodzą?	103.
Do czego służy porównanie?	105.
Co to jest metafora? co allegoryją zwiemy?	107.
Na czém polega metonimija?	109.
Na czém zasadza się antyteza? kiedy się używa?	111.
Kiedy używamy omówienia? co się zwie stopniowaniem?	112.
Z czego uosobienie wypływa?	112.
Jakie postaci mowy wypływają z uczucia?	116.
Kiedy pytanie uważamy za postać mowy?	116.
Kiedy się używa powtórzenia, opuszczenia, przemileczenia?	118.
Co to jest apostrofa? co jest hyperbola?	122.
Czém jest właściwie ironija? ilorako się ironija przedstawia?	125.
Kiedy przekleństwo i błaganie stają się postaciami mowy?	127.
Co to jest prozopepeja? kiedy się jej używa?	129.

O prozie i jej rodzajach.

Co nazywamy prozą? co bywa jej przedmiotem?	131.
Co to jest list? jaki ma być styl jego? czy jest forma zaczęcia i zakończenia listów?—Dlaczego—i jakie rodzaje prozy przybierają formę listów?	134.
Co to są rozmowy? jak się dzielą? z kąd wzięły swój początek? do czego dziś forma rozmów służy?	135.

	Stron.
Zkąd bijografije początek swój wzięły? przy jakich naukach są one konieczne?	136.
Co to są pamiętniki? do czego posłużyć nam mogą jakie pisma przybierają formę pamiętników?	137.
Co to jest historyja? gdzie jest jej wątek? co jest celem historyi? jakie są warunki w jakich historyja pisać się powinna?	138.
Ilorako podróże opisywane być mogą?	139.
Co się zawiera w narodowych przysłowiacz?	140.
Co to są: myśli i zdania?	141.
Jakie znaczenie w literaturze ma powieść? Jakie były najpierwsze powieści?	142.
Co to jest powieść tendencyjna? co romans historyczny?	143.
Kto był twórcą powieści obyczajowej? Jakie jej zadanie? jakie są niezbędne do dobrej powieści warunki? Kiedy powieść jest złą?	144.
Jaki jest cel powieści moralnych? jaki humorystycznych.	146.
Co to są powieści ludowe? czém są one dla literatury naszej? co się w nich zawiera? kto je zebrał, i w jakim celu wydał?	147.

Podział stylu ze względu na epokę.

Z jakich powodów dzielimy styl ze względu na epoki? Jaki był styl epoki złotéj? (XVI-go wieku) z czego rodzaj jego wypłynął?	149.
Jaki był charakter stylu epoki panegirycznej (XVII wieku) co się na niego składało? jakie pisma stanowiły wyjątek?	150.
Co było powodem zmiany kierunku oświaty i literatury XVIII wieku? dlaczego jeszcze nie mieliśmy w téj epoce literatury czysto narodowej? jaki był styl ówczesny?	151.
Co stawia w wieku XIX literaturę na gruncie swojskim, rodzimym? dlaczego się ta epoka zowie epoką odrodzenia? Jaki jest styl dzisiejszego wieku? co bierze za przedmiot dla siebie? czy ma jaką formę, którejby przestrzegać dzisiaj?—do czego wolno dążyć pisarzom dzisiejszym?	152.

TREŚĆ I PORZĄDEK PRZEDMIOTU.

Stronica

Wstęp. O sztuce pisania; o retoryce, o wykształceniu naukowym i estetycznym, — o korzyściach z pierwszego i drugiego płynących	1.
O Stylu. Dawniejsze i dzisiejsze jego znaczenie; podział pierwotny na <i>prosty, ozdobny i górny</i> ; terażniejszy ze względu na <i>indywidualność</i> pisarza <i>charakter</i> narodu, <i>przedmiot</i> opisywany i <i>epokę</i> czyli <i>wiek</i>	6.
Określenie względu pierwszego, drugiego i trzeciego; określenie takich rodzajów jak sądowy, naukowy, historyczny, obrazowy: wierny, piękny, i poetyczny, — liryczny, patetyczny, sarkastyczny, krasomówczy	8.
O Wewnętrznych stylu przymiotach.	27.
Jasność. Warunki jej: znajomość przedmiotu i języka	28.
O znajomości przedmiotu; o potrzebie dzielenia mowy na okresy sposób łączenia zdań; warunki dobrego okresu; miara długości okresów; styl peryjodyczny, styl ucinkowy, właściwe użycie jednego i drugiego	30.
O znajomości języka; podstawa znajomości języka, obliczenie bogactwa języka; jednoznaczne wyrazy (synonimy), blizkoznaczne, tworzenie jednych z drugich	43.
Właściwość ze względu na ducha wyrazów	48.
Czystość języka, wyrazy obce, przyswojone, łacińskie, niemieckie, francuskie, wschodnie, i inne; powód ich przyjęcia; wyrazy obce przeciwnie czystości	52.
Poprawność języka; nieznanostwo prawideł gramatyki, prowincjonalizmy, archaizmy, neologizmy, wyrazy gminne, niedbalstwo wymawiania.	55.
Cechy języka; galicyzmy, germanizmy, rusycyzmy, lituanizmy	60.
Naturalność; powab naturalności.	62.
Prostota — ważność prostoty w pismach naukowych	66.
Zwięzłość, — źródło zwięzłości, — zbytek zwięzłości jako wada	68.
Harmonija — warunki — i wyjątki od zasady	71.
Harmonija naśladowicza	75.
Wady stylu:	77.
Zawilność, przesada, górnosc, rozwlekłość, kwiecistość, brak poczucia piękna.	84.
O Ozdobach stylu.	84.
Wzanosłość, śmiałość, siła, dobitność, lekkość, powaga, rozmaitość, żywość, indywidualność, charakterystyczność.	
O Postaciach retorycznych.	
Wyjaśnienie ich źródła; o przenośniach, określenie rodzajów przenośni wpływających z wyobraźni	101.
Przenośnia, Metafora, Allegoryja, Metonimija, Antyteza, Omówienie, Stopniowanie, Usobienie	103.
Postacie płynące z uczucia:	116.

Zapytanie, Powtórzenie, Opuszczenie, Przemilczenie, Apostrofa, Hyperbola, Ironia, Przekleństwo, Błaganie, Prozopepeja	
O Prozie i jej rodzajach.	131.
Określenie prozy—jej przedmioty	
List,—o stylu listów, list jako forma pisma	132.
Rozmowy—podział ich,—cel rozmów	134
Żywoty — ich źródło,—pożytek	136.
Pamiętniki—forma pamiętników	137.
Historija, jej zadanie, jej początek, warunki	138.
Podróże, podział ich na trojaki	139.
Przysłowia narodowe	140.
Myśli i zdania	141.
Powieść, określenie tendencyjnych, historycznych	142.
Znaczenie obyczajowych—cel, i warunki powieści	144.
Powieść moralna, humorystyczna	146.
Powieści ludowe—znaczenie ich	147.
Podział stylu ze względu na epokę	149.
Charakterystyka stylu epoki: złotój, panegirycznej, klasycznej i odrodzenia;—źródło przemian stylu w każdej epoce.	
Wzory stylu epoki złotój w wieku XVI	154.
Wyjątki ze Zwyciada Reja	”
Wyjątki z Dworzanina polskiego. Górnickiego	156.
Wyjątek z mowy ks. Piotra Skargi	159.
Bitwa Obertyńska. St. Orzechowskiego	165.
Wykład cnoty Jana Kochanowskiego	167.
O miłości nieprzyjaciół. Birkowskiego	169.
Wzory stylu epoki panegirycznej z wieku XVII	172.
Oracya winszując Imieniu	”
Impety winszując Imieniu	173.
Mowa prosząc o Damę	174.
Mowa oddając Pannę młodą.	175.
Impety winszowne stanu małżeńskiego	176.
Mowa przy depozycji ciała	177.
Oracya winszując od Herbownej Lilij	178.
Impety winszując Narodzenia Pańskiego.	179.
Wzory stylu epoki klasycyzmu w wieku XVIII	180.
Z Doświadczyńskiego. Ig. Krasickiego	”
Kłeska Krzyżaków pod Płowcami Naruszewicza	184.
Z Pamiętników Franciszka Karpińskiego.	185.
Wyjątek z Epoki natury Staszica	189.
O języku polskim p. Jana Śniadeckiego	190.
Zygmunt August w Wiśniczu z Niemcewicza	193.
Wzory stylu epoki odrodzenia w wieku XIX	198.
Ofiara pierwszego kwiatka	”
Powietrze	199.
Śpiew skowronka	200.
Poklask i błogosławieństwo	202.
Listy Brata i siostry. p. Tańską	203.
Jan Zamoyski. p. Tańską	205.

Pasieczna. Ks. Karola Antoniewicza	207.
Kraków. Ks. Karola Antoniewicza	211.
Pożar puszczy. W. Pola	213.
Ze stepu. Wincentego Pola	215.
Egzamin w gimnazjum Krzemienieckim	216.
Jeziro Leman	210.
Urywki z Listów Zygmunta Krasieńskiego	222.
Wyjątki z Listów z podróży	225.
Montmorency	230.
Wyjątki z Listów Kremera	232.
O wrodzonej poezji	235.
O miłości do natury	237.
Widok z Wawelu	”
Wielki Piątek	238.
Kościoly Krakowskie	239.
Noc księżycowa	241.
Wiosna	243.
Babia góra	244.
Cmentarz rodzinnego miasta	246.
Wyjątki z „Mogil“ Kraszewskiego.	248.
Wyjątki z Pism Gabryeli	258.
O pięknie natury	259.
Siła uczucia i wyobraźni	”
Wyjątki z Poganki	261
Z Książki Pamiątek	264
Wiara kobiety	266
Wyjątki z Obrazów Litewskich Ignacogo Chodźki.	266
Zakończonnie Obrazów Litewskich	270

Sprostowanie.

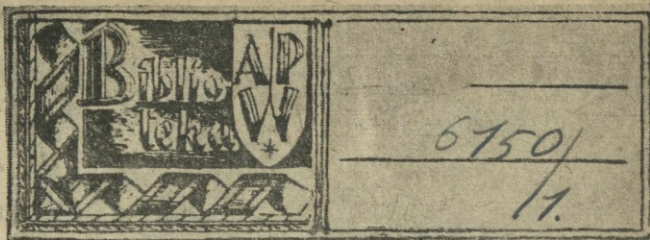
Zamiast.	Czytaj.	Strona.	Wiersz.
Nowości <i>ai</i>	nowościami	II	4
Kóreby	któreby	7	23
wołało	wołał	24	10
spuścina	spuścizna	50	3
sinych	siny <i>m</i>	51	10
Kompromitacyja	kompromis	53	21
umiłować	imitować	55	19
puszcziąc	puszczając	69	22
różene	różne	81	7
całej	małej	88	17
rsonifikacyja	personifikacyja	129	22
wrzaliwego	wrażliwego	133	25
Czarnecki	Czar <i>niecki</i>	135	16
Borcyko	Bore <i>ko</i>	217	27

II

Zamiast.	czytaj.	stron.	wiersz.
groźby	groźby	108	26
żału	żału	108	35
łodź	Łódź	116	15
bolesną	bolesną	126	29
proźbą	proźbą	130	5
rsonifikacyi	personifikacyi	129	22
wrźaliwego	wrażliwego	133	25
Czarnecki	Czarniecki	135	16
rokiem	rokiem	136	11
będącej	będącą	143	14
Kółka Rodzinnego	Kółka Domowego	146	21
	a dziś Kroniki Rodzinnej.		
ówczesnie	ówcześni	149	21
rozumie	rozumnie	152	30
jedła	jedła	155	30
mocnego	mocnego	161	7
zemstę	zemstę	170	6
przyziaciela	przyziaciela	174	30
idolum	idolum	175	33
uroczystych	uroczysty	199	18
cofnęło	cofnęła	200	11
chódź	chodź	201	28
wa i	wali	213	35
gorącej	gorącej	216	34
Borcyko	Boreyko	217	27
rowinę	nowinę	225	13
przynosim	przenosim	226	1
oplotły	oplotły	226	38
przeniość	przeniesć	231	13
cofnio	cofnie	233	33
boleści	boleści	233	38
wyssała	wyssała	241	35
krzakami	krzakami	269	8
sercem	sercam	271	18

Sprostowanie pomyłek drukarskich.

Zamiast	czytaj.	stron.	wiersz.
cos	coś	I	15
nowościami	nowościami	II	4
kóreby	któreby	7	24
i tak	tak i	9	6
srogi	srogi	14	5
mich	moich	18	25
dobrze	dobrze	21	19
wołało	wołał	24	10
mimowalnie	mimowolnie	24	11
małuczkością	maluczkością	25	12
delirum	delirium	25	22
chłubne	chlubne	29	20
żału	żału	26	32
przyzbą	przyzbą	36	3
użalamy	użalamy	46	9
spuścina	spuścizna	50	3
Sinych	Sinym	51	10
kompromitacja	kompromis	55	1
umiłować	imitować	55	19
Puszczając	puszczając	69	22
éj	jéj	80	21
rozwlekłość	rozwlekłość	81	6
różene	różne	81	7
umysł	umysł	84	5
chwila	chwila	87	18
niezwykłe	niezwykłe	87	13
całej	małej	88	17
żrenica	żrenica	95	19
wyobraźni	wyobraźni	101	8
w następujących	gdy w następujących	106	1



6750 - 17